

Druhna Joanna

Druhna Joanna

Joanna Skwarczyńska

(1935 - 1948)

**Nowe wydanie wspomnień i opracowań,
zawartych w T. IX serii wyd. «Chrześcijanie»
(ATK, Warszawa 1982)**

—

Michalineum 1998

Książka zawiera materiały, zawarte w T. IX
serii wydawniczej «Chrześcijananie»
(ATK, Warszawa 1982, s. 231-312).

Redaktor serii: bp Bohdan Bejze.

Redaktor nowego wydania:

ks. Adam Skwarczyński.

(Adres do korespondencji:

Rakowiec 13, 08-110 SIEDLCE 2)

Cum permissione auctoritatis ecclesiasticae

Druk: Michalineum

ul. Piłsudskiego 248/252

05-261 Marki 4

tel. (W-wa) 781-16-40, 781-14-20

SPIS TREŚCI

NOTA WYDAWCY	9
ZAMIAST WSTĘPU	
Słowo wstępne od matki.	10
Notatka biograficzna.	12
Życiorys.	14
ROZDZIAŁ I: W OCZACH DOMU	15
Szlakiem jej życia.	16
Kilka bardzo dawnych wspomnień.	39
Ze wspomnień niani o malutkiej Janusi.	40
Moja Siostrzyczka.	41
Skrzętny Promyczek.	44
Wspomnienie o Janusi.	46
O Janusi.	48
Wspomnienia o Janusi Skwarczyńskiej (1942-1943). ...	50
Kopie listów do Marii Winowskiej.	53
Oświadczenie.	75
List I.	76
List II.	79
ROZDZIAŁ II: W OCZACH SZKOŁY	81
Zaświadczenie.	82
Joanna Skwarczyńska.	83
Oczyrna wychowawczyni.	84
Nasza koleżanka.	86
ROZDZIAŁ III: W OCZACH HARCERSTWA	89
Oświadczenie.	90
Joanna.	90

Pierwsze kroki.	93
Janeczka.	97
Szarotka obozu Olbertyńskiego.	98
„Nasz Ślipek”.	106
„Tam zaciągniemy strażę dziś”.	107
Wspomnienie.	111
Moja Janusia.	114
Jej „Mała Piętnastka”.	116
Tobie, Joanno.	118
ROZDZIAŁ IV: W OCZACH TEATRU	124
Z pieczęcią i bez pieczęci.	125
Joanna w cieniu Melpomeny.	127
Wspominamy z Joanną.	132
„Joanna z Łodzi”.	135
ROZDZIAŁ V: W OCZACH POEZJI	138
Et lux...	139
Joanna.	140
Joannie Skwarczyńskiej.	142
Matka mówi do Joanny (...) na progu stajenki.	143
Wiersz dla Joanny.	145
Nie płaczcie matki.	146
Joannie.	147
Anielce.	148
Jak ludzka tęsknota...	151
ROZDZIAŁ VI: ŻYCIE WEWNĘTRZNE JOANNY	152
Uwagi o życiu wewnętrznym Joanny.	153
Joanny życie wewnętrzne.	157
Fragment <i>Rozmyślań o Tajemnicach Różańca</i>	163
OSTATNI ROZDZIAŁ NIECH DOPISZE ŻYCIE	168

NOTA WYDAWCY

Książka zawiera artykuły, wiersze i wspomnienia, zebrane przez matkę postaci tytułowej – drużny Joanny – oraz przez krąg jej przyjaciół. Materiały te ukazały się drukiem dopiero po Solidarnościowym przełomie, a to ze względu na zajądłą walkę władzy „ludowej” ze wszelkimi próbami powrotu w harcerstwie do dawnych, przedwojennych zasad i wartości. Weszły w skład artykułów biograficznych, zamieszczonych w IX tomie serii wydawniczej „Chrześcijananie” (ATK, Warszawa 1982, s. 231-312).

Wielkość nakładu (9300 egz.) oraz raczej zamknięty krąg stałych odbiorców serii „Chrześcijananie” (posiadaczy czegoś w rodzaju abonamentu) mogły mieć wpływ na to, że postać harcerki zmarłej w opinii świętości nie jest znana szerszemu ogółowi. Pięćdziesiąta rocznica śmierci Joanny Skwarczyńskiej jest dobrą okazją ku temu, by przybliżyć jej postać Rodakom, pragnącym żyć na co dzień w oparciu o ideał ewangeliczny. „Słowa uczą, lecz dopiero przykłady pociągają” – mawiali starożytni Rzymianie...

Dziękuję siostrze Joanny, p. prof. Marii Olszewskiej, oraz szkolnej koleżance Joanny Zetce – p. Zofii Jackowskiej, za przykłaśnięcie pomysłu nowego wydania książki „Drużna Joanna”, jak też Wydawnictwu ATK w Warszawie za milczącą zgodę na tę reedycję.

Prócz koniecznych niewielkich poprawek stylistycznych i kompozycyjnych do nowego wydania wprowadzono kilka myśli, stanowiących jakby motto na stronach tytułowych poszczególnych rozdziałów, refleksję końcową zawartą w Posłowiu, przypisy oraz kilka zdjęć. Są to uzupełnienia na tyle mało istotne, iż drugi wydawca uważa księdza biskupa Bohdan Bejzego za głównego redaktora książki, opatrzonej (w 1982 roku) klauzulą aprobaty kościelnej: *Cum permissione auctoritatis ecclesiasticae*.

ZAMIAST WSTĘPU

SŁOWO WSTĘPNE OD MATKI

Pomysł upamiętnienia niezwyklej postaci Joanny Skwarczyńskiej książką świadectw i wspomnień o niej, książką pt. „Druhna Joanna”, powstał tuż po tragedii harcerzek na jeziorze Gardno w lipcu 1948 roku, a więc tuż po jej zgonie, w środowisku harcerzek, zresztą nie tylko łódzkich, bo także z Chorągwi Mazowieckiej, skoro członkiem jej Komendy była najbardziej w tym względzie aktywna inicjatorka i realizatorka tego pomysłu – druhna Halina Soporek. Zaslugą harcerzek była koncepcja książki, jej redakcja, ustalenie placówki wydawniczej – bodaj Spółdzielni Wydawniczej w Łodzi – do której planu wydawniczego na rok 1950 weszła w roku 1949. Oczywiście harcerki zwróciły się o pomoc i współpracę do rodziców Joanny, a zwłaszcza po przechowywane przez nich dokumenty.

Gotowa redakcyjnie książka spadła w II połowie 1949 r. z planu wydawniczego Spółdzielni Wydawniczej – z wiadomych powodów. Był to początek tzw. „czasów minionych”.

Tak więc przygotowana do druku książka spoczęła w maszynopisie w kilku egzemplarzach – wypożyczana tylko tym, którzy o to bardzo prosili. Historia jej jednak na tym się nie skończyła. Przeświadczona o świętości w nowym stylu tego dziecka, Teresa Dmochowska (pseudonim: Jan Rybałt) postanowiła – jeszcze w początkach lat pięćdziesiątych – uzupełnić redakcyjnie i autorsko tę książkę o materiały zaświadczone ów podstawowy aspekt duchowości Joanny. Z pomocą Lasek (bodaj że z pomocą zwłaszcza S. Katarzyny) uzupełniła posiadany egzemplarz książki, tworząc jakby jej poszerzone wydanie drugie. Oprócz dotychczasowych

materiałów znalazły się w niej teraz kopie dwóch jej własnych: listów o Joannie skierowanych do Marii Winowskiej w Paryżu oraz fragment nie opublikowany dotąd nieukończonej jej książki *O Tajemnicach różańcowych*; fragment, w którym, jeszcze za życia Joanny, o niej myślała, jak pisze, rozważając pojawianie się na ziemi „dzieci – panien mądrych”. Ponadto wprowadziła do tekstu dwa listy, a to ks. Floriana Krasuckiego, który przygotowywał Joannę do I Komunii św. i był przeświadczony o jej świętości, oraz list ks. S. Wolniewicza OSB; wprowadziła także świadectwo prostej kobieciny, która obserwowała w kościele nie znaną sobie dziewczynkę przyjmującą codziennie Komunię św. na prymarii¹, a potem rozpoznawała ją z fotografii. Teresa Dmochowska, która redakcyjnie wzbogaciła wydanie drugie książki *Druhna Joanna* o dział ją zamykający, a mianowicie o dział: „Życie wewnętrzne Joanny”, uprosiła druhnę H. Soporek oraz matkę Joanny, aby dały w tym dziale wyraz temu, co wiedzą o życiu wewnętrznym Joanny, co zdołały zaobserwować.

Niniejszy tekst tej pracy stanowi powtórzenie jej tzw. wydania drugiego; dołączono tu tylko kilka przypisów oraz uzupełniono zdjęcia.

Stefania Skwarczyńska

Łódź, 8 marca 1981 r.

¹Tzn. na pierwszej z Mszy świętych w danym dniu w tym kościele.

Uwaga! Przypisy, jak niniejszy, pisane kursywą czyli drukiem pochyłym, pochodzą od księdza Adama Skwarczyńskiego, redaktora książki w jej obecnym kształcie. Pozostałe przypisy, a więc pisane drukiem prostym, przeniesione zostały w zasadzie bez zmian z IX tomu serii „Chrześcijaństwo” (wyd. ATK, Warszawa 1982, s. 231-312).

NOTATKA BIOGRAFICZNA

Joanna Skwarczyńska urodziła się 12 czerwca 1935 r. w Łodzi. Chodziła do przedszkola Rodziny Wojskowej w Łodzi od jesieni 1938 r., a potem we Lwowie: 1939 - 40. W kwietniu 1940 r. była wraz z rodziną wysiedlona do Kazachstanu, skąd wróciła pod koniec listopada 1940 r. do Lwowa, gdzie znów uczęszczała do przedszkola (1940 - 41). Od lata 1941 do stycznia 1943 przebywała z siostrą u wujostwa Teleżyńskich, najpierw w Krasnobrodzie pod Zamościem, a potem, po wysiedleniu Polaków z Zamojszczyzny, w Leśniczówce koło Wilkołaza. Tam uczyła ją siostra, po czym na końcu roku [szkolnego] zdawała egzamin w najbliższej szkole. Od stycznia do czerwca 1943 uczyła się we Lwowie prywatnie, po czym zdała egzamin z [zakresu] 3 klasy szkoły powszechnej (w „polnische Volksschule nr 25”). W kwietniu, maju i czerwcu 1944 występuje w tajnym teatrze pod dykcją B. Dąbrowskiego, grając rolę Lilusi w *Ich czworo* Zapolskiej.

Po wyzwoleniu Lwowa przez wojska radzieckie uczęszcza do 19 Szkoły Średniej z polskim językiem wykładowym do kl. IV – aż do wyjazdu ze Lwowa w kwietniu 1945 r. Równocześnie jest zaangażowana do Państwowego Teatru Dramatycznego we Lwowie pod dykcją B. Dąbrowskiego, gdzie gra rolę Lilusi w *Ich czworo* Zapolskiej i rolę Isi w *Weselu* Wyspiańskiego. Po przyjeździe do Łodzi w maju 1945 r. uczęszcza do klasy IV szkoły powszechnej nr 161 pod kierownictwem J. Podśędkowskiej, gdzie przechodzi klasy V, VI, VII. Pod koniec czerwca 1948 r. zdaje egzamin wstępny do kl. VIII², przechodząc pod kierownictwo dyr. T. Czapczyńskiego. Bierze żywy udział w życiu społecznym szkoły [powszechnej], zarówno w poszczególnych imprezach szkolnych (przedstawienia, uroczystości, wystawy, akademie, kontakty z dziećmi z Domu Dziecka), jak i w stowarzyszeniach i organizacjach na terenie szkolnym. W szczególności w życiu samorządu szkolnego (ostatnio przewodnicząca), w Czerwonym Krzyżu i Towarzystwie Przyjaciół

²Wówczas była to pierwsza klasa liceum.

Żołnierza. Jest redaktorką Gazetki Szkolnej. Na wiosnę 1946 r. gra w Teatrze Kameralnym Domu Żołnierza w Łodzi w *Ich czworo* Zapolskiej rolę Lilusi, a nadto w urządzonym przez szkołę przedstawieniu baśni E. Szelburg-Zarembiny rolę rycerza (wiosna 1947) oraz występuje w jasełkach.

Wybrana zostaje do konkursu Filmu Polskiego dla *Ulicy Granicznej*, gdzie wraz z Mają Broniewską przechodzi do finału (jesień 1947). Do harcerstwa zapisuje się 15 września 1946 r. Właśnie tworzy się 15 Łódzka Drużyna Harcerska im. „Zośki” (tzw. „Mała piętnastka”). Złożyła przyrzeczenie 21 czerwca 1947 r. Od 22 lutego 1947 jest zastępową, w 1948 jest nadto przyboczną i zastępczo prowadzi prócz swego zastępu drugi zastęp. Rozkazem L³. 1 z 22 XII 1946 uzyskuje stopień ochotniczki, a rozkazem L. 9 z 12 X 1947 stopnie tropicielki i pionierki. W lipcu 1947 uczestniczy w obozie drużynowych w Olbertynie (Dolny Śląsk), w sierpniu 1947 w obozie kierowniczek pracy harcerskiej tamże (oba obozy z Chorągwią Mazowiecką). W zimie 1947 jest na dziesięciodniowym zimowisku w Zakopanem (kurs instruktorski). Od października 1947 do czerwca 1948 roku uczestniczy w kursie zastępowych prowadzonym przez Komendę Hufca IV (kurs gospodarczy). W lipcu 1948 jest na obozie Chorągwi Łódzkiej (15 Ł.D.H. im. „Zośki”), pełniąc funkcję przybocznej, obożnej i prowadząc zastęp „Mewy”. Na obozach w Olbertynie uzyskuje sprawności: kucharka, goniec, praczka, miłośniczka gier (12 X 1947), śpiewaczka, pokojówka (22 XII 1947). Nadto jeszcze w ciągu ostatniego roku zdobyła takie sprawności, jak opiekunka dzieci, miłośniczka gier dziecięcych, kukielkarka, higienistka dziecięca, przyjaciółka książki, organizatorka przedstawień, krajoznawczyni, dekoratorka, sprawność „żywego słowa”, przyjaciółka lasu, pionierka.

Zginęła w katastrofie na jeziorze Gardno 18 lipca 1948 r. Pogrzeb ofiar odbył się w Łodzi 21 VII 1948 r. Pochowana z gronem współofiary katastrofy, harcerzek, na Starym Cmentarzu Katolickim w Łodzi.

³ „Liczba”. Słowo to, często tu występujące i tym skrótem oznaczone (także w odniesieniu do szkół), zastępujemy dziś słowem „Numer”.

ŻYCIORYS

Jestem Polką wyznania rzymsko-katolickiego. Urodziłam się dnia 12 VI 1935 r. w Łodzi. Na skutek wojny znalazłam się we Lwowie, skąd byłam wywieziona do Kazachstanu. Po powrocie w listopadzie 1940 roku do Lwowa, chodziłam tam do przedszkola. Za czasów okupacji niemieckiej uczyłam się w domu i zdałam egzamin do 7-mio klasowej Polskiej Publicznej Szkoły Powszechnej L. 25. W następnym roku chodziłam do klasy IV Średniej Szkoły L. 19 we Lwowie (Średnia szkoła L. 19).

Na skutek przyłączenia Lwowa do ZSRR przyjechałam w maju 1945 roku do Łodzi, gdzie chodziłam do Szkoły Państwowej L. 161 do kl. IV, potem V, VI i VII. Po ukończeniu szkoły ogólnokształcącej stopnia licealnego mam zamiar studiować w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej⁴.

Joanna Skwarczyńska

Łódź, dnia 15 VI 1948 r.

⁴Życiorys załączony do podania o przyjęcie na stopień licealny (kl. VIII).

ROZDZIAŁ I

W OCZACH DOMU

*Jeżeli chcesz tak naprawdę kogoś poznać,
spróbuj z nim zamieszkać...*

*Jeśli po latach wspólnego z nim mieszkania
nie opuści cię przekonanie, że jest to człowiek święty –
możesz być pewien, że dokonałeś wielkiego odkrycia.*

*A śmierć... Jeśli zaciera jego rysy w twojej duszy –
jest to takie ludzkie i takie zwyczajne...*

*Gdyby jednak właśnie po śmierci –
a to za sprawą Bożą –
rozrastał się w tobie i wokół ciebie,
stawał się coraz bardziej potrzebny i bliski,
coraz wyraźniej obecny –
to jest to prawdziwy święty.*

*Jeśli kogoś takiego znasz,
opowiedz mi o nim,
bym mógł go pokochać, zanim
na zawsze z nim zamieszkać...*

SZLAKIEM JEJ ŻYCIA⁵

To było takie proste i takie harcerskie. Druhna Joanna, zastępową łódzkiej drużyny „Mała piętnastka”, wciągała na burtę łodzi tonące dziewczęta. Podanie dłoni to był Jej ostatni czyn. Czyn przekreślający szanse własnego ratunku. Nie miała już czasu na myśl o sobie⁶. Łódź się pograżała. Joanna razem z 22 druhnami odeszła na wieki.

Chóralny śpiew „Serdeczna Matko, Opiekunko ludzi...” i głośnie „Pod Twoją obronę”⁷ – to była ostatnia wspólnota harcerskiej drużyny, nim jej część większą pochłonęła woda, a część mniejszą uratowało Boże Zmiłowanie.

Trudno ująć pokrótce sylwetkę Joanny. Zdawała się składać z cudownych, a pozornie nienaturalnych w symbiozie⁸ cech, tworzących jedność doskonałą: niezwykłą, niepowtarzalną, pełną pochłaniającego uroku. Wysoka, smukła, a rozrośnięta i tryskająca żywotnością, o ślicznie zarysowanej głowce, prostym nosku i

⁵Wspomnienia matki Joanny, Stefanii Skwarczyńskiej.

⁶Według relacji drużny Romy Ostalskiej, której dane było wyratować kilka dziewcząt przez wciągnięcie ich na wywróconą motorówkę.

⁷Według relacji uratowanych dziewcząt, w tym relacji drużny Zetki Erdmanówny.

⁸Słowo to oznacza zgodne współżycie w przyrodzie różnych organizmów. W tym wypadku matka Joanny chce wyrazić zdziwienie, że u jej córki współistniały, nie kłócąc się ze sobą, cechy rzadko spotykane jednocześnie u jednego i tego samego człowieka.

Zrozumienie wielu podobnych słów, zwłaszcza obcego pochodzenia, nie sprawia dziś trudności młodzieży (np. symbiozę omawia się na lekcjach biologii) oraz posiadaczom słownika wyrazów obcych. Ci niech wybaczą i nie irytują się, tym, że – ze względu na pozostałych czytelników – wyjaśnia się w tej książce nawet niektóre słowa dość powszechnie dzisiaj używane.

ogromnych, nalanych światłem, migotliwych, mieniących się odcieniem wrażeń oczach. Ciężkie, długie włosy, zwykle ciemne, lecz o złotych załomach, czasem zupełnie jasne, przywoływały myśl o leśnej rusałce. Delikatna złotawa cera, zarysowana błękitnymi żyłkami, mieniła się pod falą wzruszenia lekkim rumieńcem. Ale właściwy charakter jej urodzie nadawał uśmiech: zawsze promienna, zawsze słoneczna dla każdego – i tak to ludzie odczuwali – była kwiatkiem, smugą światła, leśnym urokiem, dziewczątkiem i dzieckiem. Także wiarą w życie, miłością wszystkiego co dobre, szlachetne i piękne. Nie do uwierzenia, że tyle serc – nie przez ich współczucie dla rodziców, ale na skutek darów, które wokół sypała – okryła żałobą. Nie widziałam w życiu tylu łez w męskich oczach, ile po śmierci tej dziewczynki: „zjawisko”, „swoja”, „niepowtarzalna”, „promienna wewnętrznym światłem”, „radość oczu i serca”. Widać, że ta niezwykłość w Niej była specjalnego gatunku, skoro – jak mi potem mówiono – nieraz szeptało się między sobą: „Jest w niej coś zaświatowego... czy tylko... się dochowa?” Dziwny był u ludzi ten lęk: czy się uchowa – wobec stworzenia tryskającego zdrowiem, radością, żywotnością, temperamentem pozornie nieokiełznanym, ruchliwego, wiecznie gdzieś śpieszącego, wiecznie na jakichś usługach, a tym tylko niezwykłego, że zdolnego równocześnie do głębokich zadumań, skupionej pracy myśli, niemal do odrętwienia pod wpływem poezji, która ją przeistaczała w uosobienie zachwyty.

Dziecinność, wesołość, gotowość do „kawałów”, dowcip z jednej strony – a z drugiej dojrzałość wewnętrzna, jakaś przedziwna pełnia i nasycenie.

Nieprawdopodobnie niewinna i czysta, wstydliva aż do skrajności, skryta w ujawnianiu najgłębszych przeżyć, ukrywająca się po prostu ze swymi dobrymi uczynkami i ze swoim życiem wewnętrznym. Wymykała się cichutko do kościoła, w tajemnicy,

którą ten i ów podpatrzył. Chyba najbardziej charakteryzowała Ją postawa ideowa i uspołecznienie: wszystko dla wszystkich. Wszystko co miała, dawała, wszystko pojmowała jako wspólne: jej bluzeczki, jej książki i jej zeszyty były wieczne „wypożyczone”, jej drobne oszczędności wchłonięte przez potrzeby drugih. Pasja pracy dla Polski, służby Polsce, pasja pracy społecznej. Przy tym znakomita organizatorka: podstawą dla niej był c z y n ; ni śladu gonienia za efektem, niechęć do pochwały⁹, zawstydzenie wobec uznania¹⁰, zupełne wyzucie z jakiejkolwiek zarozumiałości – po prostu wydawało się dziwne, jak mogła nie być popsuta przez własne zdolności i sukcesy szkolne, przez autorytet, jakim się cieszyła wśród koleżanek i w harcerstwie, przez uwielbienie publiczności teatralnej, wreszcie przez powszechną miłość ludzką. Kierowniczka szkoły mówiła, że w szkole patrzano na nią jak na dziwo: zdarza się dziewczynka wybitnie zdolna, zdarza się obdarzona talentami, zdarza się uspołeczniona i o postawie ideowej, zdarza się i śliczna, ale żeby wszystko spotkało się w jednym dziecku – tego przecież nie bywa. Głęboka inteligencja, bystrość, zdolność łatwego kojarzenia, skłonność do syntez¹¹ i pasja do dokładnej obserwacji i poznania, pamięć trwała i usłużna, zdolność szybkiej orientacji w zagadnieniach, żywa, aktorska, jak się mówiło, wyobraźnia. Przy tym głęboka uczuciowość i niezwykła wrażliwość w zetknięciu z ludzkim cierpieniem, żywym czy utrwalonym w literaturze; oczy jej

⁹Żaliła się nieraz, że nauczycielka „znów odczytała w klasie jej wypracowanie a przecież ono wcale nie jest dobre”; uważała to za krzywdę koleżanek.

¹⁰Kierowniczka szkoły, p. M. Podśędkowska, podkreślała jako jej znamiennej cechę prostotę i brak cienia jakiegś zarozumiałości czy pewności siebie.

¹¹*Do obejmowania wielu rzeczy naraz jednym rzutem oka oraz dostrzegania powiązań między nimi.*

stawały się ogromne, otwierały się szeroko i napełniały łzami (ileż łez niegdyś pociekło chociażby nad *Jaś nie doczekał* Konopnickiej). Ta łatwość i głębia wzruszenia sprawiła, że np. grając rolę Lilusi w *Ich czworo* Zapolskiej – w ostatniej scenie, gdy dziecko zostało samo na scenie, opuszczone przez matkę – podnosiła niekiedy główkę, a po twarzyczce ciekły dwie strugi najprawdziwszych łez. Równocześnie miała imponująco silną wolę, łatwość rozsądnych i trudnych decyzji, wytrwałość i obowiązkowość, które sprawiały, że do późnej nocy siedziała nad rozmaitymi pracami dla szkoły i harcerstwa (tablice, wykresy, modele na wystawę szkolną, sporządzanie zabawek dla dzieci z sierocińca, fantów na cele społeczne etc.¹² – a wstawiała o świcie. W ciągu dwóch ostatnich miesięcy szkolnych już o 6⁰⁰ pędziła do szkoły, gdzie uczyła w ramach Samopomocy Szkolnej trójkowe koleżanki. Kierowniczka opowiadała, że nie było lepszej „matki” dla „trójkowych” jak ona. Uczyła je, pomagała im, wypraszała u nauczycielek powtórne pytanie, zamartwiała się ich niepowodzeniem, promieniała sukcesami.

Nie było w niej nic ze słomianego ognia¹³, decydowała się po głębokim, acz krótkim namyśle i natychmiast rysowała plan wykonania z przewidywaniem trudności i obliczeniem koniecznej na to energii, z doskonałym rozplanowaniem pracy w czasie. Znakomita organizatorka, kierowniczka w pracy, co jej ułatwiała autorytet wśród młodszych i starszych. „Z jej zdaniem każdy się liczył, ona zawsze w dyskusji miała słuszość”. Wymagania wobec drugich – zwłaszcza co do charakteru, solidności i ideowości w pracy – usprawiedliwione były maksymalnymi wymaganiami wobec

¹²Po łacinie „et cetera” (etc.) to po polsku „i tak dalej” (itd.) lub „i inne” (i in.) W następnych przypisach język łaciński będzie oznaczany skrótem „łac.”

¹³Zdanie p. M. Podsędkowskiej, kierowniczki szkoły nr 161 w Łodzi.

samej siebie. Zawsze po dokonaniu jakiejś roboty miała minkę niezadowoloną, że przecież powinna to była zrobić lepiej.

We wszystkim była „totalna” – dawała całą siebie. Niczego nie potrafiła robić „połową duszy”, by „drugą połowę dla siebie tu zachować”. Taki był jej stosunek do harcerstwa i do teatru, w którym widziała swoje powołanie. Taki był jej stosunek do tych, których kochała. Kochała bezwzględnie, z uwielbieniem i namiętnie. W tym kochaniu mieniła się cała w spojrzeniach, w niebywalej inwencji¹⁴ słów czułych a „wymyślnych”, w pieszczocie nachyleń i przytulenia.

„Twój kociak i Twoja stokrotka” – oto podpis pod jednym z listów do matki. Nie było granic jej ofiarności wobec tych, których kochała. Potrafiła przesiedzieć całą noc przy chorej matce, aby jej co dziesięć minut zmieniać okłady. Miłością pełną kultu wobec swego ideału płonęła dla drużyny Soperek. To był jej największy a uwielbiany przyjaciel, to był ten wyjątkowy ktoś, komu nawet zwierzała czasem tajemnicę swego dobrego uczynku. Kipiała serdecznością i troską wobec kochanych. Pierwsza jej myśl była zawsze o starszej siostrze; jej z pierwszych zarobionych pieniędzy kupiła kapce, upominała się zawsze o ciastko dla niej, jeśli się ją samą wzięło „na ciastko”. Umiała ciągle pamiętać o tych, których kochała. Stąd przedziwna inwencja w dobieraniu i „stwarzaniu” drobnych podarunków świątecznych i imieninowych. Każdy dostawał to, co mu było najbardziej potrzebne – a potrzebę drugich tak przedziwnie umiało podpatrzyć to dziecko! Niezapomniane pozostaną jej gesty serdeczne wobec przyjaciół rodziców, nagle przytulenie główki, jakieś czułe a żartobliwe „przezvisko”...

Żywą, kłiwą miłością kochała Polskę – stąd ambicja poznania jej, gwałtowna chęć podróży po niej. Znała prawie całą

¹⁴Wyszukiwaniu, dobieraniu.

Polskę, mała podróżniczka. Nawet *wielka* podróżniczka, bo przejechała Rosję, widziała – w drodze powrotnej z Kazachstanu – Moskwę, zwiedziła Kijów, potem mieszkała we Lwowie. Znała Lublin – była na Majdanku. Niezatartą nigdy wizją Grottgerowską pozostanie mi w pamięci to dziecko sunące ze spuszczoną główką po miejscach polskiego męczeństwa, z oczyma pełnymi łez na widok pagórków usypanych z buciąt pomordowanych dzieci, z ogniem zapalonym na policzku od ciężkiego, zakwefionego dymem znicza płonącego nad cembrowiną ludzkich prochów. Znała Zamojszczyznę, Kraków (tak dobrze, że oprowadzała po nim wycieczkę szkolną, zwłaszcza miała „opanowaną” Skałkę przez kult dla Wyspiańskiego), ukochaną Warszawę, Zakopane, Sudety, wreszcie Częstochowę, nie mówiąc o okolicach Łodzi i – ostatnio – Pomorze. Specyficzny był jej stosunek z jednej strony do piękna miasta czy krajobrazu, z drugiej do przeszłości historycznej, z trzeciej do „terenu”. Znakomite zżycie z mapą dawało jej możliwość organizowania wycieczek, a raz nawet prowadzenia nocą wycieczki wśród wichury: 12-letnie wówczas dziecko prowadzące z mapą, kompasem i latarką grupę starszych dziewcząt-harcerek na obozie drużynowym w Olbertynie¹⁵.

Namiętnie kochała Łódź. Nieszczęsny ten, kto się wyrwał przed nią z krytyką Łodzi!: „Moja ukochana Łódź!”; a gdy ktoś powiedział, że Łódź jest brzydka, natychmiastowa odpowiedź: „Jeśliby nawet tak było – to właśnie dlatego trzeba ją więcej kochać”. W przeddzień śmierci, na ognisku dla miejscowej ludności, którego program opracowała pod hasłem „wędrowka po Polsce”, sobie zarezerwowała recytację wiersza o Łodzi (zdaje się Broniewskiego, który był jej ulubionym poetą spośród współczesnych). Najmilsza, najdroższa Łodzi, która z taką wspaniałością i z takim sercem

¹⁵Relacja druhny Haliny Soporek.

żegnałaś swoje dzieci na Starym Cmentarzu – jakżeżby z ciebie była dumna Joasia...

To, co najbardziej charakteryzowało jej postawę wobec życia, to był jej naturalny gest heroiczny, a spełniany tak po prostu, z taką pozorną irytacją, jakby był jedynie koniecznością, jakby nie było tutaj pola do wyboru.

Zeszłego roku, gdy miała otrzymać z języka francuskiego stopień bardzo dobry, a jej ambitna, cierpiąca z tego powodu koleżanka tylko dobry, poszła do nauczycielki z prośbą o obniżenie stopnia. A lubiła dobre stopnie! „Nie zdarzyło mi się, aby dziecko przyszło do mnie z prośbą o obniżenie stopnia” – powiedziała pani Ruszczyńska¹⁶.

W planie obu obozów w Olbertynie była wycieczka na Śnieżnik. Joanna, zapalona turystka, marzyła o niej tygodniami. Ale na żadną z nich nie poszła, ponieważ za każdym razem w obozie któraś z dziewczynek słabowała. Jednej tylko towarzyszce zwierzyła się: „Przecież ktoś musiał zostać, a wszystkie taką mają ochotę pójść...”

Tamtego roku po dwóch obozach pojechała do państwa Jakubowskich na tydzień do Inowłódza, na lotnisko. Pani Zosia była zajęta gospodarką, gotowaniem i opieką nad trójką małych dzieci. Joanna postanowiła „dać jej urlop”. Gotowała, zajęła się domem i dziećmi, „aby pani Zosia trochę odpoczęła”. (A świetna z niej była kucharka i gospodyni – gotowała w mig, dobrze smażyła konfitury, marmolady – niebywale skrzętny duszek domowy.)

Tego roku na „prima aprilis” obie klasy siódme zwały na węgry. Pomysł którejś z trójkowych uczennic, a więc szczególnie

¹⁶Jej ukochana wychowawczyni i nauczycielka w kl. IV, V, VI.

eksponowanych¹⁷. Joanna poszła, „nie została by jak lizus”, mimo iż tego dnia oczekiwała w szkole ważnego dla siebie telefonu, bo od druhny Haliny. Naturalnie wybuchła w szkole straszna historia. Posądzenie padło na Joannę, jako że znana była jej pomysłowość i autorytet w szkole. Zagrożono usunięciem ze szkoły, a przynajmniej obniżeniem stopnia ze sprawowania. Joanna przyjęła na siebie odpowiedzialność. Mężnie zniosła wszystkie przykrości z tym związane i milczała aż do końca. I dziś nie wiemy nawet, kto był ową projektodawczynią¹⁸.

I tego roku – jak zeszłego – została zaproszona przez druhnę Halinę na obóz Chorągwi Mazowieckiej, tym razem w Góry Świętokrzyskie. Było to jej marzeniem, ale i nieprawdopodobną pokusą, zważywszy, że przebywanie razem z druhną Haliną, jej ideałem, było dla niej najwyższym szczęściem. Ale równocześnie formował się obóz 15 Ł.Ż.D.H. Początkowo nie było pewne, czy dojdzie do skutku z powodu trudności finansowych. Joanna wyraźnie mówiła, że niedojście obozu do skutku byłoby katastrofą dla drużyny. Toteż, mimo że ją serce rwało gdzie indziej, dołożyła wszelkich starań dla zrealizowania obozu (np. zajęła się stroną gospodarczą, zbierała produkty, topiła tłuszcz, pakowała prowiant). Ale prześladowała ją pokusa Gór Świętokrzyskich; kiedy niezupełnie było pewne, czy łódzki obóz dojdzie do skutku, kiedy trzeba mu było pomagać „chcieniem” – przyszła do matki: „Mamusiu, co robić? Góry Świętokrzyskie, czy obóz łódzki?” – „Córeczko, trzeba postąpić tak, jak każe obowiązek”. A obowiązek kazał się zająć organizacją łódzkiego obozu i pojechać tam, gdzie znalazła śmierć.

Zupełnie niezwykle była w cierpieniu fizycznym: cichutka, bez

¹⁷Łac. (*dostownie*): „wystawionych” (*na widok nauczycieli, rzucających się tymże w oczy jako najslabsze, wciąż zagrożone dwójką*).

¹⁸Opowiadała o tym siostrze.

skargi, zaciskająca zęby w największym bólu. Może miała 8 lat, kiedy chorowała na uszy i lekarz musiał jej w łóżku przekłuć bębenek. Powiedział¹⁹, że nie widział jeszcze tak dzielnego dziecka. Na wsi, na Lubelszczyźnie, podczas wojny, zachorowała na nerki. Wypielęgnowała ją w nieobecności matki 14-letnia siostra, która sama, konikiem, pojechała nocą po lekarza. W czasie całej choroby wprost budująca była jej cierpliwość²⁰.

W jesieni 1945 roku zachorowała na bardzo ciężki dyfteryt. Szalony ból gardła i szczęk, opuchnięcie ślinianek, osłabienie serca wskutek wysokiej temperatury. Chwile niemal beznadziejnego stanu, z którego zdawała sobie sprawę, przeleżała cichutko, bez skargi, starając się nie odrywać piszącej po nocy, ciężko wówczas pracującej matki. Raz tylko: „Mamusiu, siadź przy mnie – ze mną jest bardzo źle”. A potem: „Czy człowieka można pochować w rowie?” – „Dlaczego pytasz, córeńko?” – „Bo widzisz, ja się tak boję, tak się martwię, że ty się będziesz zapracowywać na mój pogrzeb...”

Potem wycinanie migdałków, zniesione bez drgnienia powiek. Wreszcie wypalanie jakichś szkolnych kurzajek, wielki ból, zniesiony z uśmiechem, i słowa doktora: „Bohaterskie dziecko”. – „Jestem harcerka”.

A potem okres bujnego zdrowia, wspaniałych sił, niezwyklej wytrzymałości fizycznej, panowanie nad głodem czy apetytem, zdolność do bezsenności, i to niemal tygodniami w ciągu wytężonej pracy. Ćwiczyła się świadomie w wyrzeczeniu i abnegacji²¹. Pasjami lubiła lody. Otóż na mocy kiegoś postanowienia wewnętrznego,

¹⁹Dr Kędziński, specjalista chorób uszu i gardła we Lwowie.

²⁰Relacja jej siostry, Marysi.

²¹*Łac.: w zaparcu się siebie. Warto sobie przypomnieć, że tego właśnie wymaga Chrystus od swoich uczniów (Mt 16,24, Mk 8,34, Łk 9,23).*

którego tajemnicę wzięła ze sobą do grobu, postanowiła – zdaje mi się, że przez maj – nie jeść lodów.

Joanna wszystko mogła i wszystko umiała: „przyjdzie Joanna i wypierze bieliznę” – „przyjdzie Joanna i wyprasuje bluzkę” – „wróci Joanna z obozu, to usmaży konfitury” – „zamarynuje grzyby” – „kupi to a to”. Joanna nawet „niegdyś”, gdy miała 9 czy 10 lat, dobrze grała w brydża. Niezapomniana scenka, gdy w Krakowie ograł dzieciak trzech skonfundowanych²² klęską ambitnych brydżystów. Nauczyła się pisać na maszynie, co wykorzystywała dla potrzeb harcerstwa i klasy. Można jej było powierzyć każdy odcinek pracy, od dziecka była odpowiedzialna za to, czego się podjęła.

Urodziła się 12 czerwca w Łodzi. Tu spędziła lata dziecięce. Tu, w przedszkolu, pierwszy udział w przedstawieniach teatralnych. Tu pierwsza i dozgonna przyjaźń z Zetką Erdmanówną. Wakacje w rodzinnej wsi pod Sanokiem, w Dąbrówce Polskiej. Łącznie z tymi ostatnimi, słonecznymi, zakończone przymusową jazdą bryczką – pod niemieckimi bombami, wśród pożarów – do Lwowa. Potem lata wojny. Ojciec w obozie niemieckim, matka ciężko pracująca na liczną rodzinę, bo w miarę narastającego tragizmu tamtych czasów zwiększała się rodzina, to o babcię Skwarczyńską, to obawa o dzieci, którym zawierucha wojenna zabrała rodziców – malutki Krzych Jakubowski, Anetka Strawińska, to – chwilowo – o nieszczęśników, których trzeba było kryć przed Niemcem.

Januśka zawsze dla wszystkich swoja, serdeczna, dyskretna i milcząca. Także odruchowo nieustraszona. Żadna bomba ani żaden pożar nie zdołały dziecka wytrącić z równowagi: czy to w czasie jazdy bryczką spod Sanoka do Lwowa w zgiełku wojny, czy w czasie przedzierania się przez front niemiecki okalający Lwów, czy

²²Z łac.: zawstydzonych, zmieszanych.

w czasie oblężenia miasta przez Niemców. A potem znów – po ongiś łódzkim – przedszkole lwowskie. I nowa podróż na Wschód, w nieznane, do Kazachstanu. Przez dwa przeszło tygodnie w zaplombowanych wagonach towarowych – i głód. Żelazna wytrzymałość Joasi i już wyrobione poczucie odpowiedzialności. Każdą robotę wykonywała skrupulatnie, od obierania małymi rączkami ziemniaków i zbierania z ciernistego „karaganu” listków na „herbatę”, po pilnowanie domu i zbieranie „kiziaków”. Było to tak naturalne, że nikt z najbliższych nie zwracał na to uwagi. Dopiero obcy odkryli wartość i urok tego niezwykłego dziecka. W czasie powrotu z Rosji różni podróżni współtowarzysze, kobiety młodsze i starsze, cywile i żołnierze nazywali to dziecko z zachwytem i czułością: „kukiełka”, „wiosna”, „gwiazdeczka”. A „gwiazdeczka” promiennymi, ogromnymi oczyma patrzyła na przechodniów, którzy w Moskwie czy w Kijowie ładowali cukierki do kieszonki jej kożuska i mówili do niej tak słodko, jak nie mówiła nawet „swoja mamusia”.

Część okupacji spędziła Joasia wraz z siostrą u wujaszka Teleżyńskiego na wsi. Kochano tam malutką pracowitą mróweczkę, którą zawsze znaleźć było można – jak twierdziła ciocia²³ – po śladach jej dokładnej, cichutkiej pracy. Tam, w Leśniczówce, zabłysła po raz pierwszy na domowej scenie, a to jako skrzętny krasnoludek w udramatyzowanej baśni o sierotce Marysi²⁴. Podobno grała ślicznie i – milcząc – wypełniała skrzętnymi ruchami leśnego duszka scenę po scenie. Tam, w Leśniczówce, przeżyła wielkie uniesienie: dzień Pierwszej Komunii, który ją przeświecił i

²³Wedle relacji cioci Jadwigi z Ładomirskich Teleżyńskiej.

²⁴Udramatyzował i wyreżyserował baśń Konopnickiej o sierotce Marysi z wkładką słów Anioła Stróża z Dziadów cz. III – prof. dr Juliusz Kleiner, przeżywający niebezpieczne czasy u Tadeuszystwa Teleżyńskich.

przeobraził. Ale tam także przeżyła chwile grozy: wysiedlenie Polaków z Zamojszczyzny, rzeź Żydów chroniących się w rozpaczny w domu wujostwa, tragizm bezradności, napady nocne, leśne życie zbliżające się nocą do wsi. Wreszcie aresztowanie wujostwa przez Gestapo.

Potem powrót do Lwowa. I tu zetknęła się Joanna z życiem konspiracyjnym i z poezją. Doznała rewizyj domowych, ale i radości, że udało się uratować zagrożonych i poszukiwanych. Tutaj – schowana pod stołem – uczestniczyła w tajnych zebraniach literatów, w wieczorach autorskich. Tutaj usłyszała po raz pierwszy Wielką Improwizację Mickiewicza recytowaną przez reżysera Bronisława Dąbrowskiego. Tu malutkim serduszkim pokochała Polskę. I tutaj, we Lwowie, spotkał ją wielki zaszczyt i wielkie szczęście... Grono aktorów, z reż. B. Dąbrowskim na czele, postanowiło stworzyć tajny teatr.

Ks. Szlec ofiarował strych na plebanii przy parafii Świętej Zofii, który przerobiono na salkę teatralną. Zdecydowano się na *Ich czworo* Zapolskiej. W gronie aktorów znalazła się śp. Teresa Suchecka, Irena Tomaszewska, Z. Życzkowska, A. Młodnicki, T. Surowa. Reżyser zaproponował Janusi rolę Lilusi. I odtąd pochłonał ją teatr – jej najgłębsze wówczas umiłowanie, powołanie, nieodwołalna decyzja jej życia. Na próby chodziła jak na największe święto. Dziewczątka odznaczało się pilnością, oddaniem sztuce, talentem. Podbiło serca tłumu konspiracyjnie odwiedzającego stryszek domu parafialnego, a podbiło dziecianną naiwnością i dojrzałym tragizmem bijącym z wielkich oczu.

Kiedy znów – po dramatycznych walkach, toczących się przez dwa dni także pod oknami Joasinego domu – wojska radzieckie zajęły Lwów, zaczęła się dla Joasi nowa era. Dotąd uczyła się w domu; teraz uczęszcza do polskiej szkoły, w której klasa IV uczy się, prócz „zwykłych” przedmiotów, przedmiotów nowych: języka

rosyjskiego, ukraińskiego, historii Rosji, historii partii... Wszystkiemu daje radę. Jest świetną uczennicą, jej uczynność i postawa, jej obowiązkowość i uspołecznienie dają jej w klasie autorytet i miłość koleżanek, uznanie nauczycielstwa.

Ale mamusi trzeba pomóc. Zresztą – teatr... Reż. B. Dąbrowski zostaje dyrektorem Państwowego Teatru Polskiego we Lwowie. Angażuje – tym razem oficjalnie – Janusię, która odtąd pobiera gażę²⁵, a nawet płaci podatek od... bezżenności. Znów jest Lilusią w *Ich czworo*. Jan Brzoza w *Czerwonym Sztandarze* zapewnia, że „publiczność lwowska pokochała małą Janeczkę, jak tylko publiczność lwowska pokochać potrafi”. A potem otrzymuje rolę Isi w *Weselu* Wyspiańskiego. To już czar ostateczny. Misterium zbyt wielkie, aby Janusia o nim kiedykolwiek mówiła. Rola Isi jest jej świętością. Nigdy jej potem nie recytuje, choć recytuje – iście z natchnieniem – przeróżne partie *Wesela* z ukochaną rozmową Dziennikarza ze Stańczykiem na czele. Zna *Wesele* na pamięć. Rozmówiona w Wyspiańskim, czyta go, otacza kultem i zdobywa taką o nim wiedzę, że staje do dyskusji ze śp. prof. St. Łempickim, w której raz po raz ona ma słuszość, jak stwierdza profesor. Z pięknym świadectwem ze szkoły i teatru (jak mogło to dziwne dziecko pogodzić dwa takie obowiązki?) wyjeżdża w kwietniu 1945 roku ze Lwowa. Najpierw Kraków, dla niej miasto Wyspiańskiego, potem Łódź, jej miasto ukochane, miasto jej pracy, miasto jej kolebki i grobu.

Ciężkie z początku warunki materialne. Starsza jej siostra, Marysia, pomaga matce sporządzaniem drewniaków, a ona, Joanna, udziela korepetycji z matematyki. Równocześnie uczęszcza do szkoły nr 161, gdzie przechodzi koniec klasy IV, klasy V, VI i VII.

Od pierwszej chwili zajęła pierwsze miejsce w klasie. Była tak

²⁵Z franc.: stałe pobory, pensja.

zdolna, że niewiele wkładała w to trudu. Każde zakończenie roku szkolnego przynosiło jej nagrody książkowe za pilność i uspołecznienie. Za to pełny trud wkładała w życie społeczne szkoły. Ostatnio była przewodniczącą samorządu klasowego, przewodniczącą szkolnego Czerwonego Krzyża, „redaktorką odpowiedzialną” gazetki szkolnej, którą „zasilała artykułami”. Pracowała w Towarzystwie Przyjaciół Żołnierza. Brała udział we wszystkich uroczystościach i pracach szkoły – główna w niej recytatorka i aktorka. I tak: miała rolę rycerza w baśni Ewy Szelburg-Zarembiny, wystawionej w teatrze „Lutnia” dla starszej publiczności. Była Matką Boską w jasełkach, deklamatorką na wszystkich akademiach. Ostatnio olbrzymią pracę wielu nocy włożyła w organizację pięknej wystawy szkolnej (m.in. tablice i model wzorowego harcerskiego obozu), po której z dumą oprowadzała zwiedzających.

Na uroczystym zakończeniu roku szkolnego recytowała wiersz (nie wiem czyj) o Ojczyźnie i – w pięknym, oczywiście własnego układu, przemówieniu – przekazała sztandar szkolny młodszej klasie, ten sam sztandar, który w trzy tygodnie potem, okryty krepą, żegnał dwadzieścia cztery trumienki na Starym Cmentarzu.

Zdała egzamin wstępny do klasy VIII, przechodząc tym samym do drugiego stopnia szkoły podstawowej, pod dyrekcję T. Czapczyńskiego. Kochana przez nauczycielki, uwielbiana przez koleżanki. Słabsze uczyła, pomagała im jak umiała, pożyczala co mogła: „Co moje, to wasze”. Trudno zapomnieć jej rozpromienienie, gdy siostra odstąpiła jej swój plecak dla koleżanki, która bez tego nie mogłaby pojechać na obóz. Czekala na siostrę z biciem serca i wycalowała ją jak szalona, gdy ta zrzekła się plecaka. W szkole była uważana za poważną, dojrzałą osobę, której rady, pomoc i zdanie wysoko się ceni. „To był bardzo ktoś – Joanna” – powiedziała jedna z nauczycielek. „Była dobra, subtelna, dzielna i nad wszystko promienna – to obraz, jaki po sobie zostawiła wua w

szkole”. „I piękna, niezwykła, niepokojąco piękna” – dodaje kierowniczka – „jakaś inna niż wszystkie, i takie... swoje dziecko”. Uczyla się nadto prywatnie angielskiego, na co jej w ostatnich miesiącach brakło czasu, podobnie jak na naukę pływania, na którą była zapisana w YMCA.

Tak się złożyło, że na wiosnę 1946 r. znów w Łodzi wystawiano *Ich czworo* w reżyserii Erwina Axera, przy współudziale Miry Zimińskiej, H. Bielickiej, Kochanowicza, Tatarskiego, Macherskiej, M. Kaniewskiej. I znów Joanna została Lilusią, tym razem w sukienkach z epoki. I znów zachwyty, miłość dla niej nowego grona, oklaski publiczności i... znów jej dziecinna skromność. Był to okres jej nadludzkiego przepracowania: rano szkoła, potem próby, lekcje angielskiego, nawet korepetycje, „aby ulżyć mamusi”, potem przez dwa miesiące, wieczór w wieczór, także w niedziele po południu, przedstawienia. Uczyla się najspokojniej w antraktach²⁶, w garderobie – ku podziwowi dorosłych kolegów.

Głos Joanny – taki dziecinny na co dzień – stawał się pełny i głęboki, wibrował wzruszeniem i siłą. To dziecko przeistaczało się na scenie.

Na wiosnę 1947 r. powiada pewnego razu: „Może się spóźnię, bo będę w atelier filmowym”. – „Co takiego?” – Okazało się, że do filmu *Ulica Graniczna* postanowiono wybrać aktorów z terenu. Jak matkę objaśnił potem reżyser Suchcicki, poddano badaniom kilkanaście tysięcy dzieci szkolnych z całej Polski. Reżyser przyszedł do szkoły Joasinej i stamtąd wybrał także 40 dziewczynek. Potem następowały różne próby eliminacyjne: próba fotogeniczności, gry aktorskiej, głosu, improwizacji aktorskiej przed kamerą. Do finiszu doszły trzy dziewczynki – między nimi Joanna.

²⁶W krótkich przerwach, potrzebnych na zmianę dekoracji za zasłoniętą kurtyną.

Finisz przeszły dwie: Joanna i Maja Broniewska. Wybór zostawiono Fordowi, autorowi scenariusza. Reż. Suchcicki powiedział matce, że Joanna to naprawdę wielki talent. Ale jeśli by Joanna miała otrzymać pierwszą rolę, trzeba by jej włosy utlenić. Szczęściem decyzja Forda, autora scenariusza, zapadła na korzyść małej Broniewskiej.

Pamiętny to dzień, kiedy Joanna powiedziała: „Mamusiu, ja się zapiszę do harcerstwa”. I od tej chwili – od 15 września 1946 r. – była naprawdę harcerką. Harcerką całą duszą, całą sobą, istniejącą i wytłumaczalną w swym szybkim rozwoju duchowym tylko poprzez ideologię harcerstwa. Postawa czynna wobec życia, ambicja służby społecznej, zupełny brak względów osobistych w pracy, wielostronna praca nad sobą, przemyślana i odpowiedzialna, poczucie odpowiedzialności za każdy przyjęty obowiązek, za podwładne w zastępie, podobnie świetnie zapowiadający się metodyk, znakomita, bogata w pomysły organizatorka, wymagająca od siebie i od innych, rozsądna i roztropna, nad wiek dojrzała, pogrążona w zagadnieniach i problemach, dzielna, żywotna, bystra, ogarniająca całokształt rzeczy i drobne szczegóły, kochająca i bardzo kochana.

Ostatni rok w harcerstwie to był rok zupełnego jej oddania się idei Harcerskiej Służby Polsce. To ją porwało, to ją pochłonęło bez reszty. Olśniła ją konkretna praca, ogarnęła ją wprost żądza, by naprawdę budować Polskę rękami harcerskimi. Kreśliła programy, realizowała je w swoim zasięgu, dążyła do tego, by Służba Polsce stała się umiłowaniem drużyny i ambicją każdej z harcerek. O tę ideę walczyła słowem i czynem.

Tylko druhny przełożone i druhny podwładne mogłyby dać świadectwo jej codziennemu życiu w harcerstwie. Dom mógł tylko obserwować jej studiowanie literatury harcerskiej, niezliczone notatki, programy zajęć, zbiorów, pogadanek, wycieczek, pisanie

ilustrowanych kronik z życia drużyny, jej troskę o ducha i formę harcerstwa. Zdaje się, że swoją aktywnością ogarniała jeszcze dawniej nie tylko swój zastęp i swoje funkcje, ale i bratnie zastępy, np. „zamawiając” u matki piosenki dla zastępów (Konary, Korzenie, Jaskółki, Biedronki). Na tle harcerstwa rozkrzewiła się w niej miłość do Polski i żądza jej poznania, jej zżycie z mapą i kompasem, jej kult dla pieśni harcerskiej. Po powrocie z obozu w Olbertynie prześpiewała kilka godzin pod rząd wszystkie harcerskie pieśni. Darzyła szczególną miłością ideę ogniska. Ognisko stało się jakąś jej świętością, jakimś szczególnym ołtarzem. Z zamiłowaniem kreśliła programy ognisk, zawsze wiążąc je z jakąś służbą społeczną. Opowiadała mi drużna Halina, że po jednym z ognisk w Olbertynie, którego tematem były postanowienia na przyszły rok, Joanna, najmłodsza z harcerek, poprosiła o pozwolenie posiedzenia przy ognisku po rozejściu się druhen. I przesiedziała nad tlejącym się ogniskiem aż do samego rana, do świtu, do pobudki, z główką opartą o łaskę. Rozmyślała całą noc, całą noc postanawiała...

Z niespotykaną szybkością zdobywała stopień po stopniu: nie mając trzynastu lat miała już za sobą ochotniczkę, tropicielkę, pionierkę. Także bardzo wiele sprawności, m.in. kucharki, gońca, praczki, miłośniczki gier, śpiewaczki, pokojówki, także innych w przygotowaniu.

Miała szczególną pasję do pewnych odcinków pracy, np. dla sygnalizacji. Jej zdanie wiele znaczyło u bardzo przez nią kochanej drużynowej, drużny Ireny Rosłanowskiej, jak i później u drużny Teresy Sass. Należała do 15. Żeńskiej Drużyny Harcerskiej im. „Zośki” („Mała piętnastka”) przy szkole 161, przyrzeczenie złożyła 21 czerwca 1947 r. Od 22 lutego 1947 r. była zastępową.

Niekiedy zbiórki jej zastępu odbywały się w domu. Małe druhenki patrzyły na nią jak w obraz, była dla nich uosobieniem powagi, bezwzględny autorytetem. Siostra usłyszała, jak

proceedziła pogadankę o miłości wśród ludzi i jak umiała wytłumaczyć i przekonać, że miłość należy się każdemu człowiekowi. Małe wystąpiły z argumentami antysemitckimi; odeszły po zbiorce w przekonaniu, że Żydzi to bracia w jednej polskiej rodzinie, a wyszukiwanie różnic jest nieuczciwością. Pozostały zeszyty z jej zastępu z uwagami: skarcenie, pochwała, zachęta, zawsze przypomnienie o drodze wzwyż. Od listopada 1947 r. pełniła funkcję przybocznej. Specjalnym kultem darzyła drużynę i sprawy drużyny, jej organizacja i jej służba leżały jej specjalnie na sercu. O właściwe postawienie służby harcerskiej w drużynie wiele i boleśnie walczyła do ostatniej chwili.

Miała szczególną zdolność do przemyśleń na szeroką skalę. Toteż drużna „Orlik” kazała jej wziąć udział w konkursie na przeznaczony dla zagranicy projekt ogniska z gawędą o miłości braterskiej. Dziewczynka się broniła, że przecież nie potrafi, ale napisała, nie zdając sobie sprawy, że do konkursu staje tylko młodzież starsza: licealna i akademicka. I... wzięła pierwszą nagrodę. Jej gawęda, pomysłowy program ogniska, poszedł za granicę, reprezentując nasz kraj na terenie międzynarodowym. Pogadanka 12-letniego wówczas dziecka... Była tak skromna, tak minimalnego o sobie mniemania, że nawet nie spytała o wynik konkursu. Drużna „Orlik” postanowiła ją wypróbować, ale daremnie przez parę tygodni czekała na jej zapytanie. Wówczas sama ją spytała, czy nie jest ciekawa wyniku konkursu. – „Cóż tam napisałam?” – „A zająłś pierwsze miejsce”.

Ale najpiękniejsze chwile w jej życiu to były obozy.

Zaproszona przez drużnę „Orlik”, odbyła kurs drużynowych na obozie w Olbertynie w lipcu 1946 r. jako najmłodsza, dziecko obozowe (druga z kolei miała lat 16). Ale to dziecko poprosiło, aby je traktować na równi ze wszystkimi, spełniało wzorowo, z zapalem, wszystkie ciężkie nawet obowiązki (np. wartę nocną). Brało udział

*al pari*²⁷ w całym intelektualnym życiu obozu, w naradach i kursach. Podolało wszystkim wycieczkom, pracy społecznej, pracy obozowej (np. gotowanie). Przez sierpień pozostała na drugim obozie w Olbertynie, na następnym obozie kierowniczek. Były to obozy, na których Joanna zdobyła wielką wiedzę i doświadczenie – i wymagania od siebie, i od życia harcerskiego na przyszłość.

Z opowiadań drużyny „Orlik” wiadomo, że wtedy odbyła się owa nocna wycieczka podczas wichury, którą miała 12-letnia Joanna poprowadzić „na ochotnika” z latarką, mapą i kompasem. Wątpliwości co do drogi nie uwzględnionej na mapie rozwiązała znakomicie, jak powiedziała: „intuicją”. Imponująca była jej dzielność w pracy – miała dziewczynka razem ze starszymi stawiała do wszelkiej służby. Kiedy trzeba było pomóc przez parę dni wojsku (WOP) w oczyszczaniu pola z chwastów, Joasia pracowała tak zapamiętała, że wróciła do obozu z palcami opuchniętymi i pokrwawionymi.

Joannę o przydomku „Szarotka” i miłosnym przydomku „Ślipek” ze względu na niezwykle oczyska – pokochano tam miłością serdeczną i głęboką. Pokochano za jej promiennosc, gotowosc do uslug, gotowosc do wszelkiej roboty i wyręki, dzielność i żwawość. W pamiętniczku, gdzie przy pożegnaniu wpisywały się „obożniczki”, wciąż przewija się motyw: „Bądź taką, jaką jesteś dzisiaj”. „Staraj się zawsze pozostać taką, jaką jesteś: słoneczną, pogodną i radosną. I niech Bóg błogosławi twojej pracy. Bardzo kochanej mojej drużynie przybocznej na pożegnanie – drużynowa...” „Na pamiątkę obozu w Olbertynie, «cherubinkowi» drużyny – Rybka”. „Kochanej Szarotce, by była taką, jaką jest. «Orlik»”. „Szarotko miła! W smutnych, szarych dniach Twego życia staraj się zawsze zachować swą promiennosc i pogodę i oddziaływać na innych tak, jak u nas na obozie w Olbertynie – zastępowe

²⁷Z włoskiego: na równi ze wszystkimi.

«Źródło»: «Wiśka» i «Kryształ». „Czarnemu Ślipkowi – prawdziwej harcerce – Skowrońska”. „Szarotce – najmłodszej, lecz najdzielniejszej z harcerek wpisała się w drodze powrotnej Mrówka”. – „Joanno! Życzę ci tylko jednego – bądź zawsze taką, jaką jesteś – «Zojka»”.

Następny obóz – to obóz zimowy w Zakopanem – kurs instruktorski – pierwsze asy harcerstwa. Znow zaproszona 12-letnia Joanna, która w lot zdobyła sobie miłość i uznanie. Poprosiła o pozwolenie uczestniczenia w codziennych popołudniowych konferencjach. Zgodzono się z uśmiechem i Joanna z zeszytem i ołówkiem, skrętnie wszystko zapisując, siedziała godzinami, uczestnicząc aktywnie w obradach.

Na obozach żyła Joanna hasłem: wszystko dla drugich, nic dla siebie. Smażyła pączki, świetnie się udały, rozdała wszystkie, sama nawet nie skosztowała; „To ja sobie usmażę omlecek” – powiedziała, gdy druha „Orlik” upomniwała się o nią samą.

Wreszcie ostatni obóz, obóz drużyny łódzkiej w Gardnie, jej troska, zmartwienie i szalona praca. Zajęła się przygotowaniem gospodarczym: topiła tłuszcz, zbierała prowiant – wszystko to pakowała, zabiegała o przewóz i sprzęt.

Na obozie była obożną, pełniła funkcję przybocznej i zastępowej. Ciężko przeżyła rozkaz, mocą którego została zastępową zastępu, w którym harcerki były o rok lub o dwa starsze od niej latami i klasą szkolną. Pomimo to – jak twierdzi Zetka Erdmanówna – miała zupełny posłuch i pełny autorytet. Kochano ją i słuchano bezwzględnie. Była czułą przyjaciółką, przełożoną i opiekunką. Czułą i wymagającą. Przeprowadziła szereg reform i wzbogaceń w treści prac. Nie szło to łatwo – przecież w niejednym się udało.

I znow Harcerska Służba Polsce.

Zauważyła w kościele niemieckie napisy. Udały się grupką do

proboszcza z prośbą o pozwolenie zatarcia ich. Zrobiły to tak świetnie, że proboszcz miał z ambony dziękować drużynie. Naraziła ta akcja oczyszczania miasta z napisów którąś z nich, której jakiś Niemiec powiedział: *polnische Schweine*²⁸.

Drugim zadaniem społecznym była opieka nad dzieckiem. Dzieci przez parę godzin dziennie przebywały na terenie obozu. Joanna celowała w opowiadaniu im bajek i nie-bajek. Kochały ją i biegały za nią. Z daleka, gdy się widziało chmarę dzieci, można było być pewnym, że jest wśród nich Joanna²⁹. Wołały za nią: „Drusiu, Drusiu...”, zdrobnieniem od druhny. „Drudia bajdki nam opowiadała” – relacjonowało potem sześćioletnie maleństwo o szafirowych oczach.

Zrobiły wielką, parokilometrową wycieczkę, zapędzając się blisko morza, aby niszczyć liszki żerujące na drzewach. Wyniszczenie było konkursowe – Joanna pobiła rekord. Przeciętnie na jedną harcerkę wypadło 1200 szkodników.

Joanna ćwiczyła czujność swego zastępu na doraźne potrzeby otoczenia. Toteż wobec groźby deszczu harcerki pomagają gospodarzowi zwieźć siano do stodoły, uwijając się ostatecznie w ulewie. Potrafią założyć „opatrunek” skaleczonemu baranowi³⁰, potrafią zaprzęgać i wyprzęgać konie.

Wreszcie dla miejscowej ludności urządziły ognisko – w przeddzień katastrofy. Opiekunka obozu chciała programu „wesołego”. Joanna – wychodząc z założenia, że „skoro przyjechałyśmy, trzeba ludziom dać coś ważnego” – przeciwstawiała projekt poważnego ogniska pod tytułem: „Wędrówka po Polsce”. Podobno program był świetnie ułożony, tak że opiekunka ustąpiła. Ludność

²⁸*Polska świnia.*

²⁹Opowiadała Zetka Erdmanówna.

³⁰Relacja sołtysa w Gardnie.

miejscowa orzekła, że to przyjechały nie dziewczynki, ale artystki³¹. W ogóle ludność tak się przywiązała do harcerek, że na katastrofę zareagowała rozpazą. Zapuchnięte od płaczu oczy.

A ognisko było istotnie wspaniałe. Przewędrowały druhenki przez Polskę wierszami, tańcami ludowymi i śpiewami. Gardneńscy rodzice z rozrzewnieniem wspominają, jak to ich maleństwa, wyuczone przez harcerki, wzięły udział w przedstawieniu przy ognisku. Ale najsilniejszym akcentem była końcowa inscenizacja: Wanda, córka Kraka. Wandą była Joanna. Grała podobno z bezden-
nym tragizmem, okryta złotem i purpurą płonącego ogniska. Niezapomniany pozostaje jej gest, z jakim nachyliła się ku falom Wisły, i słowa – Jej słowa: „Idę do ciebie, siostró moja, wodo, idę do ciebie, moja wieczności”. Był to jej ostatni spektakl. W niecałą dobę i ona miała za sobą tajemnicę wody, tajemnicę śmierci i tajemnicę – silniejszej nad życie – bohaterskiej miłości...

We wspomnieniach uratowanych dziewczynek postać Joanny mieni się tysiącem barw. Więc jedna opowiada, jak to Joanna ukrywała przed oczyma opiekunki małego kotka (przepadała za kotami), inna, jak zarządzała alarmy, w rynsztunku i „koszulowe”, jak kontrolowała czystość uszu, jak zlikwidowawszy dzwonek, budziła dziewczynki ciskając w nie pantoflami. Inna przypomina słowa Joanny, które pozostaną im na całe życie. – A więc scenka: gdy podczas nabożeństwa baby wiejskie piskliwie, każda na swoją, inną nutę, śpiewały Godzinki, a harcerki po cichutku dusiły się ze śmiechu – Joanna po wyjściu z kościoła powiedziała: „Nie wiem, czemu się śmiejecie? Każdy chwali Boga jak umie”, czym tak zawstydziła wszystkie, że popatrzyły na siebie i pospuszczały oczy.

Żądała utrzymywania krzyża harcerskiego, dla którego żywiła

³¹Opowiadała o tym rodzina sołtysa, która z pietyzmem przechowywała berło Wandy-Joanny (tłuczek okręcony żółtą bibułą), obecnie własność matki.

kult, we wzorowej czystości i świeżości. Mawiała: „Krzyż musi być jasny, aby prowadził”. Jest w tych słowach coś z mimowolnego patosu ostatnich słów, powaga testamentu.

Chorągiew Łódzka, mimo młodego wieku Joanny – 13 lat – wysuwa ją na patronkę drużyn³². Jeśli zostałaaby patronką, byłaby to patronka promienności, uśmiechu, zaparcia się siebie w pracy dla idei, miłości konkretnej służby, skupionego życia wewnętrznego, rozrzutności siebie dla drugih – bohaterskich decyzji i czynu.

Odeszła – ukochana przez wszystkich. Garnęła ku sobie dziwnym urokiem wszystkie serca.

Miłość dla niej ujawniła się tysiącem pieszczotliwych imion i nazw, którymi ją obsypywano. Dla jednych to Janka, Janeczka, Janusia, Joaśka, dla drugih – kociak, stokrotka, szarotka, dziecko, „bobo”; po prostu: „ono”, dla innych: kalinka, co to rośla z liściem szerokim, nad modrym gaju rośla potokiem, jeszcze dla innych dziarski Janek, Córuchna, Ślipek, leśny zwierzak, malutkie szczęście, promyk, słoneczko, drusia.

Ale ona dla siebie samej była przede wszystkim Joanną. Kochała to imię, które w tajemny sposób do niej pasowało: imię heroiczne, imię owiane poezją, imię śpiewane, imię trochę dziwne, rzadkie – imię, którego może sam Bóg Jej nie zmieni po skończeniu czasów na *nomen novum*³³.

Stefania Skwarczyńska
matka Joanny

³²W Jarosławiu, w Szkole Podstawowej nr 8 istniała X Drużyna im. Joanki Skwarczyńskiej; korespondowała przez jakiś czas z matką Joanny. Prawdopodobnie w „okresie minionym” pozbawiono ją tego patronatu.

³³Z łac.: „imię nowe”. *Nawiązanie do Apokalipsy św. Jana 2,17: „Zwycięzcy dam manny ukrytej i dam mu biały kamyk, a na kamyku wypisane imię nowe, którego nikt nie zna oprócz tego, kto je otrzymuje”.*

KILKA BARDZO DAWNYCH WSPOMNIEŃ

Wiosna roku 1938 lub 1939. Obie dziewczynki bawią się na balkonie. Przylatuje do mnie Marysia: „Tatusiu, nie mogę sobie dać rady z Janusią! Kiedy wychylała się z balkonu, powiedziałam jej: «Nie wychylaj się, bo spadniesz i zabijesz się.» Odpowiedziała: «To dobrze, to pójdę do Bozi»”. Łatwo dała sobie wytłumaczyć, że do Bozi mogą iść tylko grzeczne dzieci, a grzeczne to takie, które słuchają starszej siostrzyczki.

4 grudnia 1938. Telefon od Stefy, bym przyjechał z Marysią do Dąbrówki, na pogrzeb Baby – Marii Parczewskiej. Wyjeżdżamy na dworzec. Wtem Janusia w płacz: „Tatusiu ja także pojadę”. Szybka moja decyzja (wbrew opinii Marysi i niani): „A będziesz grzeczna?” (pytanie dość retoryczne, bo na ogół była bardzo grzeczna) – „Będę, Tatusiu”. Na dworcu w Dąbrówce wysiadamy we trójkę. Dziecinka okazywała ogromną wdzięczność tatusiowi za wzięcie do Dąbrówki. Była przez cały czas arcygrzeczna i uroczą; wysunęła tylko jedno życzenie: „Będę siedzieć przy stole obok Tatusia”. Nie odstępowała mnie ani na krok, nawet w poczekalni starosty, gdzie zostawiłem ją na chwilę pod opieką sekretarki. Zapewniła: „Ja się ożenię z Tatusiem”.

Wracaliśmy tylko we dwójkę. Przesiadka w Rozwadowie i czekanie na pociąg. „Dokąd Tatuś wychodzi? – Popatrzę na gwiazdy. – To ja z Tatusiem popatrzę na gwiazdy”.

13 sierpnia 1939. Sytuacja bardzo napięta. Telegraficznie odwołano mnie z Dąbrówki do garnizonu. Janusia na pożegnanie zarzuciła mi rączki na szyję: „Tatusiu, mam do ciebie prośbę! Nie odjeżdżaj od nas i zostań z nami”. Czteroletnia dziewczynka, przyzwyczajona do częstych wyjazdów ojca z Dąbrówki, wyczuła tym razem grozę sytuacji na podstawie ledwie ułamkowych wiadomości, które ją dochodziły.

Tadeusz Skwarczyński
ojciec Joanny

ZE WSPOMNIENIA O MALUTKIEJ JANUSI

Mała Janusia zawsze była chętna, aby każdemu pomóc i usłużyć. Gdy miała trzy latka, przybiegała w Dąbrówce do gosposi z zapytaniem: „Gosposiu, ci psinieść dziewa?” (czy przynieść drzewa)? – „Przynieś, przynieś”. I Janusia leciała po drzewo, przynosząc po polanku. I znowu pyta: „Ci psinieść dziewa?” A kiedy gosposia mówi, że już będzie dosyć i dziękuje jej mówiąc: „Idź się, Janusiu, bawić” – Janusia odbiegała. Ale za chwileczkę znowu przychodzi z zapytaniem: „Ci psinieść ody?” I brała wiadereczko, a niania szła za nią da dużej beczki z wodą. Gdy przyniosła, dopiero szła się bawić.

Janusia bardzo lubiła zwierzątka i ptaszki. Kąpała psa w balii. A gdy oswojona kawka, którą dostała od rządcy, utopiła się, sprawiła jej piękny pogrzeb z katafalkiem i pochowała ją pod modrzewiem. I była bardzo smutna.

Była bardzo serdeczna, dobra dla każdego, i zawsze wszystkim chciała pomóc.

Wiktoria Borczyk

MOJA SIOSTRZYCZKA

Zdarza się, że człowiek nieprzeciętny, wkładający całą swoją duszę w pracę ideową, wygląda na tle swego domu nieciekawie. Jego zalety podziwiane „na zewnątrz”, w domu stają się wadami nie do zniesienia. A jednak właśnie w domu, w niekrępującym towarzystwie rodziny, każdy jest najprawdziwszy, najnaturalniejszy. Trzeba być człowiekiem wyrobionym i opanowanym, aby nie wprowadzać dysonansów w tym najbliższym kręgu. Dlatego rzadko obserwuje się kogoś takiego, jak Joanna, która mimo wytężonej pracy poza domem była zawsze – w tych szarych, codziennych dniach, w radości i w nieszczęściu – promykiem słońca dla wszystkich.

Miała dwie wady: wybuchowy temperament i upór, które mogłyby utrudniać współżycie, gdyby nie były naturalną konsekwencją Jej zalet. Ileż razy – aż do ostatnich czasów – odbywały się w domu siostrzane bójkі (z których zawsze wychodziłam sromotnie pobita), rzucanie pantoflami i innymi nie ciężkimi przedmiotami. Oczywiście zaraz potem wracał zwykły nastrój pogody i przyjaźni.

Uporem Januśki nigdy się nie martwiłam – wiedziałam, że jest podstawą Jej mocnego charakteru. Motywy postępowania Januśki można określić jednym zdaniem: oddanie dla drugich, niemyślenie o sobie.

Gdy Joanna miała 5 lat, byliśmy w ciężkich warunkach: głód, głód i jeszcze raz głód. Nigdy nie zapłakała, nigdy się nie poskarżyła, nigdy nawet nie pokazała po sobie, jak jest głodna. Tylko kiedy wydawało się Jej, że nikt nie widzi, wyskrobywała z garnka – i tak już dokładnie opróżnionego – resztki jęczmienia czy gotowanej trawy.

Cichutka „myszka” nigdy nie absorbowała swoją osobą ani w pracy, ani w chorobie. Dzielna i opanowana w cierpieniach

fizycznych – a w okresie wojny ciężko i często chorowała – nie pozwalała sobie na jęk, bo to przecież bolałoby matkę i siostrę. Ale gdy w domu ktoś był chory, czule i troskliwie pielęgnowała, biegła do apteki i po lekarza.

Pamiętam – miała wtedy 11 lat – nagle ciężko zachorował ojciec. Nikogo w domu nie było. Małeństwo popędziło do lekarza, który mieszkał daleko za miastem. (Były wtedy zawieje i zaspys śnieżne.) Ile nocy przesiedziała przy matce ciężko chorej po operacji, ciągle zmieniając okłady.

Zawsze gotowa do usług. Można Jej było powierzyć każdą sprawę – najtrudniejszą doskonale załatwiła. Odrywała się od najbardziej absorbującej pracy, jeśli trzeba było pójść np. do sklepu czy na pocztę.

Joanna była zawsze zapracowana i zajęta. Na naukę stosunkowo niedużo poświęcała czasu – była bardzo zdolna – ale zawsze miała masę pracy społecznej. Pracowała zwykle do 11 - 12 godziny w nocy, często zdarzało się, że do 2 - 3 godziny. Nie można było zapędzić jej wcześniej do łóżka. W końcu matka postawiła ultimatum: nigdy nie położę się spać przed tobą (a mamusia była przemęczona i schorowana). Wobec tego Joanna kładła się spać o godz. 10 - 11, ale za to wstawała o 4 rano. A każdy wie, że łatwiej jest siedzieć długo w nocy, niż wstać tak wcześnie. Zresztą w ostatnim roku miała od 7 rano korepetycje z „trójkowymi” koleżankami.

Janusia bardzo lubiła robić prezenty. Zwykle – z powodu braku pieniędzy – były to rzeczy przez nią wykonane. A zawsze wiedziała dobrze, czego komu potrzeba. Gdy grała w Łodzi w teatrze i miała własną „gażę”, za pierwsze pieniądze kupiła mi kapce (a sama wtedy ich nie miała). Ile w ogóle pieniędzy „wsiakało” w prezenty dla mnie! Chowam do dziś skrupulatnie piękną puderniczkę, zapalniczkę i papierośnicę.

Dosyć niewdzięcznym terenem pracy w domu są zajęcia gospodarcze. Joanna nigdy się od nich nie usuwała, zarówno od bardziej efektywnych, jak smażenie konfitur i robienie marynat, jak

i od takich, jak obieranie ziemniaków i palenie w piecu. Szczególnie przy paleniu była niezastąpiona. Janusia potrafiła zorganizować przyjęcie, wszystko było zrobione na czas i każdy obsłużony. Robiła naprawdę śliczne i dobre kanapki – z niczego. Od kilku lat urządziła podwieczorki dla swoich koleżanek, prawie bez mojej pomocy.

Sama dbała o swoje sukienki. Ubranie miała zawsze czyste i wyprasowane. (Tylko nie lubiła cerować.) Ale wyglądała w każdej sukience, nawet starej i połataniej, jak królowna. Może wydawać się, że moje słowa są przez miłość do Niej pozbawione obiektywizmu, ale naprawdę wyróżniała się nawet wśród zamożnych i doskonale ubranych dziewczynek dziwnym wdziękiem i elegancją.

Joanna zawsze była promienna i uśmiechnięta. Czasami bywała w specjalnie frywolnym nastroju. Wówczas biada temu, kto się dostał na Jej ostry języczek. Umiała „przyciąć” bardzo dowcipnie – nie robiąc przy tym nigdy swojej „ofierze” przykrości. Albo Jej kawały! Na miesiąc przed Jej śmiercią zaręczyłam się. Przyszły szwagier przypadł Jej do serca. Ale... znalazłam niedawno w Jej książkach plik pocztówek otrzymanych przeze mnie od kolegów i znajomych. Równiutko złożone i związane miały być na pewno prezentem dla mego przyszłego męża. I jakie to charakterystyczne: nie listy – to byłoby niedyskrecją – ale kartki, które i tak Jej dawałam, bo były kolorowe i zwykle Jej się przydawały.

Nasz „Bob” krył swoje dobre uczynki. Często wychodziła z domu nie mówiąc dokąd, przez co narażała się z naszej strony na wyrzuty. Potem dowiadawaliśmy się „z boku”, że np. pomagała niezdolnej koleżance w nauce.

Przy całym swoim wdzięku i urodzie, przy zdolnościach i talencie artystycznym, Janusia była bardzo skromna, miała prawie kompleks niższości. Nigdy nie była z siebie zadowolona.

Może by teraz była z siebie zadowolona, ten cudny promyczek i człowiek, gdyby wiedziała, ile wszystkim dawała i – daje.

Maria ze Skwarczyńskich Olszewska

Listopad 1948 r.

SKRZĘTNY PROMYCZEK

Janusia, Joanna – dla innych, a dla mnie zawsze najmilsze, ukochane „Bobo”. W zasadzie obrażała się na tę nazwę. Tylko cioci wolno Ją była tak nazywać – byle po cichutku.

W krótkich chwilach z Nią spędzonych uderzyła mnie w Niej – prócz Jej uroku i słodyczy – niezwykła wytrwałość w raz powziętym postanowieniu. Gdy w 1945 r. przyjechałam do Łodzi, by po długim niewidzeniu powitać rodzinę – Janusia oświadczyła mi z radością, że dostała do swej dyspozycji kawałek ziemi i chce zaraz coś na niej zasiać. Oglądnawszy ten kawałek ziemi odniosłam się do projektu Boba z pełnym niedowierzaniem. Ziemia była od dawna nieuprawiana, ubita, twarda jak bruk. Powiedziałam Jej, że trzeba by to skopać na głębokość łopaty, a po zasiewie – ponieważ było lato – trzeba by stale obficie podlewać, bo inaczej zeschnie. Nie przypuszczałam, że się dziecko do tego zabierze. Bobo jednak skopało ziemię na dwie spore grządki, i to w ten sposób, że obiema nóżkami wskakiwała na łopatę, by ją wbić w ziemię; potem już we dwie zrobiliśmy grządki i zasiałyśmy rzodkiewkę, a Janusia dzień w dzień, rano i wieczorem podlewała je z całym poświęceniem. A potem... potem przysłała mi list z opisem i rysunkami tych rzodkiewek, bo wysiałyśmy dwie odmiany, różne kształtem i kolorem.

Uderzająca była w Niej zdolność do różnorodnych zajęć kobiecych, a gdy w 1946 r. spędzała u mnie wakacje w Chyliczkach, biegła do cieplarni i tam „pomagała”. Robiła to tak, że pani Walercia, prowadząca cieplarnię, zwróciła się do mnie z prośbą, by Janusia częściej przychodziła, bo więcej zrobi niż praktykantka.

Posiadała w wysokim stopniu umiejętność okazywania swej

miłości – czy to przez pieszczoty, czy przez drobne usługi, czy odmawiając sobie słodczy, byle ten ktoś kochany miał więcej, czy wymyślając trafne upominki. Gdy prezent wywołał zadowolenie, cała promieniała radością.

Zdobywała łatwo serca otoczenia, czego przykład miałam w Chyliczkach. Jedną z moich koleżanek, sekretarkę szkoły, Kazimiera Sobańska, napisała do mnie po śmierci Janusi: „Przeżyłam boleśnie wiadomość o tragicznej śmierci Janusi – otrzymałam ją w chwili, kiedy po 2-tygodniowym urlopie spędzonym nad morzem wyruszyłam w podróż powrotną. Nie mogę Ci zupełnie wyrazić, co się ze mną wówczas działo – strasznie płakałam, bo jak żywa stanęła przede mną ta słodka, promienna Janusia... Marysiu – bardzo współczuję... tak z głębi [serca] i razem z Jej rodzicami i z Tobą boleję nad stratą tak cudnego dziecka”.

A przecież Kazimiera знаła Janusię tylko z jej krótkiego pobytu w Chyliczkach.

*Maria Strzelbicka*³⁴

³⁴Ukochana ciocia Joasi; Maria z Błociszewskich Strzelbicka, żona Mariana Strzelbickiego, wuja Joanny; zginął w Katyniu.

WSPOMNIENIE O JANUSI

Z Janusią zetknęłam się po raz pierwszy, gdy miała lat trzy. Na tle dużego ,gabinetu wypełnionego półkami książek ujrzałam małą, pucatą postać, bez cienia nieśmiałości i witającą mnie ujmującym, poważnym spojrzeniem ciemnych ocząt. Straciłam ją potem z oczu na długie lata, lata wojny, poniewierki i niedoli. Dość późno doszły mnie echa o jej dzielności, zaradności, o jej młodym talencie. Zobaczyłam ją dopiero w 1945 roku w Łodzi jako pełną wdzięku 10-letnią dziewczynkę o długim warkoczu i przekornych a poważnych oczach.

Pokochałam ją wkrótce nie tylko za jej wdzięk, ale za pulsującą w niej radość życia, za życzliwość do ludzi i za lgnięcie do nich. Ku zgorszeniu swej matki z czarującą łatwością przekreślała dystans dzielącej nas różnicy lat, była bezpośrednia, łobuzerska, czasem i przekorna, jakby instynktownie rozładowująca w dziecięcych porywach niefrasobliwej radości swą wewnętrzną powagę i aż nadto serio stosunek do życia. Wcześniej poznałam łobuzerskie Bobo od tej poważnej strony, obserwując ją w roli korepetytorki. Ten swój obowiązek, którego podjęła się tak chętnie, spełniała z całą powagą i sumiennością, nie spóźniając się na lekcję nigdy, wysilając całą wiedzę matematyczną wyniesioną z dobrych szkół rosyjskich we Lwowie, aby pouczyć młodszą od niej o 2 lata zaledwie moją córeczkę. Gdy przychodziła odbyć korepetycję, nie wdawała się nigdy w rozmowę ani nie reagowała nawet na małego Piotrusia, młodszego braciszka swej uczennicy, który na nią patrzył z zachwytem i którego lubiła bardziej, i kiedy indziej umiała się z nim bawić cudownie, lub klękawszy koło jego łóżeczka opowiadać mu nie kończące się bajki.

Gdy zobaczyłam Janusię w roli Lilusi w *Ich czworo* Zapolskiej, wzruszyłam się jej rolą smutną, a graną z takim przejęciem, że zapomniałam na tę chwilę o jej odtwórczyni żywej i radosnej. Bo Janusia musiała się spalać we wszystkim co robiła. We wszystko wkładała całą siebie – zarówno w pracę, jak w zabawę. Nie mogę jej

zapomnieć – cudownej, promiennej, zaróżowionej – po powrocie z jakiejś szkolnej zabawy: to była Janusia, duszek czaru i wesela.

Ale kiedy indziej spotykałam Janusię późnym wieczorem poza domem. Zmrok słał się po Łodzi, po tej brzydkiej Łodzi, na którą ona umiała spoglądać odkupującym spojrzeniem miłości. Bo Janusia potrafiła kochać Łódź. Wśród ludzi stojących na przystanku tramwajowym koło placu Wolności dostrzegałam nieraz błyszczące oczy Januśki. Chwytała mnie serdecznie pod ramię i opowiadała, że wraca z jakichś lekcji, korepetycji czy zebrań szkolnych. Pytałam, czy ma odrobione lekcje na dzień następny. „Gdzie tam!” – śmiała się wesoło – „Jeszcze dla mamusi przygotuję kolację (ojca nie było wtedy w domu) i dopiero zabieram się do roboty”.

Było coś wzruszającego w tej opiekuńczej postawie ku matce, która tak jak ona nie umiała pamiętać o sobie. Ale Janusia nie lubiła się zdradzać ze swymi uczuciami, choć nie była skryta. Toteż potrafiła zachować pogodę i uśmiech nawet wtedy, gdy jej matka, poważnie chora, była na obserwacji w szpitalu.

„Mamusia tak się dzielnie trzyma – nie martwisz się chyba o nią?” – zapytałam, gdyśmy wracały kiedyś razem ze szpitala.

„Nie” – i jej pogodna twarzyczka spoważniała na chwilę. – „Ja wiem – powiedziała żarliwie – że Mamusia nigdy się nie załamie”. I aby zatrzeć powagę tych słów, uśmiechnęła się i pociągnęła mnie za sobą.

Taką to pamiętam Janusię, pełną wewnętrznego żaru i zewnętrznej pogody, i dlatego tak trudno mi uwierzyć, że Jej nie ma pośród nas. Dlatego też może, gdy – już po śmierci Janusi – byłam w teatrze na *Joannie z Lotaryngii* i poddawałam się urokowi tej postaci tak świetnie kreowanej przez Eichlerównę, musiałam pomyśleć wtedy o małej naszej Joannie, o niedojrzałej jeszcze artystce, która tak wierna była wszystkiemu, co raz ukochała.

*Aniela Kowalska*³⁵

³⁵Dr Aniela Kowalska z kręgu najbliższych przyjaciół domu. Później prof. dr Aniela Kowalska-Wasilewska, w Katedrze Filologii Polskiej Uniwersytetu Łódzkiego.

O JANUSI

Śmierć Janusi stała się początkiem jej drugiego życia w ludziach, którzy ją kochają. Nie cichnie tęsknota. Nie szarzeją wspomnienia. A gdy się wspomina Janusię, oddycha się tą samą atmosferą piękna i dobroci jak wtedy, gdy się przebywało z Janusią żywą.

Wyjątkowo dobra, wyjątkowo zdolna, wyjątkowo piękna i wyjątkowo przy tym skromna. Poddawano się jej urokowi tak chętnie...

Przyjaciół zdobywała coraz nowych, nie traciła jednak kontaktu ze starymi. Brała udział serdeczny w życiu wielu ludzi. Wzruszała jej prostota w uczynności, jej uczynność bez patosu. Umiała wyświadczać przysługi z pełną wdzięku oczywistością. Korzystało się z jej przysług bez zakłopotania.

Mówić umiała ciekawie i ładnie... Ale i słuchać umiała uważnie, reakcje jej były subtelne, uwagi zadziwiały dojrzałością.

Posiadała niewątpliwie więcej dojrzałości, niż się na ogół spodziewano po 13-letniej dziewczynce. Dojrzałość ta przejawiała się przede wszystkim w postawie wobec ludzi – odpowiedzialnej i opiekuńczej. Nawet w stosunku do Matki przebijało chwilami coś opiekuńczego. Matka – przepracowanie Matki, Jej wyczerpanie, Jej zły stan zdrowia – były często przyczyną troski Janusi.

Wcześniej poznała ciężar codziennych kłopotów, rozumiała też zupełnie niedziecinne kłopoty innych ludzi. Pamiętała o zmartwiegniach, o których się jej wspominało choćby tylko mimochodem – po długim nawet czasie dopytywała się serdecznie o dalszy przebieg spraw.

Ciekawe były z nią zawsze rozmowy o teatrze, o filmie, o książce. Wyrażała opinie przemyślane, dyskutowało się z nią jak z osobą dorosłą.

A była równocześnie „prawdziwym dzieckiem”. Tak przecież dziecinnie lubiła słodycze. I tak dziecinnie marzyła o jazdach na karuzeli.

Miała swoją grządkę w ogródku. Zasiała na niej rzodkiewki białe i czerwone, a także nasturcję. Miała oto coś dla obdarzenia znajomych, coś zdobytego własnym trudem.

Nazbierała kiedyś ogromny pęk konwalii w lesie. Siedziała potem z tymi konwaliami na polanie – zamyślona, poważna i przejmująco piękna. Nagle rozpromieniła się, wskazała na konwalie – przypomniała sobie, że ma taki śliczny bukiet dla Matki.

Okres występów w teatrze był dla niej bardzo męczący. Wracając do domu o 11 w nocy, odprowadzana przez żołnierza, a wstawać musiała wcześniej, aby zdążyć do szkoły. Nigdy nie skarżyła się na zmęczenie, chociaż w tramwaju nieomal zasypiała. Cieszyła się, że zarabia. Mówiła o swoich planach w związku z pensją aktorską. W planie tym były kapce dla siostry.

Dzielną była też bardzo podczas choroby. Leżała blada, wychudzona, wyczerpana dyfterytem, a kiedy uchwyciła zatroskane spojrzenie, uśmiechnęła się i zapewniła, że jest już z nią naprawdę dużo lepiej.

Świadkowie wypadku opowiadają o jej postawie dzielnej i opiekuńczej do ostatniej chwili.

*Ija de Lazari*³⁶

³⁶Niebawem Ija de Lazari wyszła za mąż za prof. Pawłowskiego i jego nazwiskiem uzupełniła swoje nazwisko. Obecnie jest ona profesorem Uniwersytetu Łódzkiego z filozoficzną specjalnością etyki.

WSPOMNIENIA (1942 - 1943) O JANUSI SKWARCZYŃSKIEJ

Przyjechały dzieci z Kazachstanu, tyle się o nich mówiło, myślało... i przyjechały. Starsza, poważna, dorosła nie wiekiem, lecz przeżyciami, i dziecko, bo czyż można inaczej nazwać istotkę, której główka zaledwie ponad stół wystaje i ma niecałych 6 lat...

Ciche to, bezgłośnie – może głuchonieme?

W skupionej twarzyczce żaden mięsień nie drgnie. Tylko oczy ogromne, wymownie świadczą, że dziecko nie tylko rozumie, ale i żywo reaguje. Wdzięczność, śmiech, gniew, przyzwolenie i protest w nich [się] odbijają, iskierki humoru aż grają, zmieniając barwę na złotą. Smutek stwarza ciemne, czarne otchłanie. Cała niekończąca się gama barw i czegoś niewypowiedzianego, a tak bardzo wymownego, że słowa stają się zbyteczne. Zawojowała nas od razu i sercem do nas przylgnęła. Dobry duszek, wypatrujący, gdzie by komu w czymś pomóc. Nazwaliśmy ją Mróweczką, bo każdą robotę wykonywała nadzwyczaj precyzyjnie, szybko i w milczeniu, a tak cichutko, że tylko ślad wykonanej pracy był dowodem, że Mróweczka działa.

A jakie to było serdeczne, pieszczotliwe, ufne. Jej wewnętrzny ciężar gatunkowy szedł w parze z fizyczną wagą. Choć była drobna i szczupła, nie miałam siły jej unieść, toteż jakby za cichą umową nie brałam jej nigdy na ręce. Za to Janusia często gramoliła się na kolana, na „pieszczoty”; miała swoje ulubione, np. „całowała skrzydełkiem motyla” głaszcząc delikatnymi rękami po policzku. Jedyną chyba wadą, a może tą, która najwięcej rzucała się w oczy, był upór: zaciniała się w sobie, kryła w najciemniejszy kąt, skrapiając go obficie łzami – była pasjonatką. Bardzo jej było ciężko przemóc się w takich chwilach i ani rusz nie można było przemówić do rozumu. Czula się pokrzywdzona, nieszczęśliwa, zwłaszcza wtedy, gdy nie miała racji. Znalazła się inna droga. Zaczęły się lekcje religii i przygotowanie do I Komunii Świętej. Dziecko siedziało wpatrzone, zasłuchane w opowieści o Bożym Dzieciątku i widać było, jak jej duszyczka chłonie, a serduszek rozplamienia się miłością do Pana Jezusa. Widać po jej czynach – w słowach była zawsze skąpa. Zaczęła zbierać kwiatki, by

nie przyjść z pustymi rękami do Stołu Pańskiego. Skończyły się upory, dla Pana Jezusa wszystko rada by poświęcić, a przede wszystkim siebie. Ksiądz prałat Krasucki, który dokończył jej przygotowania, udzielając jej ostatnich nauk, coś w rodzaju rekolekcji, w Domu Dziecka w Kielczewicach, był zdumiony jej głębokim zrozumieniem Sakramentu Miłości i zbudowany gorącą miłością do Pana Jezusa. Przypisywał to ojcu Janowi Rostworowskiemu, którego przepiękne obrazki z życia Zbawiciela codziennie Janusi czytałam jako dopełnienie lekcji religii. Przepiękne te, pełne miłości do Zbawcy słowa były nasieniem, które bujnie rozkwitło w jej czystej duszyczce. Uroczystość I Komunii Świętej pamiętają dobrze i wspominają wszyscy w Zakładzie w Kielczewicach; Janusia bardzo poważna, promieniała wewnętrzną jasnością, która – rzecz dziwna – nawet ją fizycznie zmieniała, bo z natury raczej ciemna, wyglądała prawie na blondynkę w aureoli z lekko wijących się nad czołem włosów.

Świadoma łask, którymi została bez miary obdarowana, starała się nimi z innymi podzielić, modląc się za uciśnionych i niedowiarków. Wysłuchał ją Pan Jezus. Ateusz, którego specjalnie odwiedziła pragnąc, by i na niego spłynęła łaska Boża i za którego się modliła, umarł w niespełna rok – nawrócony. Tak się zaczęła apostolska działalność Joanny.

Muszę jeszcze wspomnieć o scenicznych zdolnościach Janusi, którymi po raz pierwszy rozbłysła na małej scenie zaimprovizowanej w jadalnym pokoju w Krasnobrodzie. Z okazji imienin cioci została odegrana „Marysia sierotka u krasnoludków” w przeróbce prof. Kleinera i pod jego reżyserią. Janusi mówiącej jeszcze niezupełnie wyraźnie (borykała się z trudnością wymawiania niektórych liter) przypadła rola pracowitego krasnoludka, który nie miał czasu na figle, bo czekała robota w lesie wśród kwiatów, ptaszków i owadów. Rola niedługa, zaledwie parę zdań, a cały czas była na scenie. I tu pojawił się talent Janusi, przejęła się rolą krasnoludka i grała, cały czas była uroczym leśnym duszkiem. Wszyscy widzowie jednogłośnie orzekli, że grała najlepiej z całego zespołu. Trudno jest wyłowić z pamięci zdarzenia, fakty, ale w sercach naszych pozostała taką, jaką była: cichą, radosną, czynną, chętnie służącą innym i bardzo serdeczną dzieciną.

Jadwiga Teleżyńska

Leśniczówka, 8 XI 1948 rok

È

Spisałam jak umiałam moje wspomnienia o Janusi, widzę ją jak żywą, ale poszczególne fakty mi się dziwnie w pamięci zatarły.

Taką Janusia była, że można jej było nie widzieć, a zawsze się odczuwało jej obecność, jako coś bardzo dodatniego. Przypomniałam sobie w tej chwili jej cierpliwość, jej twardość w chorobie, nadzwyczajną wytrzymałość na ból. Przy zapaleniu miedniczek nikt od niej słowa skargi nie usłyszał, a przecież mocno bolało. Chciałam prosić p. Marię, żeby mi coś więcej przypomniała, aleśmy się nie spotkały, więc już nie zwlekam, może i z tego co zebrałam potrafisz coś zrobić, Stefo kochana; teczkę Janusi zatrzymajcie³⁷; posłałam ją Wam, bo to był mój jedyny, najmilszy od niej prezent, chowałam go z pamiątkami po moich dzieciach. Myślałam, że Tadeuszowi miło będzie mieć coś, co tak wymownie charakteryzuje Janusię z okresu, w którym jej nie znał.

Jadwiga Teleżyńska³⁸

³⁷Teczka na listy z ubożuchnego papieru, na niej naklejona kartka z krasnoludkami; najmilszą swoją własność – „honorarium” za rolę krasnoludka – jak zawsze, dała; a pod nią napis: „Kochanej Cioci od Janusi” i w nawiasie: „to co miała, to dała”. Wewnątrz obrazek święty (fragment Ostatniej Wieczerzy), a list na wewnętrznej stronie:

„4 I 1943 rok. Leśniczówka

Ciociu Ukochana

Miałam na gwiazdkę dla Cioci ten bloczek, ale wyjeżdżam, nie zobaczę się z Ciocią. Całuję Ciocię tak bardzo, bardzo mocno, bo nie wiem, czy kiedy się zobaczymy”. Nie zobaczyły się, to przecucie 7-letniego dziecka spełniło się, jak i inne.

³⁸Jadwiga Teleżyńska, z domu Ładomirska, spokrewniona z ojcem Janusi; jego cioteczno-cioteczna siostra. Tadeusz Teleżyński był ukochanym Wujaszkiem moich dzieci; wziął je w czasie hitlerowskiej okupacji, a więc ogromnego głodu we Lwowie, do siebie, najpierw do Krasnobrodu pod Zamościem, potem do swego małego mająteczku – Leśniczówki. Dzieci pozostawały tam aż do zaaresztowania Wujostwa przez Gestapo; oskarżeni o „dokarmianie” w lesie Żydów i partyzantów, cudem uszli z życiem.

KOPIE LISTÓW DO MARII WINOWSKIEJ³⁹

Łódź, dn. 6 maja 1949 r.

Moja droga, kochana Marysiu,

Od dawna już marzę o spokojniejszej chwili, by móc do Ciebie napisać. Bo bardzo wiele miałabym Ci do powiedzenia. Ale ten cały „bagaż osobisty” zostawiam na zakończenie mego listu, względnie będę musiała odłożyć do następnego, jeśli ten, przypadkiem, okaże się zbyt długi.

W tym liście bowiem chciałabym od razu przystąpić do tego, co będzie stanowiło główny jego temat. Temat to niełatwy i wiem z góry, że mu nie sprostatam, że nie znajdę w słowach odcieni dostatecznie subtelnych, mocnych i wymownych. Wierz mi, iż zanim zabrałam się do pisania, odmówiłam „Veni Creator”⁴⁰. Podyktowało mi to nie tylko dojmujące poczucie ubóstwa i pospolitości słowa w zetknięciu z czymś, co było niesłychanie bogate i wyjątkowo niepospolite, ale również świadomość własnej nieudolności. W dodatku przez długi czas zastanawiałam się nad tym, jakie mam prawo dorzucać moją własną „wizję” Janusi (gdyż jest to właśnie wizja, rzecz czysto subiektywna, choć jestem dogłębnie przekonana o jej zgodności z obiektywną prawdą) do wspomnień tylu innych osób, znających Ją dłużej, a może i lepiej ode mnie. A przede wszystkim dręczyło mnie to zasadnicze pytanie: czy wobec

³⁹ Autorstwa Teresy Dmochowskiej, znanej pod pseudonimem „Jan Rybał”. Pisarka w zakresie zagadnień religijnych. Szczególnie zasłużona dla problematyki małżeństwa i rodziny, a także dla hagiografii. Autorka wielu przekładów z teologii i filozofii, podobnie jak i pewnych przekładów z innych dyscyplin naukowych (teoria literatury, nauka o Ziemi).

⁴⁰ *Po łac. hymn „O Stworzycielu Duchu, przyjdź...”*

charakteru tej mojej „wizji” – wobec tego, iż, w moim pojęciu, naczelnym rysem duchowej sylwetki Janusi była pokora, pokora tak rzadka i tak dojrzała, jakiej może drugiej w życiu nie spotkałam, ta pokora, o której święta Teresa Wielka powiada, iż „jest chodzeniem w prawdzie” – nie popełniam zdrady wobec Janusi, ryzykując jakąś własną interpretację Jej życia i postaci, a w dodatku dywulgując⁴¹ to wszystko, co w Niej podpatrzyłam, czego się domyślałam, co z wysiłkiem może niedyskretnie dociekliwym – zrekonstruowałam na własną rękę, na podstawie czteroletniej obserwacji, uzupełnionej, po Jej odejściu od nas, szeregiem wypowiedzi na Jej temat.

Jeśli w końcu zdecydowałam się pisać, to jedynie dlatego, iż poczułam się do tego upoważniona tymi słowami Janusi: „Każdy chwali Pana Boga jak umie, i byle to robił szczerze, wszystko jedno, jak to robi”. – Nie ulega wątpliwości, iż Janusia odegrała swą jedyną niepowtarzalną rolę życiową tylko „Panu Bogu a prawdzie”. Ale każdemu z widzów wolno chyba z wymowy tej roli wyciągnąć swoje własne wnioski.

Czytałaś zbiór wspomnień o Niej. Dowiedziałaś się z niego, iż była śliczna, urocza, uwielbiana przez koleżanki, podziwiana przez starszych, iż była wspaniałą harcerką, entuzjastką, wzorową uczennicą; nadzwyczaj zdolną, sumienną i uspołecznioną. Dowiedziałaś się również o Jej – tak wcześniej rozpoczętej – karierze scenicznej i tak pięknie zapowiadającym się (a moim zdaniem już w pełni rozkwitłym) talencie. Co do mnie, to czytałam te wspomnienia wielokrotnie i znam je niemal na pamięć. Otóż uważam, iż chociaż wiele z nich operuje superlatywami⁴², co zawsze nasuwa podejrzenie o nieścistości, jeśli nie wręcz o przesadę, to jednak są one nie tylko że nie przesadne, ale powiedziałabym raczej, iż (z

⁴¹*Od łac. vulgaris – pospolity, prostaczy. Por. staropolskie pospolitować, wyciągać na światło dzienne, przed oczy ciekawskich. Nadmiernie uprościć, by było zrozumiałe, ale najczęściej za cenę częściowego zniekształcenia.*

⁴²*Wyrazami najwyższego podziwu, zachwytu: „naj...”*

wyjątkiem wspomnień Jej Matki) są niekompletne. Żadne bowiem nie pokusiły się o wykrycie i opisanie wewnętrznego mechanizmu, regulującego ten przedziwny zespół cech, składających się na zjawisko, które rozpięło ramy wszelkich typologicznych szufladek⁴³.

A teraz: jaki właściwie mam tytuł do tego, aby z tych na pozór sprzecznych cech wysnuć pewną syntezę? Chyba tylko ten, iż płaszczyzna, na której znałam Janusię i obcowałam z Nią, nie dostarczała żadnej gotowej miary, którą bym mogła do Niej przyłożyć, by stwierdzić, że tę miarę przerastała. A [rzeczywiście] brak takiej gotowej miary, dostosowanej wyłącznie do owego niepowtarzalnego zjawiska. Gdybym była nauczycielką Janusi w szkole, Jej zwierzchniczką w harcerstwie, reżyserem czy koleżanką w teatrze – przyłożyłabym do Niej zapewne jakąś najwyższą miarę, jaką według kryteriów danego zespołu w nim reprezentowała. Ale ja byłam dla Niej tylko jej prywatną nauczycielką angielskiego i przyjaciółką, żarliwie kochającą Jej Matkę. To było wszystko. To nie dostarczało żadnej formuły, pomocnej w opisanu Jej od zewnątrz. Lecz sam fakt, iż stałam na uboczu głównego nurtu Jej młodego, a tak bujnego i wielokierunkowo płynącego życia, stwarzał dystans i perspektywę, dzięki którym to, co bliskim widzom zacierało się pod migotliwą grą szczegółów, dla mnie występowało z wyrazistością przekreślającą szczegóły, a właściwie nasyconą kolorytem ich zlewających się ze sobą barw.

Na poparcie tego, iż to nie śmierć Janusi, śmierć tragiczna i heroiczna, przyczyniła się do tego mego widzenia Jej w wymiarach – nie nasuwa mi się inne słowo, jak „nadprzyrodzonych” – przesyłam Ci w załączeniu fragment rozmyślań o Tajemnicach różańcowych (Zwiastowanie) pisanych przeze mnie wiosną 1948 r.,

⁴³Owo „zjawisko” – Joasia – nie da się łatwo „zaszufladkować” – wymyka się typologom czyli tym psychologom, którzy zajmują się poszczególnymi typami psychicznymi i uważają, że do każdego człowieka mogą dopasować gotowy schemat.

czyli na jakie 3 - 4 miesiące przed tą śmiercią.

Pisałam je z myślą o tym stworzonku, które widywałam na przemian w „pensjonarskiej bluzeczce lub harcerskim mundurku”, a które miało wówczas „około 14 lat... może trochę więcej... może trochę mniej”. Taką widziałam Ją już wówczas. Ale na poparcie słuszności tego „widzenia” nie mogę zacytować ani jednego Jej słowa. Pocieszam się jednak tym, iż słowa, jako takie, w znikomej tylko mierze wchodziły w zakres środków ekspresji, jakimi Janusia lubiła się posługiwać. Jeśli się nimi posługiwała, to tylko jako akcesorium pomocniczym. Słowa stanowiły dla Niej uzupełnienie czynu, gestu, wyrazu twarzy, i to wyłącznie wtedy, gdy zachodziła tego potrzeba. Jeśli te wystarczały – tamte stawały się zbędne. Toteż wszystko, co o Niej powiem, będzie – oczywiście *toutes proportions gardées*⁴⁴ – trochę podobne do opisanie doznania mistycznego. Bo będzie wypływało z wyczucia, a właściwie z oglądania oczami intuicji serdecznej, spraw objawionych od duszy do duszy.

A było tak od samego początku. Gdy po raz pierwszy ujrzałam Janusię, nie wiedziałam zupełnie kim ona jest. To pierwsze spotkanie było jak gdyby syntetycznym skrótem całego naszego późniejszego stosunku do siebie. Było to wiosną 1945 r. W korytarzu hotelowym ujrzałam przed sobą dziewczynkę, mogącą mieć koło 10 lat, w białej, letniej sukience i dużym słomkowym kapeluszu, spod którego spojrzały na mnie oczy, które we wspomnieniach o Niej nazwano wielokrotnie „światliste”, „nalane światłem”, a które ja, w owym fragmencie „Rozmyślań”, miałam nazwać później „płonące odbłaskiem ukrytej w sercu tajemnicy Królewskiej”. Spojrzałyśmy tylko na siebie. Każda poszła w swoją stronę. Ale, choć nie wiedziałam kim to dziecko jest i jakie mnie z nim kiedyś złączą więzy, poczułam, jak ze spojrzenia tych ocząt o

⁴⁴Z jęz. franc. dosłownie: „przy zachowaniu wszelkich proporcji”. W tym wypadku chodzi o świat przeżyć zbliżonych do mistycznych, w którym np. słowa i milczenie, gesty i bezruch – zawierają większą głębię, niż potocznie im się przypisuje.

przepastnej głębi, równocześnie ciemnej i złocistej, wypromienio-
wało na mnie coś, czego nie umiem inaczej nazwać jak cudowną,
niezachwianą pewnością, że Pan Bóg nie zapomniał o ziemi, nie
odwrócił się od ludzkości.

Od jesieni tegoż 1945 roku zaczęła do mnie przychodzić na
komplety angielskiego. Początkowo uczyła się świetnie i z zapałem.
W miarę jednak jak komplet obrastał w uczennice mniej zdolne lub
takie, których nie darzyłam sympatią, Janusia poczęła spadać do
normy przeciętnej, gdyż już samo celowe wyróżnianie się czymś
sztucznym i nieprzekonywającym, zwłaszcza za pomocą jaskrawego
chwytu, nie leżało również w zakresie tego, co nazwałam jej
środkami ekspresji. Była bowiem nie tylko powściągliwa i pełna
niezawodnego umiaru, ale właśnie – nie umiem tego inaczej nazwać
– najwspanialej pokorna, tą królewską pokorą, której nawet
(i zwłaszcza) nie może zmać zgrzyt popisywania się nią.

Przez długi czas bolałam nad tym, co brałam za pewne
lekceważenie lekcji, o których wynik chodziło zarówno Jej Matce,
jak i mnie. Oszczędzę Ci opisu etapów, przez które wreszcie
dotarłam do zrozumienia wymowy tego posunięcia. Do
zrozumienia, że i w tym wypadku, jak we wszystkich innych,
Janusia ustanowiła sobie pewną hierarchię wartości. Mało znałam
ludzi, którzy by tak trafnie jak Ona umieli tę hierarchię stopniować
i konsekwentnie jej przestrzegać. Otóż w danym wypadku uznała po
prostu, iż lekcje angielskiego nie są znów tak ważkim odcinkiem
(był to przedmiot pozaszkolny), aby powodzenie w nich opłacać
zmartwieniem i upokorzeniem koleżanek, no i również...
ujawnieniem ludzkiej ułomności nauczycielki, którą – mam
wrażenie – kochała jednak i chciała widzieć niezależną od
jakichś osobistych sympatii i antypatii. Był to, jednym słowem,
dyskretny, bezsłowny *blâme*⁴⁵ pod moim adresem. Czy uważała, że

⁴⁵*Po franc. dosł: „nagana”, „przygana”. Joanna wyczuwała cierpienie
koleżanek mniej lubianych i mniej zdolnych, a umiając znaleźć się w „ich
skórze”, próbowała wymóc na nauczycielce całkowitą bezstronność, a może*

jestem na tyle pojętna, aby tę dezaprobatę, wyrażoną subtelnie, zrozumieć, a na tyle „człowiekiem dobrej woli”, aby z niej wyciągnąć odpowiednie wnioski – nie wiem. Wiem jednak na pewno, że przez te lata ona nauczyła mnie daleko więcej, aniżeli ja Ją. Że zaś to wszystko nie pociągało za sobą żadnego lekceważenia lekcji angielskiego, przekonałam się dopiero po Jej śmierci, gdy dostały mi się do rąk pamiątki z tego okresu: książki [ze słowami] popodkreślanymi, upstrzone notatkami, świadczące o tym, iż nauczyła się i umiała niepomrotnie więcej, aniżeli na lekcjach zdradzała.

Ta zima 1945/46 była okresem najintensywniejszym naszego współżycia. Zaczęły się próby do *Ich czworo* Zapolskiej, gdzie Janusia miała wystąpić w roli Lilusi. Ponieważ mieszkała zbyt daleko na peryferiach miasta, by po obiedzie w stołówce uniwersyteckiej, skąd przychodziła do mnie na lekcje, wracać jeszcze do domu przed próbą, więc zostawała u mnie; tu odrabiała swe zadania szkolne, a wykańczała je potem na przerwach, w teatrze. Z tych czasów wrażliła mi się najbardziej w pamięć. Widzę, pochyloną nad książkami, Jej ciemną główkę, która chwilami, gdy dostawała się w krąg światła lampy, stawała się zupełnie złota. Pracowała pilnie, nie odrywając się inaczej, jak kiedy któreś z moich dzieci (bo trzeba Ci wiedzieć, że mam jeszcze troje małych dzieci) poprosiło Ją o pomoc. Wtedy odrywała się zawsze chętna, uśmiechnięta, niestrudzenie cierpliwa. Jak znałam Janusię przez lat cztery i widywałam Ją w przeróżnych sytuacjach (widziałam Ją i ciężko chorą, i często zmęczoną, a z reguły stale załataną), tak nigdy nie dostrzegłam na Jej twarzyczce wyrazu zniecierpliwienia.

Słuchałam jak mówiła, głosem cichym i jak gdyby z lekka zachrypniętym (było to jeszcze przed jej operacją migdałków). A słuchając tego głosu nie mogłam się oprzeć pewnym krytycznym zastrzeżeniom co do Jej, rzekomo tak wielkiego, talentu scenicz-

nawet coś więcej: by właśnie im poświęciła więcej uwagi i serca.

nego. Wprawdzie nie ulegało wątpliwości, że rozporządzając taką skalą ekspresji mimicznej, jaką dostrzegało się w Niej, po krótkiej nawet znajomości, mogła znakomicie operować wyrazem twarzy i gestem. Ale głos!... Czyż przy głosie tak cichym i matowym mogła być mowa o pełnej, wszechstronnej interpretacji? – Zresztą nawiedzały mnie wówczas i inne jeszcze wątpliwości. Mianowicie wiedząc o bliskich stosunkach łączących mnie z Jej Matką (były to co prawda dopiero zaczątki naszej przyjaźni) zwracano się do mnie z wielu stron z wyrazami zdziwienia, nawet oburzenia. Że to niby takiemu dziecku, jak Janusia, pozwala się występować w takiej sztuce jak *Ich czworo...* Jeszcze rola Isi w *Weselu* – zgoda! Ale Zapolska! I to całe środowisko aktorskie!... I Zimińska, kreująca rolę matki! Nie powtórzyłam tych obaw Stefie, ale ze wstydem wyznaję, że je wówczas podzielałam. Dopiero w kilka lat potem miałam napisać: „...mogą ze spokojem dziecka spoglądać w twarz grzechu, bo ich oczu nigdy nie zasnuł mgłą jego oddech, a odgradza ich od smoka bariera Ojcowskiego wybraństwa”.

Wreszcie nadszedł wieczór, kiedy Janusia, zarumieniona, wręczyła mi bilet do teatru. Przepraszała za to, że nie udało się zdobyć lepszego miejsca, tylko gdzieś „na jaskółce”, pod samym stropem. Uzbroiłam się więc w wypożyczoną lornetkę, ale byłam najzupełniej na to przygotowana, że ani jednego słowa z ust Janusi nie pochwyć. I tu dopiero nastąpiła rewelacja.

Powiedziałam Ci od początku, Marysiu droga, iż mam dojmujące poczucie niedostatku i szarżyzny słów, gdy chodzi o szkicowanie nimi Janusi. Toteż bądź pewna, iż wszystko, co powiem o przeżyciu, jakim był dla mnie ten wieczór, stoi o wiele poniżej tego, czym był w istocie. Gdy pisałam: „...one powiadają, że ludzkość trzeba zbawić, że ludzkość nie umie się zabierać do gospodarki na zagonie wyznaczonym jej przez Ojca” – miałam w oczach i w pamięci ten niezapomniany spektakl. Widziałam wiele przedstawień teatralnych na różnych scenach Europy, wielu znakomitych odtwórców. Ale przyznam Ci się, że różne

powiedzenia w rodzaju „teatr – świątynia sztuki”, czy „artysta – kapłanem sztuki”, wydawały mi się zawsze [na]dętymi frazesami. Trudno, nie lubię górnych i szumnych słów w ogóle, ale zwłaszcza tam, gdzie bez potrzeby przerastają rzeczywistość. I dopiero tu, patrząc na to dziecko, nie inne słowa przyszły mi właśnie na myśl. Więcej jeszcze, bo pomyślałam: nie „artysta – kapłanem sztuki”, ale „artysta – kapłanem prawdy”. Janusia nie odgrywała swej roli – Janusia „zbawiała” widownię! Każdym spojrzeniem, każdym gestem, każdą intonacją głosu... Czyż to był naprawdę matowy, z lekka zachrypnięty półszept Janusi, ten głos pełny, giętki, donośny, o skali mieniającej się wszystkimi odcieniami, od miękkiej pieszczotliwości do akcentów nabrzmiałych tak wstrząsającym tragizmem, iż mimo woli zakrywało się uszy, by zagłuszyć wołające w tym głosie własne sumienie? Bo to nie mówiła Janusia, której z własnego doświadczenia obce były Lilusiowe tragedie. Ale nie mówiła też tylko Lilusia, ofiara banalnego konfliktu. To mówiła niesamowicie wielka artystka i również niesamowicie dojrzały człowiek. W każdym spojrzeniu, geście, intonacji głosu, w gorących, rzeczywistych łzach, krzyczało jakieś wielkie: *J'accuse!!!*⁴⁶ A zasięg tego *J'accuse!* przerastał banalny konflikt, obejmował jakąś olbrzymią całość, największą niedolę epoki, naszej epoki, nie tamtej: niedolę dziecka zaniedbanego, niepotrzebnego, osieroconego za życia rodziców. W tym zasięgu rozbicie domowego ogniska przez zdradę małżeńską spadało do roli tylko fragmentu przyczynowego tej tragedii. Obok niego i na równi z nim występowało to wszystko, co nieraz pod złudną postacią większego dobra odwodzi od tego najważniejszego ze wszystkich obowiązków, jakim jest dziecko. Nie potrafiłabym Ci powiedzieć, czym właściwie Janusia zdołała wywołać to wrażenie, za pomocą jakiej magii przekazywała widzom tę swoją, z pewnością świadomą, intencję. Wiem tylko, że jeżeli chodzi o mnie, to sceniczna kreacja tego

⁴⁶Z jęz. franc.: „Oskarżam!!!”

dziecka stała się punktem zwrotnym w moim życiu. Wydźwięk końcowy miał wprawdzie przyjść o wiele później i znów za przyczyną Janusi. Ale to już nic nie ma do rzeczy.

Dopiero gdy otrząsnęłam się nieco z wrażenia (bo nie mogę powiedzieć, abym do dziś otrząsnęła się z niego całkowicie), poczęłam rozważać Janusię pod kątem Jej stosunku do sztuki scenicznej. Lecz i tu znów, o wiele później dopiero, drogą różnych świadomych i podświadomych skojarzeń, wynik tych rozważań skryształizował się w to, co nazwałam na początku moją „wizją” Janusi. Wizją, która wyjaśniła mi ostatecznie nie tylko samą Janusię i wszystkie współlistniejące w Niej rzekome sprzeczności, ale również umożliwiła sprecyzowanie bardziej jeszcze doniosłych spraw. Otóż wydaje mi się (i mam wrażenie, że mam słuszość), iż Janusia pojmowała życie jako odtworzenie, w sposób możliwie najdoskonalszy, roli każdemu z nas przypadającej na Bożej scenie świata, odtworzenie jej w myśl założeń Najwyższego Twórcy i Reżysera, w pokornej i żarliwej gotowości do przyjęcia każdej Jego wskazówki czy żądania, w chętniej akceptacji zarówno samej roli, jaką by ona nie była, jak i wszystkich przydzielonych ku temu warunków. Od tego zrozumienia był już tylko jeden krok do dalszego zrozumienia, iż taka właśnie postawa obowiązuje każdego z nas. Bo czymże jest właściwie *homo novus*⁴⁷, w którego powinniśmy się przyoblec „zzuwszy starego człowieka”, jak nie postacią dramatu, którą chce w nas widzieć Wola Boża?... Chciałabym jednak uniknąć nieporozumienia mogącego łatwo powstać, gdy mowa o „odgrywaniu roli”. Mianowicie pomieszania pojęcia wykonania (w sposób jak najbardziej sumienny, twórczy i doskonały) powierzonego odcinka całości, ze sztucznym wcieleniem

⁴⁷Z łac.: „człowiek nowy”. Aluzja do zachęty, zawartej w Liście św. Pawła do Efezjan (4,22-24): „...Trzeba porzucić dawnego człowieka, który ulega zepsuciu na skutek zwoźniczych żądź, a odnawiać się duchem w waszym myśleniu i przyoblec człowieka nowego, stworzonego według Boga, w sprawiedliwości i prawdziwej świętości”.

się w kogoś, kim się nie jest. Pierwsze jest prawdą sztuki i życia, drugie – parodią. Otóż gdy mowa o Janusi, czy to na scenie, czy w życiu, nigdy nie może być mowy o tym drugim. Zarówno jak na scenie była tą „sobą”, którą w danej chwili powinna być, tak i w życiu była sobą we wszystkich, najsprzeczniejszych na pozór przejawach⁴⁸. Gdyż świadomie akceptowała rolę tej „siebie”, jaką Jej Bóg wyznaczył. Dziwiono się powszechnie, iż będąc tak niepospolicie dojrzałą, była zarazem tak niezwykle dziecinna. Otóż wydaje mi się, iż była tak dziecinna właśnie dlatego, iż była tak dojrzała. Nie uważała, że dzieciństwo było tylko przygotowaniem do życia, jakimś stanem wyczekiwania dorosłości i podciągania się do niej. Uważała, iż każdy odcinek życia jest partią jakiejś wielkiej roli, z której każdy najdrobniejszy i na pozór błahy szczegół trzeba odtworzyć bez zarzutu. Bóg powierzał jej w danej chwili rolę dziecka i Janusi dojrzałość umiała ocenić w całej rozciągłości doniosłość tej roli. Uświadamiała sobie niezastąpione i niepowrotne walory dzieciństwa, które trzeba umieć ukochać i uwydatnić. A naturalna spontaniczność, z jaką była dzieckiem, potwierdzała tylko dojrzałą mądrość, z jaką godziła się na to, by nim być i to być „na całego”. Będąc wielką artystką umiała odmierzyć granice tej swojej roli, zbadać, jakie w tych granicach mieszczą się możliwości, które można i trzeba wyzyskać lub do maksimum nasycić twórczą treścią, ale również w czym nie wolno ich przekroczyć, by nie zniekształcić zarysów całości. Sądzę, że gdyby mogła przeczuć, że rola wyznaczona Jej przez Pana Boga skończy się na pierwszym akcie, nie mogłaby odegrać jej pełniej i lepiej. Dlatego też nie chciałabym, tak bardzo bym nie chciała, aby Ją identyfikować w czymkolwiek z tym szeregiem dzieci, wprawdzie na pewno heroicznych, może nawet świątobliwych, ale które jawią się nam tak mało dziecinne, tak

⁴⁸Chodzi o „przejawianie” czyli uzewnętrznianie tego, co w danej chwili czuła lub przeżywała. Przeciwnieństwem określenia: „być aktorem” (grać czyli udawać) jest: „być spontanicznym” (swobodnie, bez zahamowań i w sposób prawdziwy uzewnętrzniać swoje przeżycia).

pogardliwe dla pełnej roli dziecka. Miarą szacunku Janusi dla tej Jej *condition*⁴⁹ dziecięcej były powściągliwość i umiar, dzięki którym nigdy niczego nie przejawiała, nie przeszarżowała, nie zamącała sztucznością.

Bo na straży Jej ścisłej zgodności z realną i naturalną prawdą Jej roli stała właśnie ta Jej cudowna pokora. Mając wszelkie dane po temu, aby „udawać dorosłą” i wszystkich tym zadziwić i olśnić, wołała, chciała i umiała być najdoskonalej dzieckiem. W jednym z wierszy o Niej („... et lux”) powiedziano, iż „ręka zrywająca kwiat... ocala piękno kwiatu przed doskonałością owocu”. Trafne, ale... nie w związku z Joanną. Bo w Niej piękność kwiatu, jego barwę, zapach i kształt warunkowało sobą właśnie jego, na pozór paradoksalne, a jednak rzeczywiste i harmonijne współistnienie z owocem, a doskonałość owocu gwarantowała nienaruszone trwanie kwiatu. Dlatego też nie była w niczym, ale to absolutnie w niczym, *Wunderkindem*⁵⁰, choć – a może właśnie dlatego, iż była *ein Wunder der Natur und der Gnade*⁵¹.

Toteż teraz, gdy Jej już nie masz pośród nas, to (przynajmniej dla mnie) o prawdzie słów: „Jeśli nie staniecie się jako dzieci, nie wnikdziecie do Królestwa Niebieskiego”, świadczy jeszcze wymowniej, niżeli wszystko wielkie, czego, dzieckiem będąc, dokonała – kot-przybłęda Murmur, towarzysz szaleńczych zabaw i wyczynów, i ta paczka pocztówek, którą przygotowała, by spłatać figla narzeczonemu siostry. Jak również całe miasto Łódź, które kochała, „bo jest brzydkie”, tak jak dzieci zawsze kochają zadośćczyniącą miłością najbrzydsze zabawki.

W związku z tą miłością do Łodzi chciałabym też dodać parę słów o Jej radosnym umiłowaniu wszystkiego, co z woli Bożej było Jej udziałem, czyli – co tu dużo mówić – o Jej umiłowaniu woli

⁴⁹Franc.: „stan”, „sytuacja”, „miejsce zajmowane w świecie”.

⁵⁰Z jęz. niem.: „Cudownym dzieckiem”.

⁵¹Niem.: „Cudem [jednocześnie] natury i łaski”.

Bożej *tout court*⁵². Kochała Łódź, bo przeznaczone Jej było tu mieszkać i nie wybiegała tęsknotą, jak to zazwyczaj czynią dzieci (i nie dzieci) do wszystkiego, co nie jest rzeczywistością chwili obecnej i obecnego środowiska. Kochała więc również i cierpienie, z którym tak wcześnie zawarła znajomość i pakt. Zarówno cierpienie wielkich kataklizmów dziejowych, jak i cierpienia spowodowane niedostatkiem, trudnościami i wszelkiego rodzaju przywacjami⁵³ życiowymi. Kochała je tak, jak się kocha towarzysza z lat najmłodszych, który nieraz bezceremonialnie wytarmosi i poturbuje, ale też umie jak nikt przemawiać cudownym językiem prawdy, wyczarowywać istnienie rzeczy najpiękniejszych. Jestem pewna, iż kochała cierpienie za to, iż dzięki niemu istnieją heroizm i hart, i odwaga, i tragizm, i łzy. Ale w Jej postawie ku cierpieniu nie było nawet *un soupçon*⁵⁴ cierpiętnictwa. Podobnie jak nie widziałam na Jej twarzy wyrazu zniecierpliwienia, tak z Jej ust nigdy nie słyszałam skargi, nawet tej zawołowanej formy skargi, jaką jest „popisywanie się” cierpieniem lub obojętnością na nie. Wydaje mi się jednak, iż istniał pewien rodzaj cierpienia przyprawiający Ją o głębokie wewnętrzne rozdarcie. Powodował je widok braków i błędów u innych. Im kto wyżej stał lub powinien był stać w hierarchii Jej szacunku, tym boleśniej odczuwała te braki. I to, sądzę, była Jej forma odkupieńczego cierpienia.

Chciałabym jeszcze powrócić do tego, co mówiłam o Jej wyczuciu hierarchii wartości, które było prostą i logiczną konsekwencją Jej „chodzenia w prawdzie”. Jej własna Mamusia napisała o Niej, że „lubiła dobre stopnie”. Otóż pozwolę sobie to zdanie nieco zmodyfikować. Jeśli Janusia lubiła dobre stopnie, to tylko dlatego, iż będąc zawsze najdoskonalej sobą, a więc w „prawdzie rzeczy” małą dziewczynką, reagowała szczerze i

⁵²*Franc.:* „Po prostu”.

⁵³*Z łac.:* „brakami”.

⁵⁴*Franc.:* „[cienia] podejrzenia...”

naturalnie na potwierdzenie rzetelności swych wysiłków. Przyznasz, iż byłoby coś sztucznego, a więc pozbawionego prawdziwej pokory, gdyby przyjmowała je obojętnie. Ale przedstawiała je lubić z chwilą, gdy kolidowały z jakąś wartością, którą z jakichkolwiek względów uważała za nadrzędną. Przykładów można by przytoczyć bez liku. Sprawa prośby o obniżenie stopnia, by nie wywołać zniechęcenia u koleżanki, sprawa, już wyżej wspomniana, lekcji angielskiego. Wszystko musiało służyć dobru jakiejś sprawy, jakiejś prawdy. Grając swą rolę sceniczną przywracała też ludziom poczucie właściwej hierarchii wartości, wywołując w nich wrażenie, że żadne dobro jednostkowe czy społeczne, nawet [jeśli] samo w sobie [jest] chwalebne, nie zdoła zrównoważyć krzywdy zaniedbanego dziecka. Można by tu wspomnieć jeszcze o sprawie przyłapania Jej przez druhnę Soporek przed konfesjonałem w kościółku kościeliskim. Trzeba wiedzieć, jak Janusia kochała druhnę i jak dobrze wiedziała, że druha jest nadzwyczaj religijna, by ocenić, ile „chodzenia w prawdzie” było w tym, że własnymi przeżyciami religijnymi nie dzieliła się z nią, bo uznała, że nie ma takiej potrzeby. Przyznasz mi z pewnością rację, że każde inne dziecko posłużyłoby się właśnie takimi zwierzeniami, by pozyskać sobie tym większą sympatię i szacunek swego „ideału”. Janusia jednak wiedziała, że jej „ideałowi”, żyjącemu tak blisko z Panem Bogiem, jest to niepotrzebne, że więc nie przysłuży się żadnej sprawie. Co zaś do Niej samej, to chodziło Jej o samą prawdę, a nie o pozyskiwanie sobie nią czegokolwiek. Tak charakterystyczne jest również to, iż teźże druha Soporek nie wspominała nigdy o swej pracy i sukcesach artystycznych, tak że w harcerstwie, któremu była całą duszą oddana, teź nic o tym nie wiadano. Stąd ów paradoks, iż rolę Wandy, tę swoją ostatnią rolę, otrzymała przypadkowo... Nie zliczę wszystkich przykładów, jakie można by przytoczyć. Najbardziej może wymownym jest brak zainteresowania wynikiem konkursu na pogadankę i ognisko. Że ten brak był zupełnie szczery, iż Janusia „zrobiwszy swoje” po prostu zapomniała o konkursie,

jestem głęboko przekonana. Bo przecie w hierarchii wartości ważne jest to, co się w tej chwili robi, a nie to, co się już zrobiło, dobrze czy źle. Jak źle, to nie ma co się martwić i trzeba na drugi raz zrobić lepiej, a jak dobrze – to w ogóle nie ma co do tego wracać.

Na zakończenie tej sprawy Jej wyczucia hierarchii wartości powiem Ci jeszcze rzecz, która – po ludzku biorąc – brzmi strasznie, ale która w tychże „wymiarach nadprzyrodzonych”, o jakich wyżej mówiłam, jest najwspanialszym hołdem złożonym Jej Matce. We wspomnieniach dr Anieli Kowalskiej znajdziesz jej relacje z jej rozmowy z Janusią w czasie choroby Stefy. Są tam słowa: „O Mamusię jestem spokojna, Mamusia się nigdy nie załamie”. Gdy o tej rozmowie dowiedziałam się od p. Kowalskiej, ujrzałam nagle, z przerażającą jasnością, cały przebieg śmierci Janusi. Gdyż wyznać Ci muszę, iż przedtem miałam do Niej jakby pewien żal o to, iż w zapale ratowania koleżanek nie pomyślała o tym, jak strasznie osieroci swą matkę. Zdawało mi się, jakby w tym wypadku uchybiła temu swemu wyczuciu hierarchii wartości. I dopiero po dowiedzeniu się o tych słowach przekonałam się, iż pozostała mu wierna do końca. Chociaż jest to tylko moje własne wewnętrzne przeświadczenie (jak zresztą wszystko, co Ci o Niej powiedziałam), powiem Ci, iż jestem pewna, że gdyby Janusia miała mamusię, która „mogłaby się załamać” – byłaby usiłowała się ratować, rezygnując z aureoli ratowniczkki koleżanek, gdyż na pewno uznałaby, że chronić duszę swej mamusi przed załamaniem się i rozpaczą jest Jej pierwszym obowiązkiem. Ale... „O Mamusię jestem spokojna, ona się nigdy nie załamie”... Więc można było nie oglądając się na nic, złożyć ofiarę ze swego życia.

Wiem, iż wszystko, co tu napisałam (chaotycznie i bezładnie, bo jestem tak bardzo zapracowana, Marysiu, tak zupełnie oduczyłam się wysławiać ściśle) nie daje obrazu Janusi, nie może go dać. Nawet gdyby było napisane lepiej, dokładniej, może jeszcze obszerniej. Bo ja Ją „widzę”, jak Ci już powiedziałam. A jeśli Ją słyszę, to słyszę nie Jej słowa, gdyż – jak Ci również powiedziałam

– nie mogę z własnych wspomnień zacytować ani jednego z Jej słów. Ale słyszę Jej głos. Ten głos ze sceny, wibrujący donośnie i jasno, aby głoszone nim prawdy dotrzeć mogły do wszystkich uszu i do wszystkich serc. I tamten ściszony głosik dnia powszedniego, w którym wyrażała się dojrzała i przemyślana afirmacja Jej roli dziecka. Przez cały czas pisania tego listu uparcie powracają mi na pamięć te słowa z *Princesse lointaine* Rostanda: „Oh! tout ce qu'on nous dit... rien... il faut venir voir”⁵⁵.

Na ostateczne zakończenie powiem Ci jeszcze, iż wydaje mi się, że Janusia kontynuuje swoje „chodzenie w prawdzie”. Święta Teresa z Lisieux obiecywała, że powróci na ziemię, aby nauczyć ludzi patrzeć w oblicze prawdy, by zdzierać z ich oczu zasłony zakłamania, oszukiwania siebie, podświadomych lub dobrowolnych złudzeń, różnych wygodnych omamów. Aby uświadomić im poczucie ich właściwej roli na Bożej scenie, przywrócić zakłócony ład hierarchii wartości, której powinno służyć ich życie. Dlatego też niech mi Bóg i Ona wybaczą, jeśli w tym, co tu napisałam jest cośkolwiek, co by nie było prawdą bez przymieszki.

Za długi jest ten list, Marysiu droga, kochana, abym miała do niego dorzucać jeszcze ten „osobisty bagaż”, o którym na początku wspomniałam. Wiedz tylko, iż pośród wszystkich Twych czytelników, jednego z najwierniejszych i najserdeczniej Ci wdzięcznych, a wiele naprawdę zawdzięczających Tobie – masz we mnie. Wspomnij o mnie w modlitwie.

Teresa Dmochowska

5 marca 1952 r.

È

Kochana moja,

⁵⁵*Franc.:* „O, to wszystko, co nam mówią... [jest] niczym... trzeba [samemu] pójść i zobaczyć!”

Kartę Twoją otrzymałam w sam dzień św. Sylwestra. Powitała mnie więc na progu nowego roku i – choć tak krótka – powiedziała mi bardzo wiele rzeczy, których może nie zamierzałaś w nią włożyć. Teraz widnieje jako obrazek nad łóżeczkiem mego najmłodszego Piotrusia (9 lat), który się nią zachwycił i zaraz ją sobie przywłaszczył. Bóg Ci zapłać za dobre słowa i pamięć.

Piszesz, żeś otrzymała mój długi (sprzed 3 lat) list o Janusi. O tym wiem, gdyż wszak od tego czasu wymieniliśmy kilka listów i kart. Nie wiedziałam tylko, czyś otrzymała list (sprzed 2 lat), do którego dołączyłam fragment „O osiołku”, gdyż już na ten nigdy nie otrzymałam odpowiedzi. Wiem, żeś wtedy właśnie dużo podróżowała i list mógł Cię nie zastać. No, ale mniejsza o to.

Bardzo mnie ucieszyło, że jednak nosisz się z myślą napisania o Janusi. Mam wrażenie, że nikt nie potrafi zrobić tego lepiej, a przy tym to, co spod Twojego pióra wyjdzie, obejmie najszerszy zakres czytelników. Ale rozumiem, że materiały masz istotnie skąpe. I nie powiem, żeby łatwo było je uzupełnić. Trzeba je dopełnić intuicją. Ale wszak Ty to potrafisz tak znakomicie uczynić. Bo jak Ci to już ongiś pisałam, po Joannie nie pozostało wiele z tych słów, tych „powiedzeń”, którymi są naszpikowane – *passez-moi le mot*⁵⁶ – wszystkie bez wyjątku biografie świętych czy niezwykłych dzieci. Owe „powiedzenia”, o ile są istotnie autentyczne (a nie odrobinę robione czy uzupełnione), są na pozór bardzo wymowne. Ale czy są istotnie wyrazem przeżycia, czy też tylko inteligencji i trafnych przemyśleń? Znam dzieci, które potrafią mówić rzeczy bardzo rewelacyjne (zresztą wiemy dobrze, że dotyczy to też i dorosłych), co nie znaczy bynajmniej, że zawsze i w każdym wypadku owe „rewelacje” pokrywają się z ich wewnętrzną treścią. Są bezsprzecznie dowodem inteligencji, umiejętności rozumowania czy zainteresowań, ale wiem z własnego, dość gorzkiego doświadczenia, że nie należy na tym bazować i wysnuwać z tego pochopnych wniosków.

⁵⁶*Franc.:* „Daruj mi te słowa”.

Zresztą są to wszystko truizmy⁵⁷, nad którymi nie ma potrzeby się rozwodzić. Tylko że truizmami są one w stosunku do dorosłych. Wiemy dobrze, że pomiędzy słowami czy rozumowaniem dorosłego a jego przeżyciem leży bardzo często istna przepaść. Gdy chodzi o dziecko, wydaje się nam, że jest inaczej. Że zawsze i w każdym wypadku słowo i myśl jest wykładnikiem przeżyć. Wydaje mi się jednak, że przeważnie bywa całkiem podobnie jak z dorosłym. Dopiero postawa, czyn, to coś nieuchwytnego, co zwiemy promieniowaniem osobowości, decyduje o gatunku wewnętrznej treści. I to zwłaszcza gdy chodzi o dziecko. Dziecko, im głębiej coś przeżywa, tym mniej jest skłonne o tym mówić. Tak iż brak „powiedzeń” jest raczej jednym więcej – i to posiadającym nie lada wymowę – dowodem i potwierdzeniem głębi przeżycia. Niemniej dla biografa taki brak jest poważnym utrudnieniem.

Drugim utrudnieniem jest sama oryginalność postaci. I tej żyjącej na tym świecie, i tej działającej z nieba. Joanna była zaskakująca i jest nią nadal. Ten swoisty „zaskakujący” charakter znamionuje całe jej „powracanie na ziemię”. Zawsze mnie zachwycał ten cud, jakim jest indywidualność zachowana w niebie, to piętno jedyne, osobiste, niepowtarzalne, jak sama osobowość każdej duszy, które kładzie się i wyciska na ziemskim działaniu świętych i zbawionych. Czy nie jest to cudne, że nawet Matka Boska, Matka całej ludzkości, zachowała od czasów Betlejemskiej nocy szczególniejszą wdzięczność i ufność do górskich pasterzy i teraz zstępując na ziemię z reguły ukazuje się pastuszkom? Zresztą wpadam znów w truizmy. Bo wiemy dobrze, że każda właściwie świętość jest indywidualna, a więc z konieczności zaskakująca. Jednak wydaje mi się, że ten truizm warto sobie czasem mimo jego oczywistości przypominać. Bo przecie jesteśmy z natury tak strasznie skłonni do upraszczania, do schematyzacji, która nam w

⁵⁷*Od ang.: „true” – „prawdziwy”: „prawdy oczywiste” (dobrze wszystkim znane).*

ocenie świętości grozi równie dobrze, a może jeszcze więcej niż w każdej innej dziedzinie. Jak swego czasu utarł się w hagiografii⁵⁸, dziś już coraz mniej rewidowany, typ świętego *tout d'une pièce*⁵⁹, tak obecnie – w epoce, która wreszcie zwróciła uwagę na świętość dziecka i przestaje interpretować słowa Pana Jezusa tak, jak gdyby oznaczały, że „jeśli dziecko nie stanie się jako dorosły, nie może być uważane za świętego” – zaczyna „ucierać się” typ świętego dziecka, coraz bardziej przypominający sztampę⁶⁰.

Przeczytałam niedawno świetne zdanie, które brzmi jak paradoks i jest nim rzeczywiście, ale jak każdy paradoks odkrywa nieprzeczuwane perspektywy: „Chrześcijaństwo wymaga od człowieka cnót, katolicyzm – tylko miłości”. Takie ujęcie doskonale rozwiązuje zagadkę Joanny: wszystkie cnoty Joanny płynęły z miłości. Nie były mozolnie wypracowane, jak bywają przeważnie cnoty, nie były „habitusami”⁶¹ wykuwanymi nieustannym, twardym wysiłkiem, ćwiczeniem, łamaniem się. Co nie znaczy bynajmniej, że w Jej życiu nie było bezustannego wysiłku i trudu. Nie zmierzały one jednak świadomie i celowo do wyrabiania w sobie cnót. Były one bez reszty wprzęgnięte w służbę miłości, wynikały z niej automatycznie. Mamy tu teraz w Polsce drugą świętą dziewczynkę, która zmarła na rok przed Joanną i była w jednym z Nią wieku. Stała się znana szerszemu ogółowi dzięki Stefie, która fragmenty jej pamiętnika umieściła w „Znaku”. Otóż ta właśnie była przedstawicielką wypracowanych cnót. Wypisała sobie cały szereg postanowień i co dzień czyniła z nich rachunek sumienia, ustawicznie dostosowywała do nich życie. Nie zamierzam pomniejszać tej

⁵⁸Z jęz. greckiego: „pisarstwo, ukazujące życie (poszczególnych) świętych”.

⁵⁹Franc.: „monolit”, „skała bez pęknięć i zarysowań”.

⁶⁰Typ, opisywany według gotowego schematu, utartego szablonu (podczas gdy każdy człowiek jest niepowtarzalny).

⁶¹Z łac.: „sprawnościami”, „trwałymi postawami”.

tradycyjnej postawy, ale śmiem wyrazić obawę, czy nie jest ona obecnie rzeczywiście już tylko tradycyjną. Nasza epoka wymaga syntezy, skrótu, wielorakiej wymowy streszczającej się w prostocie. Oszczędność wyrazu czy wręcz niedopowiedzenie stały się wymowniejsze od retoryki czy wykrzykników, kilka kresek potrafi wyrazić tyle samo, a nieraz i więcej niż płótna dawnych mistrzów. Toteż dziś nie wiem, czy nie minęły, a w każdym razie na długie lata, czasy „cyzelatorstwa”⁶² w świętości, nawet cyzelatorstwa w stylu świętej Tereski, tak przecie nowoczesnej. Trudno jest to wszystko wyrazić (jestem nieprzytomnie zapracowana w tym moim licznym gronie z dodatkiem pochłaniającej pracy zarobkowej i trudno mi nieraz zebrać myśli, a coś dopiero wyrazić się jako tako inteligentnie i ściśle), ale sprowadza się ono w sumie do tego, iż Joanna jest, w swoim rodzaju, pionierką i właśnie to pionierstwo woła wielkim głosem o ukazanie go szerszemu ogółowi. Bo tak prawdę mówiąc, jaki w tym sens mnożyć życiorysy postaci, które – przynajmniej w interpretacji biografów – są niemal identyczne. Joanna nie jest identyczna z nikim, nawet w przybliżeniu. Choć jest w Niej coś zarówno z Joanny d'Arc jak z Bernadetty czy świętej Tereski. Ale jest tak dużo z Niej samej, że nie pozwala to na zestawienie nawet z żadnym ogólnie znanym wzorem.

Być doskonale dzieckiem, a zarazem człowiekiem dojrzałym, który poczuwa się do odpowiedzialności za otaczających dorosłych, być istnym arcydziełem pokory, a zarazem zdawać sobie w pełni sprawę z dożgonności swego apostołskiego stanowiska i wykorzystywać je ze zdumiewającą odwagą i mądrością – to się już widziało w dziejach świętości, to właściwie należy do jej końca. Ale z miłości i dla miłości wykorzystywać z pełnym spokojem również i to, co tradycyjnie należy do dziedzin „grząskich”, obejmować

⁶²Z franc. *ciseler*: rytować (rzeźbić rylcem) w metalu. W znaczeniu przenośnym, tu zastosowanym: bardzo dokładnie wykańczać, dopracowywać kolejnymi, zaplanowanymi pociągnięciami (działaniami) kształt własnej świętości.

miłością absolutnie wszystko, czystością nasycić każdą sprawę, zwłaszcza gdy czyni to dziecko, którego doświadczenie nie nauczyło ani wyrozumiałości, ani tego, że dobro może jeszcze tlić się pod stosami popiołów – to już jest bez porównania bardziej zdumiewające. W dodatku ta postawa: bezapelacyjne potępienie zła, odruchowy bunt i śmiały sprzeciw odpowiadający na każdy jego przejaw w połączeniu z nie słabnącą i realną miłością do człowieka, który mu ulega, czy nawet dla form, które to zło przybiera – ta postawa, do której nie zawsze nawet wielcy święci potrafili dorosnąć – była syntezą życia Joanny i jest nadal syntezą Jej działania.

Bo Joanna działała. Była czynna, pozostała czynna. Była zaskakująca i pozostała zaskakująca. Jej życie nie wzorowało się na żadnych schematach i śmiem powiedzieć, że to, co – przynajmniej w sercu i po cichu – nazywam Jej cudami (ludek łódzki jest mniej powściągliwy i mniej prawomyślny, bo o Jej cudach mówi zupełnie głośno), też nie przypomina żadnych wzorców. Czy Joanna „gardziła materią”? Nie przypuszczam, zbyt spontanicznym zachwytem darzyła wszystko, co Pan Bóg stworzył. Niemniej faktem jest, że wyraźnie kpi sobie z „materialnych” cudów. Uważa widocznie – Ona, dziecko epoki wojen, kataklizmów i wszelkich fizycznych nędz – że to doprawdy „nie jest nic strasznego”, że ani śmierć, ani choroba, ani kalectwo nie są żadnym nieszczęściem, a mogą się stać wielkim dobrodziejstwem. W tym [jest] bardzo tradycyjna w zasadzie. To my raczej jesteśmy wszyscy jak dotąd bardzo niekonsekwentni, gdy głosząc tę prawdę, zarazem mianem cudów chrzcimy tylko uwolnienie nas od tego, co w gruncie rzeczy jest łaską. Joanna leczy na prawo i na lewo, w sposób niesłychanie indywidualny, zawsze nieomylnie rozpoznawalny, bo specjalizuje się w leczeniu chorych dusz. Mogłabym Ci przesłać całą listę znanych mi osobiście wypadków. Ograniczę się do kilku, które Ci pokażą Jej metody.

Pierwszy cud, o który prosiłyśmy. Młody człowiek umierał

przez blisko cztery lata na straszną, a do końca nie rozpoznaną właściwie chorobę, która pogłębiała w nim i tak już istniejący rozłam z Panem Bogiem. W dodatku na tle tej choroby wynikł konflikt z młodziutką żoną, którą ten przedłużający się stan doprowadził do zupełnie bezwstydного ujawnienia, iż wołałaby, żeby to się już raz czym prędzej skończyło śmiercią. Siostra chorego, a moja serdeczna przyjaciółka, która już przedtem w czasie okupacji przeszła istną gehennę, patrząc na cierpienia ukochanego brata, do reszty też straciła wiarę. Jej ateizm stał się przerażająco logiczny, nie dopuszczał żadnej repliki⁶³. Zdawało się nam więc, że tylko cudowne uzdrowienie tego człowieka może ich wszystkich na duszy uzdrowić. Ale Joanna od razu pokazała, że pojmuje sprawę wręcz odwrotnie. Zaczęło się od żony, która nic nie wiedziała o nowennie⁶⁴, gdyż była wtedy na wsi z córeczką. Wróciła doszczętnie odmieniona. Z pustej lalki stała się niewyczerpane troskliwą, dobrą, cierpliwą pielęgniarką, i to przez całe dwa lata, jakie dzieliły jeszcze męża od śmierci. Potem przyszła kolej na niego. Trafił do nich (nie wiem nawet jakimi drogami) jakiś dominikanin. Początkowo chory oświadczył, że go wizyty męczą i zwyczajnie wyprosił go za drzwi. Ten się jednak nie zraził. Skończyło się na tym, że w ciągu tych ostatnich dwóch lat chory nie tylko odzyskał wiarę, ale w końcu cierpiał z najwyższą radością i umarł naprawdę jak święty. Po czym przyszła kolej i na siostrę, z której na widok tego, co się dzieje, wywietrzała cała jej „logika”.

Drugi wypadek, który Ci już może opisywała Stefa, dotyczy młodej aktorki, która dostała jakiejś dość nie wyjaśnionej choroby rozpoznawanej przez lekarzy raz jako rak, raz znów jako gruźlica. Wyznała mi, iż wprost „drapieźnie” pragnęła żyć. O wyzdrowienie jej modliła się nie tylko ona sama i jej otoczenie, ale prawie

⁶³Z łac.: „odpowiedzi” (a tym bardziej dyskusji).

⁶⁴Możemy się domyślić, że chodziło o nowennę (dziewięć dni?) modlitw błagalnych o nawrócenie przez wstawiennictwo Joanny.

wszystkie klasztory warszawskie, z którymi jest zaprzyjaźniona. Gdy dowiedziała się o Joannie, postanowiła się modlić przez Nią i miała głębokie przekonanie, że ta nowenna będzie na pewno niezawodna. I była niezawodna. Ale w sposób zupełnie niespodziewany. Oto w czasie nowenny przyszło na naszą chorą jak gdyby olśnienie: nie mówiąc już o tym, [że uświadomiła sobie], jak cudowną rzeczą jest móc cierpieć dla Boga, ale [doświadczyła także], iż najcudowniejszą ze wszystkich jest świadomość, że się ujrzy Pana Boga, że chwila tego spotkania się zbliża, że jest tuż... Od tego czasu minęło już również dwa lata. Choroba nadal trwa. Przechodzi przez zmienne fazy poprawy i nasilenia. Ale i nastawienie wewnętrzne zrodzone z tamtej nowenny trwa, tylko nie przechodzi przez żadne zmiany, lecz bezustannie rośnie. Nie znam radośniejszego człowieka.

Może jeszcze kiedyś opiszę Ci inne wypadki, których jest sporo. Na razie muszę na tych poprzestać, żeby nie obciążać zbytnio tego listu... Ale te dwa przykłady chyba wystarczą dla zilustrowania działania Joanny, działania, które można by nazwać w skrócie „budzeniem radości cierpienia”. Co zresztą stoi w ścisłym związku z tym, co Ci pisałam w pierwszym liście, iż Joanna powraca, by uczyć ludzi patrzeć w oblicze prawdy. Bo czyż radość cierpienia nie jest tego prawdziwym, choć tak bardzo zapoznanym obliczem?

Żegnaj, Najmilsza, i pamiętaj nadal o mnie choć w modlitwie. Ale i odezwij się czasem, choć karteczką. Więcej szczegółów o Joannie powinna Ci jeszcze dorzucić sama Stefa. Zwłaszcza szczegółów dotyczących wczesnego dzieciństwa Joanny w Waszym rodzinnym mieście, dowodów Jej dojrzałego już wówczas heroizmu.

Na zakończenie mam jeszcze jedną, bardzo serdeczną do Ciebie prośbę. Czy mogłabyś zdobyć i przysłać mi dwie książki (zrewanżuję się może tu Twojej siostrze?). Mianowicie: Marcelle Auclair, *Ste Thérèse d'Avila*, ale zwłaszcza Idy Görres, *Die Leibhaftige Kirche*? Byłabym Ci niewymownie za to wdzięczna.

I napisz koniecznie o Joannie. I to niedługo. Bo bardzo na to czekamy. Kto wie, ile nam jeszcze czasu pozostało.

Całym kochającym Cię sercem Bogu Cię polecam, Kochana.

Teresa Dmochowska

OŚWIADCZENIE

Kiedy przyszedłam w jesieni 1952 r. do domu pp. Skwarczyńskich po robotę, zobaczyłam fotografię dziewczynki, którą dobrze znałam z widzenia. Widywałam ją co dzień w naszym kościółku na prymarii, gdy przystępowała do Komunii św., albo gdy się modliła w kaplicy św. Antoniego. Nie wiedziałam jak się nazywa i czyją jest córką. Od kilku lat zniknęła mi z oczu, a często o niej myślałam, bo taka była skromna i pobożna. Nie schodziła mi z pamięci. Dziś wiem, że to była Joasia Skwarczyńska.

M. Banasiak⁶⁵

Za zgodność zeznania z zapisem:

A. Witulska

E. Michalak

⁶⁵Pani Banasiakowa, która brała od nas bieliznę do prania, zmarła w parę lat po złożeniu tego oświadczenia. Tak się złożyło, że Msza św. żałobna za jej duszę w dniu jej pogrzebu wypadła w dniu i w godzinie, o której miała się odbyć Msza św. za Joannę. Oczywiście, ksiądz przełożył Mszę św. za Joannę na inny dzień; i tak Joanna ustępując miejsca starej kobiecie jakby podziękowała jej za to samorzutnie złożone o Niej świadectwo.

LIST I

Lublin, 28 XII 1948 r.

Czcigodna Pani!

Gdy doszła mnie wiadomość o tragedii, jaka się rozegrała na jeziorze Gardno, jakby przeczuciem tknięty, że zginął ktoś mi bliski, zacząłem badać listę ofiar tej katastrofy i trafiłem na Janusię. Boleśnie odczułem śmierć tego anielskiego dziecka (tak bowiem nazywałem w myśli Janusię od dnia Jej pierwszej Komunii św., której Jej udzieliłem) i pragnąłem stanąć w tych dniach przy Osobie Czcigodnej Pani, by dzielić z Nią Jej ból, bo i dla mnie tragiczna śmierć Janusi była bolesnym przeżyciem.

Niestety, nie miałem adresu Czcigodnej Pani i pisanie listu odłożyłem. Tymczasem prof. Kleiner, od którego spodziewałem się adres ten zdobyć, wyjechał na semestr jesienny z wykładami do Krakowa i dopiero podczas obecnych świąt odwiedziłem go, zdobyłem adres i piszę.

Rozmowa z prof. Kleinerem odnowiła moje przeżycia duchowe z okresu poznania Janusi, przygotowywania Jej do Pierwszej Komunii św., kiedy miałem przyjemność poznać i Czcigodną Panią. Przeżyć tego cudnego dnia nie zapomnę do śmierci, choć mógł on skończyć się tragicznie, o czym potem napiszę. Przypominałem sobie wszystkie szczegóły pobytu Janusi w Kiełczewicach. Z rozrzewnieniem wspominałem, jak to ona pragnęła podczas swego pobytu w Zakładzie dzieci-sierotek być traktowana jak one, jak była przez nie kochana. Wreszcie stanął mi żywo w pamięci sam akt Pierwszej Jej Komunii, przechodzący w cudną wizję... i to, co zaraz potem nastąpiło. Nie wiem, czy Czcigodnej Pani już mówiono, iż na skutek przejętego telefonu p.

Kalinowskiego do Zakładu wybrało się z Lublina do Zakładu Kiełczewickiego 9 gestapowców, by w sobotę, tj. w dniu Pierwszej Komunii Janusi, nawiedzić Zakład i prawdopodobnie zaaresztować przynajmniej niektórych uczestników uroczystości, podejrzewając, że chodzi tu o jakieś zebranie konspiracyjne, polityczne. Na szczęście, gdy się zatrzymali (...?), by wypytać się o drogę do Zakładu Kiełczewickiego, auto ugrzęzło w piachach i Niemcy przemęczyli się do wieczora z ruszeniem go i wreszcie sprowadzili z Lublina dwie ciężarówki i zepsute już auto z gestapowcami zabrali do Lublina z powrotem. Z p. Kleszczyńską, przełożoną Zakładu w Kiełczewicach, widzieliśmy w tym wypadku interwencję Opatrzności, spowodowaną zasługami Anielskiego Dziecka – Janusi.

Po tym przeżyciu często w swych samotnych rozważaniach zatrzymywałem się w myśli na osobach Janusi i Czcigodnej Pani, która nie w przenośnym, a w dosłownym znaczeniu, jak legendarny pelikan, własną krwią utrzymywała przy życiu swe Dzieci.

Dziś konstatuje, że już nie tak tragicznie patrzę na katastrofę na jeziorze Gardno, jak w pierwszej chwili, gdy się o niej dowiedziałem.

Przesuwają mi się w myśli aforyzmy i przysłowia mędrców o przedwczesnej śmierci ludzi wartościowych lub zapowiadających z siebie wielkie nadzieje na przyszłość, a przede wszystkim powiedzenie Pisma Świętego: „Podobała się dusza jego Bogu, dlatego pokwapił się wyrwać ją z krainy nieprawości”. „Umiłowani bogom wcześniej umierają”. A nasz Mickiewicz pisze: „Dusza jest budowlą, ciało rusztowaniem” (piszę z pamięci). Widać, że Janusia dosięgła już pełni szlachetnego człowieczeństwa i Bóg

„pokwapił się wyrwać ją z krainy nieprawości”. A pisarz angielski Benson w dziele swym *Paradoksy katolicyzmu* pomiędzy innymi podaje taki obrazek: Przy torze kolejowym bawią się dzieci. Nadchodzi kurier. Nagle Anioł Stróż jednego dziecka chwyta je i rzuca pod koła pędzącego pociągu, pod którym dziecko ginie. I taki wypadek da się uzasadnić ze stanowiska katolickiego. Wierzę, że w wyrokach Opatrzności ta tragiczna śmierć tego Anielskiego Dziecka, Janusi, da się uzasadnić. To było potrzebne dla pełni Jej szczęścia.

I wierzę, że z zaświatów czuwa Ona nad swoimi najbliższymi, wpływając swoją modlitwą na Ich losy...

Mam nadzieję, że i Czcigodna Pani przyszła już do równowagi duchowej, znajdując w wierze przekonanie, że cokolwiek działa lub dopuszcza dobry Bóg, czyni to dla naszego szczęścia. A przede wszystkim Janusia będzie łącznikiem pomiędzy Bogiem a swymi Najbliższymi.

I na progu Nowego Roku pozwalam sobie załączyć życzenia, by w tym nadchodzącym Nowym Roku Czcigodna Pani stale odczuwała tę interwencję Janusi na sobie i swoim otoczeniu.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku i serdeczne pozdrowienia

Ks. Florian Krasucki

LIST II

Lubiń k. Kościana, Klasztor Benedyktynów, 20 I 1951 r.

Szanowna Pani Profesor!

Dopiero dziś mogę podziękować za okazaną mi uprzejmość, tj. za list i fotografię śp. córki Joanny. Przed paru bowiem dniami powróciłem do domu. Żałowałem także, że nie zastałem wtenczas Szan. Pani Profesor, bo spodziewałem się dowiedzieć parę szczegółów o duchowości Jej śp. córki. Dzięki jednak uprzejmości Jej męża mogłem przejrzeć referaty dotyczące śp. Joanny, co dało mi niejaki pogląd. Szkoda tylko, że tak mało tam mowy o życiu wewnętrznym Joanny. Mimo to obraz jaki taki o tej sprawie zdobyłem. Doszedłem do wniosku, że Joanna posiadała niemałą głębię wewnętrzną, skoro zrozumiała, że zasadniczy sens chrześcijaństwa polega na dawaniu siebie bez reszty. Dawała bowiem siebie z entuzjazmem właściwym duszom szlachetnym.

Staralem się zrozumieć, skąd się u Niej wzięło to wielkie natężenie miłości bliźnich. Odpowiedź stanęła jedna przed świadomością mej duszy. Joanna miała swoje wewnętrzne tajemne przeżycie. Było nim spotkanie z Bogiem. Tylko przeżycie Boga może zrodzić tyle ofiary i tyle zapału. To jest wielkie w Jej życiu, że niosła Boga wszędzie bez ostentacji⁶⁶, tak po prostu, tak całkiem naturalnie. Bóg był wielkim faktem Jej młodego życia, faktem nazbyt oczywistym, by trzeba go dowodzić inaczej jak porywem miłości.

⁶⁶Z łac.: *robienie czegoś na pokaz, popisywanie się, celowe zwracanie na siebie uwagi.*

Dzięki temu właśnie Joanna wyrosła na Patronkę nawróceń duchowych i ładu serca. Myślę, że zwrócenie się do Niej i dusz Jej podobnych ułatwi spotkanie się z Bogiem szaremu człowiekowi, zagubionemu w niezmiernej udręce popolitości. Ta plugawa popolitość dziś zabija, wydziera nam święto z duszy, gasi tęsknotę za Bogiem. Ale czyż ją zabije zupełnie? Nie – sędzę, że nadszedł czas, kiedy jedynym żywiołowym pragnieniem człowieka stanie się posiadać Boga i żyć Nim otwarcie na co dzień i miłować Go tak potężnie, a tak po prostu, jak miłowały Go Anielka Budkówna i córka Szan. Pani Profesor, i wiele innych. Tylko taką postawą zwalczymy wielki smutek współczesny, co wyziera ku nam z każdego kąta, że już nie mamy nawet gdzie skryć się przed nim. Jedynym miejscem schronienia jest religia ujęta w stylu heroicznym, religia dynamiczna, jak pisał Henri Bergson. Drogę ku niej ukazują nam dusze bohaterskie, co miały odwagę miłować. My słyszymy ich apel skierowany do nas, tylko nie zawsze mamy odwagę pójść w ich ślad.

Cieszę się, że poznałem choć trochę śp. córkę Szan. Pani Profesor, tak jak cieszę się z każdej duszy spotkanej na drodze mego życia, która potrafiła miłować Boga prawdziwie. One ratują mnie od smutku, one dają mi optymizm i ufne spojrzenie w przyszłość. Obok Anielki B. włączam Ją do mych Patronów i Orędowników u Boga na znajomej drodze szukania wyższej treści życia i niezachwianej wiary w innych. Szanowna Pani jako Matka ma większe względy u swej śp. Córki. Proszę przeto polecać mnie Jej wstawiennictwu u Boga. Jeśli kiedy znów będę w Łodzi, nie zaniecham odwiedzić Szan. Państwa. Przesyłam najgłębsze uszanowanie Sz. Pani Profesor i Jej Mężowi oraz pozdrowienia od ks. Olejniczaka.

Ks. Stefan Wolniewicz OSB⁶⁷

⁶⁷OSB – skrót nazwy zakonu Benedyktynów (*Ordo Sancti Benedicti*).

ROZDZIAŁ II

W OCZACH SZKOŁY

*Jeżeli ma się kogoś,
z kim chciałoby się zawsze przebywać,
a jego obecność nie nuży,
lecz raduje i uspakaja –
to wielka rzecz.
Lecz tylko to, co Bóg złączył,
przetrwa próbę
czasu i wieczności.*

*Jeżeli nauczyciel,
niosący ubogi plecak swojej wiedzy,
stale wędruje w poszukiwaniu Pełni
Prawdy i Mądrości –
może się zdarzyć,
że otrzyma ucznia,
który stanie się jego nauczycielem.*

ZAŚWIADCZENIE

Dyrekcja 19 Szkoły Średniej z polskim językiem wykładowym zaświadcza, że Skwarczyńska Joanna, córka Tadeusza, urodzona w r. 1935, była do dnia 25 kwietnia 1945 r. uczennicą czwartej klasy tutejszej szkoły.

Skwarczyńska Joanna w ciągu roku szkolnego wykazała postęp bardzo dobry i sprawowanie bardzo dobre.

Pod każdym względem należała do uczennic wybitnych i obowiązkowych.

We Lwowie, dnia 25 kwietnia 1945 r.

(pieczętka)

*Dr Chmielowcowa Janina
dyrektor 19 Szkoły Średniej we Lwowie*

JOANNA SKWARCZYŃSKA

Przez szkołę przewijają się setki uczennic, a każda z nich pozostawia po sobie silniejszy lub słabszy ślad swej pracy w życiu szkoły, wywiera pewien wpływ na sposób rozwiązywania wszystkich zagadnień powstałych w klasie i w organizacjach szkolnych.

Joasia Skwarczyńska była przez trzy lata uczennicą Szkoły Podstawowej nr 161. Znały ją uczennice klas młodszych i starszych. Popularność swą zawdzięczała swej czynnej postawie wobec wszystkich sporów powstałych na terenie całej szkoły. Znaleźć ją można było wszędzie tam, gdzie trzeba pracować, gdzie trzeba pomóc uczennicy słabszej w nauce czy nieporadnej w zorientowaniu się w zwyczajach i regulaminie szkolnym. Była inicjatorką wielu poczynañ samorządu szkolnego, a od chwili wstąpienia do harcerskiej drużyny szkolnej ideały harcerskie starała się realizować w swej pracy szkolnej. Mając szeroko otwarte oczy na wszystko, co się działo wokół niej, i prawie wyrobiony, już dojrzały, sąd o wielu sprawach społecznych, inicjowała pracę i organizowała ją subtelnie, sama usuwając się w cień, nie mówiąc o swym wysiłku. Wykonana praca była dziełem wspólnym, bo umiała nią zainteresować i wciągnąć do niej te najbardziej nieśmiałe, a nawet egoistyczne koleżanki. Lubiły ją wszystkie. Zawsze w gromadce uczennic uśmiechnięta, nawet o 6 wieczorem, gdy urządziła wspólnie z koleżankami wystawę szkolną i zmęczenie widniało już na wszystkich twarzach. Postępowanie jej było pełne delikatności i taktu. Cichutko i najczęściej sama załatwiała sprawę pomocy w nauce słabszej, mniej zdolnej koleżance. Po upływie pewnego czasu dowiadywałyśmy się niekiedy od którejś z uczennic, że Janusia pożyczała jej plecak lub też pomogła jej materialnie.

Została w naszej pamięci promienna, uśmiechnięta, zawsze gotowa do pracy, bez zastrzeżeń obowiązkowa. Zyskała dużą sympatię wśród koleżanek i nauczycielstwa.

Długo, bardzo długo będzie nam jej brak.

*H. Podśędkowska
Kier. Szkoły 161*

Łódź, 20 XI 1948 r.

OCZYMA WYCHOWAWCZYNI

Joasia, moje kochane dziewczątko! Trudno mi wyobrazić sobie, że jej już nie ma.

Widzę ją przed kancelarią w dniu odjazdu na obóz harcerski. Uśmiechnięta, z węzłem włosów spadającym na szyję. Oczy jej płoną, bo ma zająć się zebraniem ekwipunku. Naprawdę śliczna... Patrzę na nią z przyjemnością, żal mi nawet, że nie będę tam, gdzie ona. Byłam jej wychowawczynią trzy lata. Widzę ją ciągle: w klasie podczas zebrania Samorządu. Twarz jej poważna, skupiona, bo ma się odbyć wybór gospodyni. Rozsądnie omawia zalety kandydatek. Ma dwanaście lat, ale myśli poważnie.

Kiedy tworzą się grupy, staje na czele swojej i opiekuje się nią, doucza słabsze koleżanki, pomaga im w odrabianiu lekcji. – Pamiętam: raz dziewczynki postanowiły w związku z zajęciami praktycznymi same upiec torty i zrobić lody na zakończenie roku szkolnego dla całej swojej klasy i zaprosić wszystkie panie nauczycielki.

– Teraz można Joasię widzieć wszędzie: tu pomoże, tam zachęci, zajmuje się każdą pracą, aby przyjęcie wypadło jak najlepiej.

Na Boże Narodzenie współ z koleżankami szykuje stolik, układa estetycznie łakocie kupione za wspólne małe oszczędności, aby przyjąć zaproszenie dzieci z Domu Dziecka. A jaki miły jej stosunek do małych gości! Taka bezpośrednia, umie sobie w jednej chwili zjednać każdego. Jest zawsze duszą wszelkich imprez.

Dlatego każdy kocha Joasię, a nauczycielki podkreślają jej uspołecznienie. Jako dziewięcioletnia dziewczynka gra rolę córeczki w sztuce *Ich czworo* w Teatrze Kameralnym Domu Żołnierza. Lekcje odrabia w ciasnym pokoiku za sceną, bo wraca późno do

domu, a mieszka za daleko, by móc po lekcjach w szkole być po raz drugi w mieście.

Dzięki tym występom pomaga materialnie, bo tatuś jeszcze nie wrócił z niewoli niemieckiej, a mamusia mało zarabia na utrzymanie. W siódmej klasie jest harcerką, jest dumna ze swego krzyża harcerskiego, pokazuje mi go pełna radości. Teraz ma już „swoje” dziewczęta!

Nie jestem już jej wychowawczynią. Uczę po południu. Często widzę Joasię otoczoną dziatwą: kochają ją. Ona trzyma w ręku pęk bandaży i poucza, jak należy owijać, aby bandaż się dobrze trzymał i opowiada im o doraźnej pomocy w nagłych wypadkach.

– „Tak późno, musisz pół godziny jechać do domu, musiałaś o piątej wstać, kiedy ty lekcje odrobisz?” – „Zdążę, proszę Pani” – i uśmiecha się słodko, jak to ona potrafi. Uczy się bardzo dobrze. Z klasy piątej do szóstej otrzymuje nagrodę, na której tylko ona jedna w szkole ma napisane: „Za uspołecznienie”.

Kiedyś pytam: „Czemu masz takie oczy podkrążone, pewnie nie miałaś czasu wypaść się?” – „Nie, proszę Pani, jestem wyspana”... Później dopiero dowiedziałam się, że w domu nie ma mamusi, bo wyjechała leczyć się do Zakopanego i trzeba jeszcze spełniać obowiązki gospodyni, bo siostra musi się przygotowywać do egzaminów. Mieć czas na wszystko i dla siebie, i dla innych, to tylko Joasia potrafi, tak jak potrafi wyczuć swą subtelnością każdą przykrość komuś wyrządzoną.

Maria Ruszczyńska⁶⁸
Nauczycielka w Szkole 161

⁶⁸Ukochana wychowawczyni Joasi w klasie IV, V i VI.

NASZA KOLEŻANKA

Janka była w naszej zeszłorocznej klasie całą jej duszą. Przewodniczącą klasy VII została w drugim półroczu roku szkolnego i zaraz wszystkie sprawy klasowe zwały się na jej głowę. O wszystko dbała i myślała o wszystkim. Redakcja gazetki klasowej spoczywała w jej ręku. W Czerwonym Krzyżu pracowała także wiele. We wszystkich organizacjach szkolnych brała czynny udział, myśląc o wszystkim i o wszystkich. Żadna sprawa szkolna nie obeszła się bez niej, wszędzie obecna, o wszystkim myśląca i wszystkim potrzebna, znajdowała siły i chęci do każdej pracy. Była także bardzo dobrą uczennicą. W klasie nie było jej równej w polskim, w historii i innych przedmiotach. Harcerstwu poświęciła się całą duszą. Jako przyboczna „Małej 15-tki” im. „Zośki” pracowała także prowadząc zastęp. W życiu Komendy brała żywy udział. Zajmowały ją bardzo konkursy wszelkiego rodzaju. Na pierwszym i ostatnim obozie „Małej 15-tki” w funkcji oboźnej wypełniała wszystkie swoje obowiązki, poza tym prowadziła jeszcze zastęp „Mewy”. Była wesołą koleżanką i życzliwą każdej we wszystkich sprawach. Jest nieodżałowana i niezastąpiona i niejednej dziewczynce powinna służyć za przykład w działalności na terenie szkoły zarówno jak na terenie harcerstwa. Zostanie na zawsze w naszej pamięci jako koleżanka i harcerka.

Teresa Kalińska

È

Janeczka była zawsze wzorem koleżanki, uczennicy i harcerki. Jako koleżankę trzeba ją było z miejsca polubić. Była zawsze serdeczna, uczynna i chętnie każdej pomagała w lekcjach. Zawsze pogodna, uśmiechnięta, czasem nawet wesoła.

Była również pierwszą uczennicą w szkole. Świadectwa

otrzymywała z nagrodą. Miała wybitne zdolności literackie. Każde jej wypracowanie było pisane rzeczowo i ujęte ładnym i pogodnym stylem. Widać było, że do każdego wypracowania wkładała dużo serca.

Pisała również pamiętnik przeżyć harcerskich. Jak już zaznaczyłam, była wzorem harcerki. Bo zawsze uśmiechnięta i chętna do każdej pracy. Na obozie pracowała na równi ze wszystkimi, czy to była praca na terenie obozu, czy w kuchni. Była sprawiedliwa i bezwzględna. Poza harcerstwem należała do PCK, pełniąc tam funkcję skarbniczki, i do TPŻ (Tow. Przyjaciół Żołnierza).

Barbara Chmielecka

È

Bardzo długo byłam przy grobie Janki. Jest na nim dużo kwiatów, i takie śliczne, różowe. Wiesz, Tereso, tak mi strasznie Jej brakuje, ja Ją tak bardzo kochałam. Nie wiem, czy to zrozumiesz, Tereso, bo nie wiesz, czym Ona była dla mnie. Nigdy Jej nie zapomnę.

H. W.

(Fragment listu z dnia 20 VIII 1948 r.)

È

Na biurku postawiłam sobie fotografię Joasi i gdy mi się nie chce czegoś zrobić, to myślę sobie: zrób to dla Janki. Janka by na pewno to zrobiła. Takie to dziecinne, ale cóż zrobić, kiedy taka jestem jeszcze dziecinna.

Z.

(Wyjętek z listu z dnia 24 XI 1948 r.)

ROZDZIAŁ III

W OCZACH HARCERSTWA

*Tam na górze mówią: praca wychowawcza,
 idee przewodnie, służba...
 a tu na dole chcą się bawić i mieć luz.
 Kto byłby zdolny
 jednocześnie, i to całym sobą
 być tam i tu...?
 Stwórca jednak ma poczucie humoru
 i lubi robić psikusy.
 Więc... CZUWAJ!*

*Jakaż moc pokorna
 bije z Twego szarego mundurka
 i z Twej niebieskiej chusty
 – potem były już tylko czerwone –
 One sięgnęły dna...
 Jaka cicha i świetlista
 otwiera się przestrzeń i zaprasza,
 gdy biorę do ręki
 Twój mszałik niedzielny, Druhno...
 Ite, missa est.*

OŚWIADCZENIE

Kiedy wspomina się Joannę, widzi się jasny, pogodny typ dziewczyny o niebywalej dobroci.

Joanna to wielkie ukochanie człowieka, to wielka wiara w człowieka i jego dobroć, to wielka służba dla innych.

Joanna to wyczucie i zrozumienie ideałów harcerskich.

J. Krukowska hm.

Okr. Instruk. Harc. – Kuratorium O.S.W.

9 IX 1948 r.

JOANNA

Joannę poznałam na obozie w Olbertynie w lipcu 1947 r.; miała wtedy 12 lat.

Jak się to stało, że Joanna pojechała z nami na obóz? Stało się to tak po prostu: nasza instruktorka mazowiecka, Halina Soporek, kończąca swoje studia w Łodzi, prosiła, aby na obóz przyjąć córkę jej znajomych, pp. Skwarczyńskich. Matka dziewczynki ciężko chorowała, leży w szpitalu. Ponieważ tak się układa, że obozy szkoleniowe mazowieckie odbywają się kolejno w lipcu i sierpniu w zdrowej okolicy – Olbertyn koło Kłodzka, Dolny Śląsk – dziewczynka będzie przez dwa miesiące w dobrym otoczeniu. Jest to harcerka, dziewczynka miła, inteligentna, zdolna, entuzjastka harcerstwa, co prawda nie ma jeszcze skończonych 16 lat⁶⁹, ale

⁶⁹Na kurs przyjmowano dziewczęta od 16 lat.

jedzie w charakterze uczestniczki obozu drużynowych i nie będzie z nią żadnych kłopotów. Zgodziłam się.

Pierwsze moje zetknięcie z Joanną nastąpiło w drodze na obóz. Zwróciła od razu na siebie uwagę tym, że była jakaś inna niż reszta dziewcząt. I od tego pierwszego spotkania pozostał we mnie jej obraz, nawet teraz widzę Joannę jak żywą i jest ona symbolem harcerki entuzjastki-rewolucjonistki, która ani przez moment nie siedziała beczynn timer, lecz wciąż działała i każdą chwilę swego życia zmieniała swoje własne życie i swego otoczenia na lepsze i wartościowsze. Pogodna, jasna buzia i wielkie, jakże głębokie, dobre, serdeczne oczy. Miła zewnątrznie postać. Joanna była naprawdę jakaś inna niż wszystkie dziewczęta-rówieśniczki. Spokojna, skupiona, ale pogodna i żywa, nawet energiczna, pełna blasku wewnętrznego, niosąca z sobą radość. Był w niej majestat jakiś, a jednocześnie wielka prostota; miała tę łatwość współżycia z ludźmi, że od pierwszego zetknięcia czuło się w niej przyjaciela. Taka Joanna pojechała na obóz drużynowych i znalazła się w otoczeniu dziewcząt w wieku od 16 lat wzwyż.

W pierwszym tygodniu życia obozowego, w okresie „ciężkiej” pionierki obozowej (upały były wielkie – zespół drużynowych wyjątkowo trudny), Joannę widziałam w każdej robocie niestrudzoną, radosną, szczęśliwą, promieniejącą swym zapalem i ochotą dokoła, zachęcającą te utrudzone i zmęczone drużny do intensywnej pracy. I kiedy w upalne wieczory oglądałyśmy wyniki naszych codziennych wysiłków, wszędzie witały nas głębokie, promienne, szczęśliwe oczy Joanny, bo obóz powstawał wspaniały. I wtedy też powstała nazwa „Ślipek”. W tym też czasie przy robieniu wykazów uczestniczek wykrył się prawdziwy wiek Joanny. Miała 12 lat.

Wyniki jej pracy z pierwszego etapu życia obozowego były niejednokrotnie lepsze niż u 16- i 17-letnich drużynowych. (Muszę nadmienić, że Joanna była fizycznie dobrze rozwinięta i wyglądała na dziewczynkę 16-letnią.)

Miałam obawy, jak Ślipek będzie się czuł w następnych

okresach naszej pracy. Nasze obozy miały za cel przygotowywanie drużynowych do pracy w ich drużynach oraz służbę Ziemiom Zachodnim i poznanie tych ziem oraz warunków życia ludności na nich. Ślipek w całej tej pracy brał czynny i żywy udział.

Interesowały ją wszystkie zagadnienia metodyczne i ideologiczne. Pamiętam długie wieczorne gawędy przy ogniskach, dyskusje ciągnące się długo...

Ślipek chłonał to wszystko w sposób wprost niesamowity. Mówiło się o realizacji prawa harcerskiego w życiu na tle tegoż życia, na tle tego, co się w Polsce dzieje – o reformach społeczno-politycznych, o postępie społecznym, o naszym udziale w wielkim dziele budowania Polski i polskich Z.Z.⁷⁰

Widzę Ślipka, który, choć nie zabierał głosu w tych publicznych dyskusjach (było nas 60), te wszystkie sprawy przeżywał bardzo głęboko i dyskusje rozpoczynał w Zastępie.

Była to dziewczynka bezwzględnie postępową, realizowała swą ideę całym życiem, swym postępowaniem, swym stosunkiem do ludzi. Porywało ją, wprost pasjonowało zagadnienie służby harcerskiej. Już na obozie pilnowała służby swej drużyny i przemyśliwała, jak zachęci do niej dziewczęta i jak poprzez nią pokaże im udział w budowaniu Nowej Polski Ludowej.

Uważam Joannę za wzór do naśladowania, wzór harcerki-entuzjastki budującej nowy, lepszy świat!

Maria Gajewska
Komendantka Chorągwi Mazowieckiej Harcerek

Warszawa, 10 IX 1948 r.

⁷⁰*Ziemiach Zachodnich.*

PIERWSZE KROKI

Mglisty jesienny poranek 1946 r., tuż po rozpoczęciu roku szkolnego. Wolno wloką się godziny szkolne w jednostajnej pracowitej ciszy, od przerwy do przerwy, od przerwy do przerwy. Gdzieś, przy tablicy, jednostajny głos profesora usiłuje nam wytłumaczyć niezbadane tajniki trygonometrii, a ja siedząc w ostatniej ławce, daleka jestem od żywego, przykładowego „brania udziału w lekcji”. Myślę o moim zastępie organizacyjnym, o mojej przyszłej, dębowej „Małej piętnastce”, układam plan pracy, widzę daleką kwitnącą przyszłość drużyny jeszcze nie stworzonej.

Więc – zapisy skończone i – już bez żadnych wyjątków, nikogo przyjmować na razie nie będę, bo z większą ilością dziewcząt naprawdę nic się nie da zrobić. Na razie przynajmniej dość – postanawiam – mając zamiar z całą konsekwencją przestrzegać tej zasady.

Lekcja skończona. Jestem na górze u moich dziewcząt: „Druhna przyszła, druhna przyszła” – małe postacie otaczają mnie dokoła, zasypują najświeższymi wiadomościami ze szkoły, pytają o najbliższe zbiórki i... o przyjmowanie nowych kandydatek do naszego zastępu organizacyjnego.

Tak przykro mi odmawiać. Tak bardzo chciałabym mieć u siebie te wszystkie małe dziewczynki, pełne zapału i dobrych chęci, tak garnące się do pracy harcerskiej. Ale nie. Muszę być konsekwentna. I – skoro postanowiłam... więc odmawiam, choć naprawdę mi żal.

Wtedy właśnie przede mną zjawia się Janusia. Wysoka jak na swój wiek, o ślicznej, delikatnej buzi i ciemnych, poważnie patrzących oczach. Dziewczynka budzi od razu sympatię i zaufanie. Jest w niej coś niesłychanie prostego i jasnego, coś co nadaje jej promiennej twarzyczce wyraz dziwnej powagi i dojrzałości.

Janusia prosi. Ale nie tak jak inne. To, co mówi, brzmi jakoś poważniej, dojrzałej, solidniej. Od razu czuje się, że to 11-letnie dziecko naprawdę myśli, że jego słowa są właśnie przemyślane. –

Słucham. Patrzę. Obserwuję, zastanawiam się. Nie, nie chcę robić wyjątków. A jednak wiem na pewno, że właśnie ona, mała Janusia Skwarczyńska, powinna być przyjęta mimo wszystko. I zgadzam się – mimo skrupułów – na ten jedyny wyjątek.

Tak w szare jesienne południe szkolne rozpoczęła się nasza znajomość i przyjaźń głęboka, o której się nie mówiło, mało uzewnętrzniana, a jednak silna, którą czuła mocno każda z nas, która pomogła nam przetrwać niejedną ciężką chwilę. Myli się ten, kto przypuszcza, że praca harcerek jest nieskończonym pasmem radości i pogody, przyjemnych wycieczek i wesołych ognisk. Praca harcerska prócz tej zewnętrznej strony ma jeszcze inną, daleko głębszą treść, mniej widoczną, szarą i jakże nieraz ciężką do spełnienia – służbę wśród ludzi. Gdzieś tam trzeba komuś coś pomóc, ktoś zrobił nam przykrość, ale trzeba mu wybaczyć, ktoś jest smutny – trzeba go rozweselić. Nadto i przede wszystkim trzeba swoją pracę nastawić na konkretny cel: służbę Polsce przez czujność społeczną. Jakże to mało efektowne. Jak trudne do spełnienia. Trzeba być tu zawsze na baczności, zawsze i nieodmiennie oczy i uszy mieć otwarte, zawsze czuwać.

Właśnie w tej zwykłej szarej pracy, w codziennej harcerskiej służbie, tak pełnej samozaparcia, wymagającej niejednego jakże trudnego zwycięstwa nad samym sobą, poznałam naprawdę małą Janeczkę. Zawsze pogodna, zawsze serdeczna i troskliwa o koleżanki, potem o własny zastęp „Mrówek”, o najmłodszy, a jednak najlepszy w drużynie. Nigdy nie dbała o siebie, o swą wygodę, potrafiła zapomnieć o sobie w służbie dla innych.

Ileż to razy gniewałam się na nią za nadmiar pracy, który brała na swoje wątłe barki, tak że niejedną wieczór, niejedną noc prawie nad nią przesiedziała. Ale ona z tym swoim słodkim uśmiechem tłumaczyła mi tylko, że to przecież nic, to głupstwo, że ona jest silna... (choć wcale znów taka nie była). Uprzejma i opanowana, nigdy nie skarżąca się i nie chwalać, pracowita, mała „Mrówka”, „Konar pogodny”, jak nazwałyśmy ją w drużynie.

Pamiętam, jak nieraz potrafiła bez obiadu siedzieć w szkole do 7, 8 wieczorem, bo miała zbiórkę swego zastępu, a nie zdążyła pojechać do domu zjeść obiad, lub jak w słotne jesienne popołudnie

biegała po parku w lekkim mundurku, przygotowując tropy dla swoich dziewcząt. „Myślałam, że będzie ciepło i ubrałam się tak lekko” – tłumaczyła, gdy gniewałam się na nią z tego powodu. Ale niech no któreś z jej „dzieci” przyszło bez palta na zbiórkę, zaraz wędrowało po nie z powrotem do domu, „bo się przeziębisz”.

Taka była Janusia jako zastępowa. Przy tym wesoła, szalała za swoimi dziewczętami, a zbiórki jej nie miały nigdy tego sztywnego charakteru, jaki niejednokrotnie miały zbiórki początkujących zastępowych. Zbiórki u niej to było i wdrożenie w twardą służbę społeczną, i wspaniałe gry, roześmiane chwile, kiedy dziewczęta uczyły się i bawiły jednocześnie. Małe „Mrówki” uwielbiały swoją dużą „Mrówkę” – zastępową. Ale Janusia nigdy nie była z siebie zadowolona. Pamiętam, jak nieraz, gdy wychodziłam od niej po wizytacji, Janeczka w ciemny mrok ulicy wynosiła tysiące wątpliwości i skrupułów dotyczących jej własnej pracy i postawy. Chciała, aby jej zastęp był co najmniej doskonały, i tak bardzo martwiły ją błędy i pomyłki. Długo spacerowałyśmy po zamglonej ulicy, choć nieraz deszcz tylko klaskał o bruk wśród wieczornej ciszy, kiedy ludzie dawno już siedzieli w zacisznych mieszkaniach w cieple domowego ogniska, a my roztrząsałyśmy różne sytuacje, „Mrówcze” konflikty, usiłując znaleźć z nich wyjście, [i to] „tak naprawdę po harcersku”.

Pamiętam – było to przed przyrzeczeniem. Nie chciałam, aby ten moment, tak bardzo ważny w życiu dziewcząt, nie pozostawił w nich śladu. Chciałam, aby naprawdę stały się lepsze teraz, gdy będą miały krzyż, gdy będą prawdziwymi harcerkami. Dlatego starałam się porozmawiać z każdą z nich, zwrócić jej uwagę na jakąś wadę zasadniczą.

Zapada letni mrok. Ulice Łodzi powlekają się błękitnawym zmierzchem. Z pobliskiego parku sączy się woń akacji. Gdzieś w dali gwizdże pociąg, a przez jakieś otwarte okno dolatują dźwięki Nokturnu Chopina. Mówię, dobieram słów, wiem, że zapadną one głęboko w te młode serca, że poruszają je do dna. Niewiele, do każdej zaledwie parę słów. Janusia jest ostatnia, z którą rozmawiam. Znajduję dla niej tylko kilka wyrazów: „Bądź taką, jaką jesteś”.

A potem przyrzeczenie.

Cichy szum drzew w naszej ukochanej „Dąbrowie”... i jeszcze cichszy szmer słów z trudem wydobywających się ze ściśniętego wzruszeniem gardła: „Mam szczerą wolę...”

„Pozostań taką, jaką jesteś” – szepcę, gdy hufcowa przypina Janusi krzyż. „Pozostań taką, jaką jesteś” – cichutko szeleszczą liście drzew.

Rok naszej wspólnej pracy. Rok naszych wspólnych trosk i kłopotów. Rok naszej przyjaźni. Nie mówi się o niej. Po co? Skoro przecież ona istnieje, skoro czujemy ją tak głęboko, skoro wiemy, że zawsze możemy na nią liczyć.

I oto znów dżdżysta jesień. Tylko że teraz nie siedzę już w szkole i nie myślę o programie pracy na ten rok. Ktoś inny obejmie naszą drużynę, ktoś inny poprowadzi moje dziewczęta.

Jak to będzie? I czy aby dobrze? Tak bardzo, bardzo żal... Pośród mglistego jesiennego wieczoru ognisko. Jest wilgotno. Jest chłodno, dziwnie przykro i nieprzytulnie. Wąły odbłask pada na czarne sylwetki drzew, nadając im jakiś niesamowity, upiorny wygląd. Gawęda, potem próbujemy śpiewać, potem nie mówimy już nic, zapatrzone w blask dogasającego ogniska.

Ale przecież jeszcze się zobaczymy i... nie wolno nam płakać, bo przecież teraz praca stoi przed wami, a nowej drużynowej trzeba pomóc. Głowy do góry. „Harcerka jest zawsze pogodna”. Ognisko dogasa. Ostatnie nasze wspólne ognisko. I lży mimo wszystko nie chcą przestawać płynąć.

Długo jeszcze potem rozmawiałam z Janusią, choć już dziewczęta dawno rozeszły się do domu. Nam może najciężej się rozstać. Ulice pustoszeją. Ostatni tramwaj odjedzie za kilka minut. „Janusiu, pamiętaj, polegam na tobie. Do widzenia.” – „Do widzenia, druhno”. Odwracam się. Twarz mam mokrą od łez. „Do widzenia, do widzenia” – z dziwną ironią zdają się dudnić koła nadjeżdżającego tramwaju. „Do widzenia”. Czyż mogłam przewidzieć wtedy, że na zawsze?

*Irena Roślanowska
drużynowa po próbie*

JANECZKA

Siedzę zadumana i smutna – tyle niepowodzeń, tyle przykrości, bywają chwile zniechęcenia, lecz wtedy zjawia się Ona. Ona z oczami dorosłej kobiety i promiennym uśmiechem radosnego dziecka. Jak matka kładzie kojącą dłoń na głowie cierpiącej dzieciны, tak Jej słowa padają kojąco, słowa takie proste, lecz mówiące tak wiele: „Trzeba wytrwać, będzie dobrze” – to mówi Ona, Janka.

Janka to dobra zastępowa, dzielna przyboczna, wzorowa uczennica, i ta najbardziej mi bliska, moja mała przyjaciółeczka, z którą można było porozmawiać na wszystkie tematy.

O sobie Janeczka mówiła bardzo mało, a jeśli mówiła, to tylko o tym, co chciałybyśmy zrobić, aby było lepiej w zastępie, drużynie, w domu i wszędzie, nawet na całym świecie. To była Janka-poważna, Janka-harcerka zapatrzona w ideały harcerskie i pewnie dążąca do celu. Lecz była i inna Janeczka – wesołe i beztroskie dziecko, dziecko niosące uśmiech i radość. Z uśmiechem zaczynała każdą pracę, zawsze pierwsza mówiła, gdy szukałam chętnej do pracy: „Ja to zrobię na pewno!” Skoro „Na pewno” powiedziała moja przyboczna, mogę być spokojna, wszystko będzie zrobione. Ona nie zawiedzie mojego zaufania. Widziałam również Janeczkę w szkole – nigdy nie dokazywała, nie bawiła się z koleżankami. Na to nie miała czasu, ponieważ pomagała słabszym koleżankom, jednej tłumacząc fizykę, drugiej chemię, a jeszcze innej algebrę. Lecz na tym nie kończyła się praca Janki, gdyż Ona była członkinią wielu organizacji szkolnych i wszędzie pracowała tak, jak to tylko Ona potrafiła. Była Ona tą uczennicą, do której zwracały się nauczycielki, gdy trzeba było coś zrobić.

Swą wielką pracowitość pokazała nam Janka podczas przygotowań do obozu. Ile to godzin dziennie przesiedziała ze mną w szkole, topiąc tłuszcze i pakując sprzęt obozowy!

Także na obozie jako obożna była niezastąpiona, dzielnie pomagała mi w każdej pracy. Uważam, że Janka w zupełności zasłużyła na miano „Prawdziwej Harcerki”.

*Teresa Sass
p.o. drużynowa 15 m. Ł.Z.D.H.*

SZAROTKA OBOZU OLBERTYŃSKIEGO

Podsunała mi myśl druhna Halina: „Napiszcie swoje wspomnienie o Joannie”.

Chciałam, ale było mi bardzo trudno. Za bardzo bolała mnie śmierć Joanny, bym mogła się opanować i pisać.

„...Druhno Wandeczko, przecież... to chyba nie ma być poemat”. To nie może być poemat, skoro było nim jej promienne jak wiosenny poranek życie... a to, co dziś możemy o niej powiedzieć, to już echo przebrzmiałej pieśni.

Moja siostra, która była razem z Joanną w jednym zastępie na obozie w Olbertynie, ze łzami w oczach wyciągała ze starych zeszytów jej listy, prostowała pomięte arkusze papieru – na proste, wyraźne pismo kapąły wielkie, ciężkie łzy...

Joanno, jeśli przesiąkną one aż na Twoją uśpioną już skroń, to przyjmij je jako ostatnią pamiątkę – dziś nic Ci już więcej dać nie można.

Joanna. – Jakież wspomnienia mogę pisać o niej? Cóż mogę opowiadać, gdy dni przebyte z nią razem przesłania mi jej uśmiech, pachnący zda się jak wiosna, [przesłaniają] jej wielkie, słodkie, piękne oczy. Z dali dni minionych dobiega jeszcze głos jej radosny.

– Druhno Wandziu! Druhno Wandeczko! – Jestem, co się stało, Joanno?

– Druhno Wandziu, proszę spojrzeć, jak nam się te góry cudnie udały, a tu zrobimy jeszcze strumień. Ale jak?... Aha, już wiem...

Joanna ma pomysł, jak zawsze.

A dlaczego góry i w ogóle jak to jest z tym wszystkim? – Więc opowiem od początku.

Właściwie to był przypadek, że przyjechałam na Dolny Śląsk do Olbertyna na obóz kierowniczek pracy harcerskiej; no, ale przyjechałam i zostałam tam zastępową jednego z zastępów.

Drużyna miała godło „Opole”, a w niej był zastęp „Góry” – właśnie moje „Góry”. – I w tym właśnie zastępie znalazł się nasz mały, kochany gość, Joanna Skwarczyńska z Chorągwi Łódzkiej. Przywiozła ją ze sobą drużna Halina – komendantka tegoż obozu.

Z miejsca urzekły mnie promienne oczy Joanny i jej uśmiech.

„Góry” – mój kochany zastęp. Była tam Zosia jedna i druga, Halusia, Bogda, starałam się być zawsze sprawiedliwa i równa, ale przecież... Joanna. I oto pierwsza zbiórka „Gór”. Cały dzień była pionierka i dziewczęta są porządnie zmęczone.

– No więc co zostało dzisiaj zrobione, a co jeszcze musimy wykończyć jutro?

Mała Ewa robi złą minkę.

– Jeśli jutro będzie taka harówka, to ja jadę do domu.

– Ewa, wstydz się.

I dalszy ciąg zbiórki.

– No więc, czy umywalnia już skończona?

– Tak, umywalnia skończona, ale nic więcej nie zdążyliśmy zrobić.

– Hm. To bardzo niedobrze. Czy wiecie, że inne zastępy już skończyły wszystko to, co miały przeznaczone na dzień dzisiejszy?

– No, bo one...

– Nie tłumaczcie się. Niestety, słyszałam jak wyglądała wasza robota.

I zbiórka jakoś się nie klei. W krąg nasz zakradł się zły duch niezadowolenia i psuje wszystko.

– Słuchajcie, „Góry”, mam wrażenie, że z miejsca złe godło wybrałyśmy sobie. Od pierwszej chwili zaczynamy marsz w dół. Słuchajcie, „Góry”, tak być nie może. Zostaniemy w tyle za wszystkimi. – I wtedy z kręgu podnosi się Joanna.

– Drużno zastępowo, to był tylko pierwszy dzień, my byłyśmy zmęczone i trochę... Słuchajcie! Ani drużna komendantka, ani zastępowa, ani my same nie możemy się zawieść na sobie. Musimy być „Górami” naprawdę – i będziemy. Słuchajcie, tylko trochę

chcieć – przecież potrafimy.

Głos Joanny umie być dziwnie silny, umie brzmieć jak nakaz, nie można mu się oprzeć. W kręgu zbiórki rodzą się uśmiechy.

– Potrafimy, i dlatego musimy się wziąć za siebie.

– Weźmiemy się.

A przecież i Joanna była zmęczona na tej zbiórce tak samo jak wszystkie inne, a może jeszcze bardziej, była wszak najmłodsza. Nie było tak łatwo od razu się wziąć. Często jeszcze zły duch powracał, zawsze jednak musiał uciekać. Nie było dla niego miejsca w kręgu jasnego spojrzenia małej Joanny.

Na drugi dzień wieczorem miała być inspekcja, sprawdzenie wszystkich prac pionierskich i porządku na terenie obozu.

Rano „Góry” na gwałt wykańczają roboty. Złapawszy wolną chwilę biegnę zobaczyć, jak to wszystko idzie. W skończonej wczoraj umywalni słyszeć stuk. Zaglądam. W mroku namiotu widzę Joannę.

– Joanno!

– To nic, druhno! Ja tylko kołek wbijam, bo się rano przewrócił. One są trochę słabo wbite.

Mała Joanna i duże, wysokie, ciężkie kołki sosnowe.

– Joanno, to jest za ciężkie.

– Wcale nie... wszystkie dziewczęta są przecież zajęte.

– Nie, Joanno, to nie dla ciebie robota, zawołaj Ewę. – Rzeczywiście całą umywalnię trzeba było gruntownie poprawiać i Joanna nie zawahała się zabrać sama do tej roboty, skoro wiedziała, że wszystkie inne są zajęte, a źle zrobiona umywalnia byłaby wielkim wstydem dla „Gór”.

Potem, gdy już „Góry” nieustannie szły tylko w górę, gdy nie zostawały ani w pracy, ani w ćwiczeniach w tyle za innymi zastępami, nikt poza nami samymi nie wiedział, ile w tym było zasługi czujnego ducha Joanny.

Poranna pobudka. Służbowa budzi zastępy. Trzeba wstać, zawinąć się w koc i biec na modlitwę. – Który zastęp pierwszy w

komplecie?

Musimy my, „Góry”, ale „Góry” są śpiochy, więc kiedy Joanna się zrywa, większość zastępu jeszcze się nie rusza.

– Hallo! Dziewczynki! Pobudka!

I cisza.

– Pobudka!

Małe rączki Joanny nieraz musiały ściągać rozespiane druhny z prycz.

– Szybko!

Gdy zastęp stoi już przed kapliczką, Joanna wybiega z namiotu ostatnia, musi dopilnować, żeby wszystkie zdążyły. Ona sama nigdy się nie spóźnia. Podobna sprawa była ze stawieniem się na poranny apel. Już czas, a tu Zosia ma jeszcze nie zawiązany krawat. Bogdzie zerwało się sznurowadło od buta, Halina nie może znaleźć furażerki.

Joanna szybko poprawia jeszcze koce na pryczach, sprawdza, czy inspekcja nie znajdzie czegoś rzuconego nie na swoim miejscu i nie zrobi po apelu wstydu „Górom”, sama jest już gotowa, więc pomaga jeszcze zawiązać krawat Zosi, daje Bogdzie swoje zapasowe sznurowadło, znajduje Halinie furażerkę.

– No, już chodźmy, dziewczynki!

Taka to była nasza Joanna.

A potem, gdy w ciągu dnia szliśmy w teren na wywiad lub na ćwiczenia, tak zawsze już było, że najbardziej przejęta była Joanna i właśnie Joanna. Najlepiej zawsze wywiązywała się z zadania. Wracła z rumieńcami na twarzy, wyciągała z kieszeni ankietę albo jakąś pisaną szyfrem depeszę...

– Druhno, było cudownie!

Czasem, gdy zastęp wracając z jakiegoś wypadu położył się w cieniu drzew, nad strumieniem, i dziewczęta zdawały sprawozdanie ze swych ćwiczeń, a przyszła kolej na Joannę – doznawałyśmy wszystkie wrażenia, że gaśniemy przy niej, przy tym wielkim płomieniu, jaki ona umiała rozpalić w swej duszy.

A potem, kiedy zastęp zaczynał śpiewać i Joanna obrócona patrzyła na góry zielone i złote od słońca – oczekiwałyśmy z lękiem, czy nie rozplynie się wreszcie w blasku i nie odejdzie gdzieś tam, skąd tak przypadkowo zabłądziła do nas.

A Joanna była prosta, ujmująco miła, pogodna i wesoła, była nigdy nie strudzona, pełna zapału i pomysłów, pełna wewnętrznego jakiegoś światła i energii, która promieniowała na nas. Nie zapomnę nigdy tych dni, kiedy nasz zastęp miał służbę w kuchni. Kiedy druhna Marysia-intendentka wtajemniczała już Ewę w swój plan co do dzisiejszego obiadu – „Góry” stawały do dzieła, a w pierwszym szeregu oczywiście mała Joanna, w fartuszkach i białej chusteczce na głowie, z wielką warząchwią, albo jeszcze większym nożem do obierania kartofli.

Przez cały czas roboty mała Joanna – czerwona od ognia i gorąca – była wszędzie: przy wielkich kotłach, w których jak na złość kartofle nie chciały się ugotować, a zupa była za gęsta, przy ogniu, który się nie chciał palić, przy powidłach, które nie były słodkie – wszędzie mała Joanna. A kiedy wreszcie wszystko już było gotowe na czas – mała Joanna z uśmiechem podawała przy stole.

– No i co, zdążyliście dzisiaj, pomimo że tak późno dostałyście prowiant? Joanna mówi prosto:

– Zdążyliśmy. – Każdy już i tak wie, że „Góry” pracowały za trzech za przykładem swojej Joanny.

Zresztą przykład Joanny był zawsze i na każdym kroku. Ze służbą w kuchni to było tak: połowa zastępu gotowała śniadanie i kolację, a połowa obiad. I zawsze były kwestie z tym, kto będzie jutro gotował śniadanie. Dziewczętom nie chciało się raniutko wstawać, ziębnąć przy rozpalaniu kuchni, a potem jeszcze wieczorem sprzątać ją starannie dla przekazania następnemu zastępowi.

– Słuchajcie, ja wolę gotować obiad.

– I ja też.

– I ja!

Wreszcie ciągnęłyśmy losy. Jedna Joanna nie uchylała się nigdy od ранnego wstania i wieczornego sprząwania. A nawet jeśli wypadło jej gotowanie obiadu, to mówiła:

– Dziewczynki, ja mogę za którąś wstać rano do śniadania. Robiło się cicho, nie zgłaszała się żadna, a potem nagle mówiła któraś:

– Ja też mogę rano wstać.

– No to i ja – zresztą, cóż to strasznego.

– Nie, nie potrzeba! My już wstaniemy same i zrobimy wszystko.– I sprawa była załatwiona. Joanna zawsze, może nieświadomie nawet dla samej siebie, podciągała zastęp wyżej i coraz wyżej.

Wieczorem, po wszystkich pracach, ćwiczeniach, grach i ogniskach, gdy nad szare namioty schodziła cisza lasu, a w górach zapalały się roje srebrnych gwiazd – pierwsza na warcie zostawała Joanna. Była najmłodsza, więc starałyśmy się ją oszczędzać. Niestety ona nie oszczędzała się wcale. Ileż to razy było tak, że gdy Halina się bała, albo Bogda była za bardzo rozespana – Joanna zostawała na drugie dwie godziny nocnej służby; było jej żal dziewcząt, jej, małej Joannie o złotym serduszk i wielkiej wytrzymałości. „Góry” się potem wstydziły tak bardzo, gdy następnego dnia Joanna chodziła z powiekami opadającymi na oczy. „Góry” jednak kochały bardzo swoją najmniejszą „Górkę” i potem na następną noc nie pozwalały Joannie trzymać warty.

Stoi mi w oczach jak żywa wówczas, gdy ratowała przed deszczem nas, ogień, symbol naszej pracy i trudnych zamierzeń. Żarzące się węgle parzyły jej paluszki, dym gryzł w oczy, ale Joanna uratowała ogień i przechowała go przez całą burzę w namiocie, dopóki nie zaświeciło znowu słońce.

Dni płynęły jedne za drugimi. Zwolna w obozowym życiu potonęły nasze imiona. Każdy członek „Opola” otrzymał totem.

– Jak nazwać naszą Joannę? – powstało pewnego wieczoru pytanie wśród „Gór”. Niedługo żeśmy się namyslały: Szarotka. Ten

górski, rzadki, niespotykany, a przecież taki prosty, szary, maleńki kwiatek, ozdoba i skarb gór, którego jednak trzeba szukać w samym ich sercu.

I została Joanna Szarotką.

Ktoś kiedyś powiedział w rozmowie o Joannie:

– Zbyt piękną ma duszę, by mogła długo żyć. Tak, jej dusza, jej zdolności, inteligencja, jej głębokie, piękne wartości były za wysokim tonem dla naszych uszu przyzwyczajonych do dźwięków twardych, nieskomplikowanych, prymitywnych.

Chyba Bóg chciał zachować ją dla siebie – jak piękną pieśń, której ludzie by nie zrozumieli.

Przez długi czas tylko nie wiedziałyśmy w „Opolu” jeszcze jednego, a mianowicie, że Joanna jest zapowiadającą się sławą sceny. Odkrycie to było dla nas jeszcze jednym zachwytem, uczyniłyśmy je w sposób bardzo prosty.

Miało być ognisko – „Z pieśnią przez świat”. Wędrowkę zaczynamy oczywiście od Polski. Jesteśmy w starym Krakowie i tu przypomina się nam odwieczna legenda o pięknej Wandzie, córce Kraka, co nie chciała Niemca. Legendę odegrałyśmy całą. Rolę Wandy otrzymała Joanna. Grała ją z głębokim wczuciem i przejęciem, grała naturalnie, prosto, prawdziwie. Nie jestem znawcą sztuki ani fachowcem w ocenianiu gry artystów – grę Joanny na deskach prawdziwego teatru ocenili poważniejsi recenzenci – ja wiem tylko, że byłam wzruszona do głębi, gdy Joanna w białej sukni i w koronie na głowie, z oczami pełnymi prawdziwych łez modliła się: „...Boże, oświeć mnie i dopomóż, dodaj sił, bym wytrwała w tym, czego pragnę...”

O tym, jakie wrażenie gra Joanny wywarła na widzach, niech świadczą łzy moje i tych, którzy obok mnie siedzieli, w momencie, gdy Wanda decyduje się na śmierć.

Po burzliwej scenie z niemieckim władzą, który ją prosi o rękę i której mu ona odmawia, Wanda widzi, że musi szukać sposobu, by

bronić kraj przed germańską zemstą. Jest niewiastą i nie umie władać bronią – więc co ma czynić? Jest młoda, tak bardzo chce żyć, a jednak musi – i decyduje się na śmierć, która usunie powód wojny.

Joanna już nie gra, całą duszą przeżywa tragedię młodej władczyni. Uśmiechem kryje drżenie ust mówiąc: „Wisły woda jest czysta i srebrna. Na dno będą zaglądać promienie słońca i gwiazd, a szum wody ukołysze mnie do snu bajką o szczęśliwej ziemi, bajką o spokoju i ciszy...”

Potem tę samą legendę o Wandzie grała Joanna w Gardnie na dzień przed utonięciem.

„...Nie lękajcie się o mnie, drogie...”

Rzeczywiście woda Gardna jest srebrna i czysta, a szum trzcin przybrzeżnych umie opowiadać bajki... Najpiękniejszą z nich Tobie opowie, Joanno.

W Gardnie wszyscy nazywali Joannę „Królową Wandą” i w pamięci tych, które ocalały, zostanie nią prawdopodobnie na zawsze – małą królowną Wandą, która też tak samo utonęła, jak tamta legendarna. Tamta ocaliła swój kraj przed wrogiem, a ta może ocaliła „...piękno kwiatu przed doskonałością owocu...”

Ja widziałam Joannę ostatni raz, gdy wyjeżdżałam z Olbertyna na zlot do Karłowic.

Była to już noc. Obóz spał. Przyszłam ostatni raz do namiotu moich „Gór”. Nie spały. – To było już pożegnanie. Uściskałyśmy się z Joanną.

– Druhno Wandziu! Zobaczymy się na pewno niedługo znowu na jakimś obozie! Proszę nie zapominać o małej Szarotce!

Nie wiem, kiedy się zobaczymy teraz, Joanno. Ale nie zapomnę o Tobie nigdy, nigdy – mała świetlana harcerka, niespotykany, cudny kwiecie szarotki.

*Wanda Mlonek
drużynowa po próbie, zastępowa obozu
kierowniczek Pracy Harcerskiej – Olbertyn*

„NASZ ŚLIPEK”

Gdy myślę o Joannie, widzę ogromne, czarne oczy rozświetlające dziwnym blaskiem całą drobną postać. Oczy te miały wielką wymowę, może też dlatego dziewczęta nie mówiły inaczej o Joannie jak „Nasz Ślipek”.

Joanna – drobna, szczupła dziewczynka – była wszędzie. Zawsze chętna, uczynna, koleżeńska, i przy tym taka promienna i pogodna. Nikt nigdy nie widział Jej zmęczonej lub zniechęconej. Nie unosiła się nigdy. Zawsze dla wszystkich miała uprzejmy uśmiech i dobre spojrzenie czarnych oczu.

Joanna uczyła nas wszystkich karności i opanowania. Gdy w czasie wędrowki spotykamy ciocię Joanny, Ślipek nie wybiega z szeregu, by rzucić się jej na szyję – mimo że się bardzo kochały – lecz cierpliwie czeka w szeregu na postój i wtedy dopiero podchodzi do komendantki pytając, czy może się przywitać z ciocią.

Gdy do czegokolwiek potrzebne były ochotniczki, Joanna była najpierwszą z nich, bez względu na to, czy robota była przyjemna, czy nie. Gdy drużyna wybiera się na Śnieżnik, musi ktoś zostać w obozie, bo mamy jedną chorą. Zostaje Joanna – „Bo, druhno, ktoś musi zostać z Irką, a one wszystkie mają taką chęć iść”.

Joanna zawsze, w każdym momencie swego życia, była harcerką. Nie powierzchownie tylko, lecz w całym tego słowa znaczeniu. Pełniła służbę Polsce. Głęboko inteligentna, mądra dziewczynka oddawała się pracy harcerskiej z całym zapalem. Niczym dla niej były przeciwności, słota czy błoto. Pracowała z ochotą i inne porywała za sobą swoim zapalem.

Dla Joanny praca harcerska była największą radością i szczęściem.

J. Szulcówna
Członek Referatu Kształcenia Drużynowych
przy Kom. Chor. Mazow. Harcerskiej

„TAM ZACIĄGNIEMY STRAŻE DZIŚ”

Cisza. Zapada mrok. Noc czernią przykrywa powoli świat, zostawiając nam żal po promiennym blasku słońca. Czyjeś oczy wpatrują się w nieznana, ciemną dal. Ludzie chodzą cisi, trochę pochyleni – przygniata ich brzemień smutku. – O czym myślę? Wspominam odległe czasy – odległe, a jednak bliskie.

Olbertyn – obóz drużynowych – namioty – leśna polana – szereg szarych harcerek, a wśród nich – Ty, Joasiu.

Jasna, promienna Twoja postać utkwiała mi na zawsze w pamięci. Najmłodsza uczestniczka obozu „Ziemii Śląskiej”, dziecko jego niemal, stanęła do służby z radosnym, weselnym oddaniem. Uśmiech, jaki opromieniał twarz Joanny wtedy właśnie, gdy najwięcej pracowała, przyciągał z niewypowiedzianą siłą. Radość gościła na twarzy, choć w głębi ciemnozielonych oczu czaiła się dziwna powaga. Tragizm życia zda się nie był tajemnicą dla dwunastoletniego dziecka. Joasia była umysłowo osobą dorosłą, rozwiniętą ze wszech miar. Pracować chciała wkładając w czyn całą swą duszę, przygotowana do goryczy, lecz czyż dla Kraju nie warto żyć...

Jasną wstęgą szosy maszeruje zastęp „Mrówek”. Joasia niesie wielki pędzel, Hala kubeł z farbą. Co będą robić? Mają dziś ważne zadanie przed sobą. W całej wsi mają być zamalowane niemieckie napisy, które tak rażą oczy Polaka. Są przejęte, ale to bynajmniej nie pozbawia ich dobrego humoru. Piosenka, nieodstępna towarzysza życia harcerskiego, idzie z nimi wszędzie, i teraz też rozlega się radosny śpiew:

„Gdzie Krzywousty wodził
W topory zbrojny huf,
Gdzie Piastowicze młodzi
Pędzili w las na łów,

Tam, gdzie na Niemce wraże
Szedł Chrobry ze swych czat
Tam zaciągniemy strażę dziś
Dziedzice dawnych lat”
– my, młodzież harcerska.

Zastęp „Mrówek” wkracza do wsi na teren swego działania. Joasia z radosną powagą ujmuje pędzel i zabiera się do czynu. Po kilku godzinach znikły wszystkie możliwe sięgnięcia napisy. Został jeden umieszczony dość wysoko. Lecz od czegoż pomysłowość! Dziecko obozu nie zna niedosiętych rzeczy. Hala bierze na barana najmłodszą Joasię – napis znika. „Mrówki” wracają zadowolone do obozu. – Służba została wypełniona.

A wieczorem...

Płonie ognisko – szumią knieje. Wokół naszego obozu rozpalają się bratnie watry. Siedząc w kręgu czujemy, że jest nas wiele i jesteśmy silne bratnią mocą. Lecą w górę złociste skry z ogniska i odbijają się w błyszczących oczach Joasi, która właśnie składa sprawozdanie z dnia zastępu. Wcale nie jest onieśmiewiona, czuje się odpowiedzialną za „Mrówki”, z dziwną powagą odpowiada na zapytanie drużynowej. Blask ognia oświeśla jej małą twarzyczkę – skupioną, wcale nie dziecinną, pełną jednak uroku młodości, subtelnego piękna i wdzięku. Czarne włosięta opadają na zarumienione liczko, oczy błyszczą. Joasia uśmiecha się radośnie, otrzymawszy zasłużoną pochwałę.

Zastęp III drużyny „Las” spisał się dziś najlepiej. Najmłodsza harcerka dała przykład. Zawsze chętna, zawsze czynna, wszędzie pierwsza. Do pracy – o, do niej nie trzeba Joasi zachęcać, o nic się nie da długo prosić.

Jak to zrobić, głowiły się „Mrówki” nad przedstawieniem o planie trzyletnim wzrostu produkcji lokomotyw – i tu wybija się żywa wyobraźnia i pomysłowość Joasi. Medytuje chwilę – w głowie dojrzewa pomysł. „Już wiem” – woła. I rzeczywiście cały zastęp przyznaje rację, aprobuje projekt. Biorą się raźnie do pracy. Joasia jak zwykle przoduje. Pracowita, staranna i dokładna – jest nieoceniona. Nie tylko pomysł, ale i realizacja to dzieło Joanny. Odpowiedzialność za zastęp, pragnienie, by właśnie one były pierwsze, każe jej zapomnieć o sobie, a pomyśleć o całości... Tak jest i teraz.

Muszą się spieszyć, mają tylko jeden dzień na przygotowanie. Najpierw rusztowanie z gałęzi – koła, kominy, reflektory zrobione z papieru i misternie przymocowane do koca. Całość włożona na dziewczynkę stojącą na czworakach imituje wspaniałe lokomotywę. A jak to wyglądało wieczorem! W 1938 r. Polska produkowała tyle lokomotyw, a w 1947 tyle – brzmia słowa konferansjerki, a wokół ogniska przesuwały się zaimprovizowane lokomotywy.

Dzień. Głucho dudnią krople deszczu po brezentowym dachu namiotu. „Źródła” skończyły zbiórkę zastępu i zaczynają figlować. Do namiotu wbiega Joasia.

– Nagle ni stąd ni zowąd strzelił nam do głowy pomysł – zaimprovizujemy taniec Indian dokoła pała z bladą twarzą. Słowo stało się ciałem. Gdy następny gość zajrzał do wnętrza namiotu – zwabiony niesamowitym wrzaskiem – stanął jak wryty. Do masztu przywiązana pasami blada twarz – Joasia, a wokół tańczą dziko trzy tajemnicze postacie z fińskimi nożami w zębach. „Niech się usmaży blada twarz!”. A Joasia jest naprawdę bladą twarzą: nie śmieje się – ma tragiczny wyraz twarzy. „Jak artystka” – mówiłyśmy wtedy, nie wiedząc, że to jest realne określenie.

Stanowczo za prędko mija to co piękne, radosne – po lecie następuje smutek jesieni. Obóz skończył się. Ostatnie ognisko – ostatnia pieśń – nocny marsz na stację – droga. Rytmiczny, przygłuszony stukot kół przypomina nam stale, że oddaliśmy się od miejsca, które złączyło nas mocą wspomnień, chwil razem przeżytych. Dnie pełne słońca były poza nami. Tak niedawno jechałyśmy z Warszawy. Pamiętam jak dziś – ciemny przedział, pociąg pędzi w nieznaną dal – jakaś harcerka podchodzi do okna, przy którym stoję. Po chwili milczenia pyta:

- Skąd druhna jest?
- Z Grodziska, a druhna?
- Z Łodzi.
- Z Łodzi? – słyszę jeszcze zdziwiony swój głos.

Chorągiew Łódzka ma swą akcję obozową na innym terenie. Dlaczego ona jedzie z Mazowszem – pytałam siebie w myśli, nie wiedząc, że to zaproszony gość. A była to właśnie Joasia, która jechała na swój pierwszy obóz. Mały skrzat z czarnymi warkoczykami – dziecko obozu „Ziemia Śląska”.

Dziś piękność Jej widzę i opisuję, bo mi Jej żal i tęskno. Smutek osiadł na twarzach, w oczach najbliższych zaperliły się łzy. Na Twą górną młodość, Joasiu, polały się one rzęsiście. Nie spełnione zostaną Twe dziecięce jeszcze marzenia – zostaną tylko słowa Twe i czyny w pamięci ludzkiej. Zostało coś więcej: podziw i chęć naśladowania tego, co w Tobie było piękne i wzniosłe, mimo iż zwało się powszednim, codziennym trudem. Powaga i zrozumienie roli zadania, sumienność i dokładność przy wykonywaniu i jednoczesna promienność zyskiwały Ci przyjaciół wśród ludzi. Dążyłaś zawsze do lepszego jutra, mała budowniczo gmachu przyszłości, Joasiu – córeczko gwiazdzistej sceny polskiej. Przedwcześnie zerwała kwiat Twej młodości nieubłagana ręka Losu. Pieśń rozpacz i żałoby śpiewają pełne winy wody jeziora Gardno, utuliwszy w swym łonie ostatnie Twe myśli i słowa. Ból i żal pozostał w sercach tych, co Cię znali. Odszedł od nas nasz promyczek.

*Krystyna Pawłowska
drużynowa po próbie,
uczestniczka obozu drużynowych „Ziemia Śląska”
w Olbertynie*

WSPOMNIENIE

Joannę poznałam na obozie w Olbertynie. Tak się dziwnie złożyło, że zastałyśmy na miejscu poprzedni obóz, a tym samym grupę dziewcząt z naszego miasta. Emila po przywitaniu się ze mną pociągnęła mnie ku grupie dziewcząt, a wskazując na jedną z nich, o dużych, wymownych oczach i długim, grubym warkoczu, powiedziała: „To jest Joanna, nasze dziecko obozowe”. Joanna nie zdawała się być zaskoczona tym tytułem – z całą swobodą podeszła do mnie pytając o harcerstwo w Pułtusk. Po kilku minutach rozmowy miałam wrażenie, że znam tę dziewczynę bardzo dawno – tak przedziwny miała dar rozmowy. Patrząc prosto swymi wielkimi oczyma zmuszała po prostu do wypowiadania tego, co leżało na sercu, traktując wszystko z niezwykłą powagą. Pociągnęła mnie właśnie tą powagą i ogromną słodyczą przejawiającą się w każdym słowie i ruchu. Później byłyśmy w jednym namiocie, a nawet spałam z nią na jednym sienniku. Przez trzy tygodnie, przez cały czas obozu, Joanna była dobrym duchem naszego zastępu. Nie zapomnę nigdy jak wieczorem, po modlitwie, kładła się spać ostatnia, otulając nas dokładnie kocami, nim zdmuchnęła świecę. Kochałyśmy ją wszystkie. Kochałyśmy ją za jej powagę, za nieprzeciętną inteligencję, za przeogromne ukochanie ideałów harcerskich, za pracę bez wytchnienia, za jej dobroć i słodycz, za to, że była najmłodsza z nas i za to, że w ogóle była. Gotowe byłyśmy zawsze do wszelkich ustępstw, byle tylko nie widzieć łez w oczach Joanny, gdy mówiła: „Czy myślicie, że zrobimy cośkolwiek z takim nastawieniem do pracy?” Mimo że byłyśmy starsze, słuchałyśmy jej wymówek ze skupieniem i ze skruczą. A robiła je nam często – o to, że mamy mało zapалу, że jesteśmy mało wytrwałe, że zbyt mało dajemy z siebie – zawsze było jej „mało”. – „Joanno! Ty jesteś strasznie zachłanny człowiek” – broniłyśmy się żartobliwie. Nic to

jednak nie pomagało. Joanna bez litości niszczyła nam niedokładne szkice wsi czy też zbyt chaotyczne sprawozdania. Później z wypiekami na twarzy tłumaczyła nam, że tak nie można, że przecież przyzwyczajając się do niedokładności zawieziemy zaufanie tych, którzy nazywają nas „przyszłością narodu”, że... Brałyśmy czysty papier, a Joanna podnosząc ze skupieniem głowę znad swojego sprawozdania patrzyła przez chwilę na nasze arkusze, mówiąc: „A jednak potraficie lepiej”. Ona potrafiła wszystko. Najładniej pisała sprawozdania z wywiadów, najlepiej robiła zasmażkę z konserw i mąki, najsumienniejsze wypełniała obowiązki obożnej, najdokładniej przygotowywała się do ognisk – zawsze „naj”, czego każda z nas jej zazdrościła, ale tą zazdrością szlachetną, bo zmuszającą do naśladowania. Miałyśmy dla niej określenie krótkie, w nim jednak według naszego mniemania zawierało się wszystko: Joanna – to człowiek... Gdy widziałyśmy, jak ze zmarszczonymi brwiami studiowała jakieś pisma (przeważnie „Drogi”), oddalałyśmy się, aby jej nie przeszkadzać. Ona jednak szukała nas. Przychodziła do nas – „starszych” – z pismem w ręku, ze zdziwieniem w oczach i z pytaniem „dlaczego” na ustach. Gdy nie umiałyśmy jej dać odpowiedzi, mówiła: „Wiecie – chwilami ogarnia mnie bunt przeciwko temu zakłamanemu światu. Wolałabym nie myśleć i nie męczyć się”. – Znała ją cała wieś. Znali ją dorośli z ognisk, w których brała ciągle udział, znały ją dzieci, z którymi miała zawsze wiele wspólnych spraw do załatwienia. Często idąc z nią, gdy widziałyśmy jak otaczają ją dzieci, czułyśmy się wykluczone poza ich obręb, słysząc rozmowy o nieznanym nam, a bliskim jej i dzieciom sprawach. Gdy Joanna dostała paczkę, cały obóz brał udział w uczcie. Joanna z uśmiechem przyglądała się spustoszeniu, pocieszając dziewczęta patrzące na prześwitujące dno: „Niedługo dostanę drugą paczkę”. Na pochwały i komplementy prawione jej bardzo często w oczy odpowiadała zażenowanym uśmiechem. Później mówiła nam: „Nie ma chyba nic gorszego nad wysłuchiwanie komplementów. To wpływa ujemnie na człowieka.

Czy ja jestem bardzo zarozumiała?” – Nie, nie była wcale zarozumiała – przeciwnie, miała wybitnie kompleks niższości. Zarzucała sobie cały szereg wad, których w ogóle nie posiadała, martwiła się tym, że jest zbyt opieszala itd. W rzeczywistości była wszędzie. Śmiałyśmy się, że jeśli powie się: „Która z was może...” – Joanna nie czekając na koniec krzyknie: „ja!”. Nie mogłyśmy się bez niej obyć. Czy to w pracy pionierskiej, czy też umysłowej, ona musiała być z nami i – naturalnie była pierwsza. Gdy nadszedł dzień zakończenia obozu – tak jak wszystkie, Joanna schyliła się nad ogniskiem mówiąc: „Za rok zapalimy ognisko, znowu podejmując służbę. Podjąć ją musimy z większym zapalem, bo mamy za sobą konkretne wyniki, które powinny nas pchnąć naprzód”.

W ciągu roku miałam o niej wiadomości, czy to w postaci listów, czy też w postaci zbiorów pokazywanych nam jako wzór, a przy czytaniu których poznawałyśmy charakter pisma i styl Joanny.

W czasie wakacji, podczas jednej ze zbiorów na obozie w Żmigrodzie, wpadła do namiotu Marychna z okrzykiem: „Joanna nie żyje!” – Nie potrafię opisać tego, co wówczas czułyśmy. Pamiętam tylko, że Bogda z oczyma pełnymi łez zadawała mi pytania, na które nie umiałam dać jej odpowiedzi: „dlaczego”...?

Dziś mówimy o tym spokojnie. Zrozumiałyśmy, że musimy pracować nadal. Pracować tak, jak chciała tego Joanna. Chcemy – tak jak ona – aby było zawsze „naj” – najlepiej i najdokładniej. Chcemy zapatrzone w jej sylwetkę iść do celu, który dla niej był świętością – do wykuwania ideału w szarym codziennym życiu. Jej wysiłki i zmagania będą naszymi, ale i naszymi także muszą być zdobyte przez nią szczyty.

Zofia Szulcówna
uczestniczka Obozu Kierowniczek Pracy Harcerskiej
w Olbertynie

MOJA JANUSIA

Poznałyśmy się, mając po cztery lata. Janusia, mały grubasek, przyszła do mnie na imieniny. Potem wybuchła wojna. Rozdzieliła nas. Ja mieszkałam w Warszawie, a ona we Lwowie. Dopiero po wojnie złączyła nas Łódź i jedna szkoła. Zaprzyjaźniłyśmy się. Pamiętam – tyle wieczorów spędzanych razem na pogawędkach i wspólnych rozmyślaniach.

W 1946 r. zapisałyśmy się obie do harcerstwa. Włożyłyśmy w nie cały swój zapas i całą pracę. Janki zastęp był najlepszy i ona uważana była za najlepszą z nas. Słusznie jej się to należało, była zawsze gotowa do wszystkiego i każdemu spieszyła z przysługą.

Z biegiem czasu dojrzewałyśmy i pogłębiałyśmy się – więc i wzajemnie zaczęłyśmy się doskonale rozumieć. Pamiętam naszą rozmowę po powrocie Joasi z obozu Chorągwi Mazowieckiej. Joasia była wprost nieprzytomna. Z jakimże zachwytem i zrozumieniem opowiadała mi o swoim życiu obozowym! Powiedziała mi wtedy: „Teraz rozumiem harcerstwo i jego służbę, i będę zawsze w jego szeregach”.

Ile wyniosła z tego obozu, można było zaobserwować na życiu drużyny. To, co zdobyła, postanowiła wnieść do drużyny. I tak się stało.

Janka stworzona była do pracy społecznej. Kiedy mówiła o drużynie, czy nawet o swoim kochanym zastępie, oczy jej błyszczały zachwytem. Cała była oddana swoim dziewczynom: „Chcę, by moje dziewczęta były prawdziwymi harcerkami”. To było jej największe marzenie.

Obóz! – to już było całkowite oddanie się Janki drużynie, mówią o tym najlepiej jej przygotowania. Cały dzień spędzała w magazynie na przyjmowaniu produktów i pieniędzy obozowych. To

przygotowania – a sam obóz?

Na obozie Janka była cały dzień zapracowana, ani chwili nie miała dla siebie, należała do wszystkich. Kiedyś w rozmowie z taką radością opowiadała mi o tym, co zrobiła dla drużyny, a z taką wprost rozpaczą o tym, czego nie udało jej się zrobić. Raz chorowało parę dziewcząt, więc obie z Joasią pilnowaliśmy ich tej nocy. To była noc cudowna. Siedziałyśmy zawinięte w koce i rozmawiałyśmy o drużynie, o harcerstwie. Taka mi bliska była Janusia, taka kochana.

Nie wiem, czy to zbieg okoliczności, czy tak to już było zorganizowane, dość że na obozie zawsze razem wciągałyśmy i ściągaliśmy sztandar. Dla mnie to było wielkie przeżycie – i ta wielka chwila związana była z Joanną.

I jeszcze jedna chwila, która mi zostanie na zawsze w pamięci. Nasze ognisko. Ostatnie ognisko. Janusia rozgorączkowana układa plan, opracowuje poszczególne punkty programu. Potem bierze w nim czynny udział. Jest Wandą, córką Kraka. A także mówi wiersz o Łodzi. Wiersz ten wstrząsnął mną do głębi – z jakim uczuciem powiedziała go ta cudowna dziewczyna! Ognisko udało się. Jakżeż mogło się nie udać? Ludzie są nim zachwyceni, rozchodzą się powoli, a my zbieramy się w kręgu i śpiewamy przy gasnącym ognisku naszą piękną harcerską piosenkę: „Gaśnie ognisko i szumią knieje...”

O Boże! Któż przypuszczał, że ognisko to miało zagasnąć w naszej drużynie na zawsze?

Ostatnia noc w obozie z naszymi dziewczynkami. Ostatni raz Joasia przechodzi przez pokoje i ostatni raz mówi: „Cisza nocna, dobranoc, dziewczynki. Śpij, Zetko, smacznie”.

Zetka Erdman
sprawną zdrowia Drużyny Łódzkiej

JEJ „MAŁA PIĘTNASTKA”

– Dziewczynki... Janka spojrzała na zegarek – wiedziałyśmy, co będzie dalej, znałyśmy to już na pamięć – Janka tego nigdy nie zmieniała. I rzeczywiście, po chwili rozległ się jej głos: „Za osiem minut cisza bezwzględna”, a potem: „rozejść się”. Wróciłyśmy do obozu. W osiem minut później już wszystkie leżałyśmy, niektóre jeszcze kończyły rozbierać się pod kocem. Weszła Janka zobaczyć, czy wszystko w porządku. Przechodziła przez pokój niby dość szybko, lecz nic nie uszło jej uwadze. Zawsze zdążyła zauważyć, że to lub owo nie jest tak jak trzeba, że ta lub inna jest źle okryta. Podchodziła więc do niej, poprawiała koc i szła dalej. Później, gdy już prawie wszystkie spały, Janka po załatwieniu wszystkich spraw, około godz. 12, przychodziła jeszcze raz do nas. Tylko teraz szła na palcach, bardzo ostrożnie, i znów poprawiała koce. Czasami zatrzymywała się koło którejś, unosiła lekko koc i patrzyła. Na nogach dziewczynka miała skarpetki. Janka wiedziała o tym – dlatego teraz podniosła koc i zawinęła go. Potem ostrożnie zdejmowała skarpetki, które dziewczynka nałożyła spodziewając się alarmu. A rano, gdy się taka obudziła i zobaczyła, że nie ma skarpetek – była oczywiście ogromnie zdziwiona, bo przecież przypomina sobie, że je nakładała. Lecz rozmyślania przerywała jej Janka wpadająca do pokoju i krzycząca to samo każdego dnia: „Pobudka! Za pięć minut w kostiumach gimnastycznych”. Widząc, że któraś nie rusza się, ściągała z niej koc, a gdy to nie pomagało, chwytała za nogi i śmiejąc się ściągała z pryczy.

Wobec niektórych od razu stosowała metodę ściągnięcia z pryczy, gdyż wiedziała, że tutaj pierwsza metoda nie odniesie żadnego skutku. Bo gdy ściągnie się jej koc, ona nakryje się prześcieradłem albo poduszką i będzie spała dalej. Dopiero gdy zostanie wyciągnięta za nogi, rada nie rada zacznie wstawać przecierając oczy i potężnie ziewając. Potem zaczynał się już normalny dzień

obozowy. Janka zawsze czymś zajęta, lecz wszystko wiedząca i widząca. Wiedziała co robimy i wiedziała nawet jak robimy. Widziała jak jemy niedojrzałe jabłka i gruszki, widziała również to, że na sąsiednie podwórze przywieziono siano i że za chwilę będzie deszcz, a ci ludzie nie zdążą złożyć tego siana do stodoły. Zrobiła więc zbiórkę i poszliśmy pomóc znosić, oczywiście Janka była z nami. Wracając potem zmoczone do suchej nitki (gdyż siano zносиłyśmy podczas deszczu) śpiewaliśmy. Było nam dobrze. Śpiewaliśmy tak mocno, jak tylko się dało. Janka szła koło nas, śpiewała z nami i śmiała się. Mundur jej był równie zmoczony, a twarz oblepiona sianem, tylko oczy błyszczały trochę inaczej niż oczy innych. Patrzyła na nas. Była zadowolona. Widziała, że dziewczynki śpiewają, że śmieją się, że nie czują mokrych mundurów i wody ociekającej po twarzy. Wiedziała, że rozumiemy czym jest harcerski mundur. Patrzyła na nas. To były jej dziewczynki, to była jej ukochana „Mała piętnastka”.

Janka była z nami zawsze. Gdy potrzebowało się jej pomocy, znalazła się w pobliżu gotowa i chętna. Gdy potrzeba było czegoś, Janka nie zwracała uwagi na dzień ani na noc. Gdy jedna z naszych dziewczynek zachorowała i potrzebny był lekarz, Janka pojechała po niego późnym wieczorem do wioski oddalonej o kilka kilometrów i o pierwszej w nocy przywiozła go.

Do końca była z nami. Na jeziorze, gdy motorówka wywróciła się, widziałam wpadając do wody Jankę stojącą na łódce. Podawała ręce tonącym dziewczynkom. Woda nakryła mnie. Gdy potem wypłynęłam na powierzchnię i wdrapałam się na wywróconą do góry dnem motorówkę – nie zobaczyłam już Janki. Łódka zatонуła, a wraz z nią Janka, która do ostatniej chwili nie myślała o sobie, lecz ratowała innych. Gdy przywieziono nas na brzeg, tym razem Janki już nie było z nami. Została z tamtymi. Odeszła ze swoją „Małą piętnastką”.

*Roma Ostalska
szeregowa Drużyny Łódzkiej
„Mata piętnastka” przy szkole 161*

TOBIE, JOANNO

Jakże trudno jest pisać o Joannie! Wydaje mi się, że najpiękniejsze, z serca samego wydarte słowa nie potrafią uczcić Jej nieporównanej słodyczy, Jej niepowtarzalnego uroku. Ci, którzy Jej nie znali, nie zdołają nigdy w pełni wyobrazić sobie, czym dla nas była Joanna. Dla nas – dla tych wszystkich, którzy Ją znali i kochali – a nie sposób było Jej nie pokochać.

Z trudnością posuwa się pióro, opornie układają się słowa, jakby świadome, że nie obejmą swą treścią tego uroczego i niezwykłego zjawiska, jakim była nasza Szarotka. Słowa są zbyt ubogie, by wyrazić ból i tęsknotę naszych osieroconych serc.

Jedynym hołdem, maleńka nasza Janusiu, niech będzie nasza pamięć o Tobie – gorąca, tkliwa i wdzięczna. Krótka trwała Twa gościna na ziemi. Krótka przebywałaś w naszym harcerskim gronie.

A jednak przyznamy wszystkie, że najpiękniejsze nasze wzruszenia, najbardziej szczerze porywy i najlepsze osiągnięcia zawdzięczamy właśnie Tobie. Umiałaś, Janusiu, kierować naszymi sercami, potrafiłaś rozpalić w nich uniesienie i entuzjazm dla pracy. Cicha, słodka, promienna, nasza maleńka Przyjaciółko – zebrałaś obfity plon naszej miłości i wdzięczności.

Joanna – moja maleńka przyjaciółka i powiernica – a zarazem jak gdyby młodsza, ukochana Siostrzyczka. Patrzałam na nią z bliska – przy codziennych zajęciach, w domu, w teatrze, w czasie wspólnie spędzonych wieczorów. Mała Dziewczyneczka – dziecko jeszcze, o nieodpartym wdzięku i głębokiej, ponad wiek, mądrości.

Trudno jest mówić o Joannie, gdy rozpacz matki, ojca i siostry tak jeszcze jest świeża i bolesna, gdy młodzieńki nasze przyjaciółki, harcerki łódzkie, nie mogą się pogodzić ze swą stratą. Każde wspomnienie przywodzi ze sobą cały korowód innych wspomnień. Z oglądanych fotografii wygląda ku mnie piękna,

myśląca, rozumna twarzyczka Joanny, w wyobraźni tłoczą się inne obrazy – wspomnienia, obrazy-wspomnienia, obrazy-cienie zapamiętanych uśmiechów i ruchów. Nie ma Cię, Joanno, a każdy sprzęt, zeszyt, notatka mówią o Tobie i budzą znów przycichający ból.

Widzę znów Twoją skupioną twarzyczkę, Janusiu, kiedy w gazecie czy książce natrafiłaś na ciekawy problem. Widzę Twoje rozjaśnione ciekawością oczy, gdy pytasz o wyjaśnienie czy komentarz. I przyznaję, że wypadło mi nieraz – mnie dorosłej – szukać materiału, zaznajamiać się z nowym problemem, by móc sprostać Ci w dyskusji, by zadowolić Cię odpowiedzią. Pamiętam Cię – tak doskonałą, jak doskonałą może być jednostka ludzka, jednocząca w sobie wszystkie uroki i zalety ducha i ciała. Pamiętam Twoją nieugaszoną żądzę wiedzy, pamiętam nieustanne dążenie do doskonalenia, niezmordowaną czujność wewnętrzną i dyscyplinę duchową.

Byłaś taka niezwykła, Joanno – nieziemsko urocza, niebywale mądra. A przy tym wszystkim byłaś najprawdziwszym, młodziutkim dzieckiem, pragnącym serdeczności – i sama otaczałaś miłością wszystko wokoło. Zgodne głosy naszych wspólnych przyjaciół przyznają jedno: opromieniałaś świat swoim urokiem. Z niedocieczonych przyczyn obdarzona przez los wpływem na otoczenie, używałaś tego wpływu na podniesienie i rozjaśnienie naszych serc. To nie tęsknota nasza wyolbrzymia Twoją postać. Małeńka moja Przyjaciółko, brak mi słów, by Cię uczcić, by oddać hołd Twojej pamięci.

I myślę, że najodpowiedniejsze byłyby tu słowa tak proste, jasne i silne, jak prosta, jasna i silna była Twoja dusza.

Joanna Skwarczyńska urodziła się 12 VI 1935 r. Do harcerstwa wstąpiła w 1946 r. Ci, którzy znali Joannę stwierdzili, że dopiero praca w ukochanej organizacji ujawniła prawdziwe oblicze Joanny, pozwoliła rozwinąć się jej wrodzonym zdolnościom, dała pole do popisu jej niezwykłym talentom organizatorskim. Joanna znana była

jako dziecko żywe, niezmiernie wrażliwe i czułe, obdarzone niezwykłym hartem ducha. Z prawdziwym bohaterstwem graniczyło u niej tak gorliwe zajęcie się pracą w drużynie. Maleńka, dzielna Szarotka – jak ją później nazwano – w trudnych warunkach mieszkaniowych opiekuje się chorą matką, pomagając starszej siostrze, musi pogodzić liczne obowiązki domowe, szkolne i organizacyjne. Z najwyższym podziwem patrzyli wszyscy na to dzielne dziecko, oddające się każdej pracy bez reszty, bez zastrzeżeń, na to dziecko, które potrafiło jednocześnie być wzorową uczennicą, wielką społecniczką, podporą rodzinnego domu – i znalazło jeszcze czas na występy w teatrze, który był jej powołaniem. Opowiadają o tym jej przyjaciele. Teraz chcę mówić o Janusi-Szarotce, takiej, jaka nam się jawiła w codziennej pracy harcerskiej.

Ukochaniem Joanny był krzyż harcerski – harcerski znak. Nosiła go z dumą. W pracy harcerskiej Joanna znajdowała ukojenie dla swych tęsknot, pole dla swego czynu i podporę w ciągłym dążeniu wzwyż. A przecież nie było w niej nic z egzaltacji. Budziła w nas najtkliwsze, najgłębsze wzruszenia – bo była właśnie taka prosta, bezpośrednia, serdeczna i wdzięczna.

Przełożona, koleżanki i przyjaciółki podają w swoich wspomnieniach o Joannie niejeden charakterystyczny szczegół z harcerskiego życia. Nasz mały Ślipek był silną indywidualnością, o określonych zwartych zarysach. Nie wykorzystywał jednak nigdy swojej siły dla przewodzenia innym. Jeśli nawet Joanna nadawała styl pracy swojemu zastępowi – jeżeli nawet kierowała poczynaniami starszego od siebie zespołu – to nigdy nie wysuwała się na pierwszy plan.

Wiadomo było, że Joanna zrobi wszystko najlepiej, że każdego wyręczy, zniecierpliwionych zachęci, słabszych wesprze – ale czyniła to z wrodzoną skromnością, podporządkowując się całkowicie prawu zespołu. Z natury rzeczy wyróżniająca się inteligencją, dowcipem, pomysłowością i wyrobieniem, miała Joanna niezwykle rozwinięty zmysł solidarności społecznej. Jej to zawdzięcza zastęp, w którym pracowała, lepsze wyniki, ale zasługa

Joanny pozostawała tajemnicą. Nie było w tej niezwykle uzdolnionej dziewczynce ani śladu fałszywych ambicji, ani odrobiny „wodzowskich” upodobań. Wszystkie jej zdolności, umiejętności i siły miały służyć społeczeństwu, przede wszystkim zaś – drużynie. Wstąpiwszy do ZHP jako dziewięcioletnia dziewczynka, Joanna złożyła przyrzeczenie po kilku miesiącach, w czerwcu 1947 r. Najbliżsi jej pamiętają, jak wielkim świętem był dla Joanny ten dzień. Jak głęboko i prawdziwie go przeżyła.

Niezmordowana w zdobywaniu umiejętności, nieznudzona w pracy – dochodzi Joanna w służbie harcerskiej do poważnych rezultatów. Pracy oddaje się całą duszą; wszystko, co czyniła Joanna, wykonywane było z tą właściwą Jej pasją, z całkowitym poświęceniem się obowiązкови. Nic więc dziwnego, że Joanna w ciągu roku zdobyła kolejno stopnie ochotniczki, tropicielki, pionierki, że zgromadziła szereg sprawności, a trzeba dodać, że stała się mistrzynią w każdej z nich. Dla Joanny nie istniało połowiczne rozwijanie zadania. Wewnętrzna dyscyplina, poczucie odpowiedzialności wobec siebie samej, kazały Jej sprostać największym wymaganiom. Wymaganiom, które zresztą sama sobie stawiała.

Joanna była niesłuchanie czynna i wytrwała w pracy nad sobą. Niewielu miała powierników; a i oni nie dowiedzą się nigdy, jakimi drogami szło Jej bujne życie wewnętrzne. Zadziwiła otoczenie głębią i zasięgiem problemów, jakie rozważała w sposób dziecinny jeszcze, ale znamionujący wielką kulturę wewnętrzną i wczesną dojrzałość duchową. Zdumiewający był wprost hart tego dziecka, krzepiony w częstych próbach i dobrowolnych wyrzeczeniach. Wzruszające były jej próby samoopanowania, ćwiczenia w zaparciu się siebie. A jednocześnie prześwieślała Joannę żywiołowa radość życia, która udzielała się Jej otoczeniu.

Gotowość służenia innym, która znalazła ujście w toku codziennych domowych, szkolnych i harcerskich obowiązków – była u Joanny czymś tak naturalnym, tak związanym z Jej stylem życia, że nie sposób wyobrazić sobie Janusi inaczej, jak tylko

oddającej drobne usługi najbliższym i obcym, zawsze uśmiechniętej, zawsze pogodnej, służącej innym. Z istoty potrzeby – zda się, bez najlżejszego wewnętrznego przymusu.

Taka była Joanna – córka, siostra, koleżanka i harcerka. Znałyśmy jednak jeszcze i Joannę-artystkę. W Joannie uderzał przede wszystkim wielki wdzięk, ten osobisty urok, który zawdzięczała, jak widzieliśmy wszyscy, nie tylko urodzie – dość zresztą niezwyklej. Ten wdzięk to była harmonia piękna wewnętrznego i piękna jej sylwetki. Joanna żywiła kult dla piękna: dla poezji, malarstwa – a przede wszystkim dla teatru. Niech znawcy wypowiedzą się na ten temat. My pamiętamy, że na ogniskach i wieczornicach harcerskich, patrząc na naszą Joannę, zapominaliśmy o tym, że jest jedną z nas. Urzekał nas czar, bijący z Jej postaci, za serce chwytająca prawda wypowiedzianych słów. Nawet błaha inscenizacja nabierała w Jej wykonaniu akcentów głębi. Joanna przeistaczała się w oczach i pozostanie nam w pamięci jako tragiczna Wanda z legendy, pochylona nad śmiertelnym dylematem, wybierająca śmiało swój bohaterski los. Talent dramatyczny Joanny przyczynił się niemało do uświetnienia naszych programów ogniskowych. Nie było zresztą szkolnej czy ogólnej imprezy o charakterze społecznym, gdzie by zabrakło Joanny-recytatorki. Występowała w wielu zakładach, odnosząc wielkie sukcesy – nigdy jednak nie przypisywała sobie najmniejszej zasługi.

Skreślony tu portret Joanny jest bardzo niedoskonały. Zbyt bladymi barwami wypadło znaczyć Jej sylwetkę. Jedno jest pewne: Joanna była zjawiskiem niezwyklej, była – dziecko przecież jeszcze – człowiekiem pełnym, dojrzałym, człowiekiem, któremu dorównać niełatwo. Te cechy, które określają Joannę jako bardzo bogaty, złożony i wartościowy typ człowieka – wyznaczają Jej również miejsce jako harcerce. Zrozumiała jest rzeczą, że charakter Joanny znalazł oparcie w pionie ideologicznym harcerstwa, że nowe poznawane właśnie obowiązki wzbogacały i uwielokrotniały Jej wrodzone dyspozycje.

Joanna w obozie – to nowy rozdział naszych wspomnień! Koleżanki opowiadają, jak to Joanna pracowała na Ziemiach Odzyskanych. Jak harcerki usuwały ślady niemieczyny – napisy – krocząc za przewodem Joanny z kubłem farby przez wioski i miasteczka Ziem Odzyskanych. I najpiękniejszy plon pracy Joanny w H.S.P. – dziecińce. Ta mała dziewczynka, dziecko jeszcze, gromadziła w ramach letniej akcji Harcerskiej Służby Polsce dzieci wiejskie, wychowując je, bawiąc i ucząc jak wytrawna wychowawczyni. Garnęły się też do Niej maleństwa, kochały Ją ich matki, a gawędy Joanny – nie będzie to przesadą – przyczyniły się do upadku niejednego uprzedzenia, do rozbicia nieufności. W tej służbie Joanna była nieutrudzona.

Uczestniczki obozu drużynowych pamiętają 12-letnie dziecko biorące udział w omawianiu najistotniejszych problemów wychowawczych i ideologicznych. Uwagi Joanny były zawsze trafne, a Jej notatki mogły służyć na wzór systematyczności, zwięzłości i jasności.

Koleżanki i zwierzchniczki Janusi snują swoje o Niej wspomnienia. Są to okruchy, w których, jak w drobinach rozbitego kryształu, błysnie czasami tęczowo jakiś jeden uśmiech Joanny, jakieś jedno zapamiętane zdarzenie. Nad wszystkimi górować będzie ostatni obraz Joanny, zapamiętany, uchwycony przez rozszerzone trwogą oczy tonących koleżanek. Obraz Janusi – maleńkiego kapitana ginącego okrętu, dziewczynki bez trwogi, która w ostatniej chwili podawała pomocną dłoń towarzyszkom – w obliczu nieuchronnej zguby.

To wszystko, co Joanna zdołała obudzić w naszych sercach – zarówno przez swój jakiś nieziemski, delikatny wdzięk, jak i przez surową, codzienną, wzorową pracę – zostało po Niej jako twardy, harcerski testament. Testament, który zobowiązuje.

*Halina Soporek phm.
członek Komendy
Chorągwi Mazowieckiej Harcerek*

ROZDZIAŁ IV.

W OCZACH TEATRU

Mały, leśny duszek z bajki o krasnoludkach...

*Lecz życie nie było bajką –
nauczyło go przeżywać i ukrywać tży,
by mogły popłynąć na dużej scenie
najprawdziwiej i najboleśniej
oskarżając i przepalając serca.*

*Ocalić życie ciała
za cenę śmierci duszy, czy – – – ?*

Jak Wanda, co kochała Kraka...

Obudzić chociaż jedno sumienie.

Choćby za najwyższą cenę.

Na scenie teatru życia.

*Mówią:
to powołanie.*

Z PIECZĘCIĄ I BEZ PIECZĘCI

Pieczątka Teatru

ZAŚWIADCZENIE

Dyrekcja Państwowego Polskiego Teatru Dramatycznego we Lwowie zaświadcza, że Ob. Skwarczyńska Janina grała w sztukach wystawionych przez ten teatr, a to: w sztuce G. Zapolskiej *Ich czworo* w roli Lili i w *Weselu* St. Wyspiańskiego w roli Isi. Wywiązywała się ze swego zadania bardzo dobrze i zyskała ogólne uznanie prasy i publiczności.

Dyrektor Teatru

Dąbrowski Bronisław

Pieczęć okrągła z napisem

Lwów, 27 IV 1945

Łódź, 25 listopada 1946 r.

Teatr Kameralny Domu Żołnierza w Łodzi
ul. Daszyńskiego 34, tel. 123-02

ZAŚWIADCZENIE

Kierownictwo Teatru Kameralnego D.Ż. zaświadcza niniejszym, że Skwarczyńska Joanna od 23 II do 16 IV 46 brała udział w przedstawieniu *Ich czworo* Zapolskiej w roli dziecka.

Z zadania wywiązywała się doskonale, okazując duże poczucie obowiązku i wyraźne zdolności aktorskie.

Reżyser

Axer Erwin

Pieczęć: Teatr Kameralny

Dyrekcja

DEDYKACJA

reżysera Bronisława Dąbrowskiego na tomie „Płomyka”, ofiarowanym śp. Joannie Skwarczyńskiej w czasie przygotowań do przedstawienia *Ich czworo* Zapolskiej w tajnym teatrze w czasie okupacji niemieckiej we Lwowie:

Janusi!

Tej czwartej, najmniejszej mojej artystce z *Ich czworo* na pamiątkę wspólnej pracy w p r a w d z i w y m teatrze i w nagrodę za punktualność, uwagę i cierpliwość – reżyser i przyjaciel.

*Bronisław Dąbrowski*⁷¹

Lwów, 9 VI 1944

⁷¹Wówczas reżyser w tajnym teatrze za okupacji niemieckiej we Lwowie, potem dyrektor, reżyser i artysta w Państwowym Polskim Teatrze Dramatycznym we Lwowie, tuż po wojnie dyrektor teatrów w Krakowie.

JOANNA W CIENIU MELPOMENY⁷²

Był rok czterdziesty i czwarty. Zwyczajny, wojenny dzień we Lwowie. Bezbarwny, szary, nawet nie naznaczony porą roku, taki sam jak te, co przeszły i te, które miną. Dzień zwykłej troski i zwykłej trwogi. W dziesiątce jadącej z trudem stromą ulicą Św. Zofii było pełno ludzi – kobiety z kobiałkami wypchanymi na placu, mężczyźni z teczkami pod pachą i kupa krzykliwych dzieciaków popychających się wzajemnie w chwiejny rytm dygocącego wozu. Wczesnie rano tramwaje lwowskie były zawsze przepełnione i na przekór otaczającej rzeczywistości wesołe. Gdyby nie różnorodność i przypadkowość ubiorów, gdyby nie suchy, żołdacki i niezrozumiały język – można byłoby pomyśleć, że wojna nie dotknęła miasta swoim groźnym, śmiertcionośnym skrzydłem. – Na ławce przy oknie siedziała mała dziewczynka. Była ubrana skromnie. Ciemny płaszcz odbijał ciemnym kontrastem od białych rąk i twarzy. Z zaciekawieniem i niecierpliwością wyglądała przez szybę – na chwilę odwróciła jasną główkę i zobaczywszy opodal stojącego starszego pana wstała i bardzo nieśmiało, może nawet zbyt cicho, powiedziała: „Proszę usiąść”. Potem przeszła kilka kroków naprzód i stanęła na przedniej platformie.

Lekki wiatr i pęd tramwaju niepokoił jej piękne, ciemnozłote włosy. Spojrzała ukradkiem na zegarek i przez jej drobną twarz przemknął wyraz zadowolenia. „Mam jeszcze czas” – pomyślała zapewne. Tramwaj dojeżdżał do przystanku obok kościółka Św. Zofii. Ludzie poczęli zeskakiwać, a potem wysypali się szybko i beładnie. Dziewczynka wysiadła ostatnia. Szybko pobiegła w stronę domu parafialnego i za chwilę wycierała nogi na wysokim,

⁷²*Melpomena – w mitologii greckiej Muza teatru (duch opiekuńczy w postaci kobiety). Tu chodzi o obraz Joanny-aktorki, jaki utrwalił się w pamięci ludzi teatru.*

ciemnym progu.

Ksiądz Szlec, który zwykle o tej porze wracał z kościółka, przywitał małą radośnie i hałaśliwie: „Dzień dobry, Janusiu, no cóż, prędko będzie przedstawienie?” – „Za tydzień, proszę księdza” – odpowiedziała również wesoło, wspinając się schodkami w górę. Zatrzymała się dopiero na strychu. Był duży i ciemny, wyższy niż w zwyczajnych domach i nie obarczony rupieciami, które tradycyjnie kolekcjonuje każde pokolenie w podobnych miejscach. Był to dziwny strych: w głębi, pod tylną ścianą wznosiła się mała, ale prawdziwa scena, z białych prostych desek, co jeszcze bardziej dodawało ekspresji niesamowitemu widowisku.

Dziewczynka weszła na scenę, siadła na krześle i oparłszy się jedną ręką o stół, pochyliła jasną główkę nad szeroko rozłożonymi arkuszami papieru. Dopiero po dłuższej chwili zaczęli się schodzić bywalcy tej dziwnej sali: reż. B. Dąbrowski, T. Suchecka, I. Tomaszewska, Z. Życzkowska, T. Surowa i inni.

Był to polski podziemny teatr, powstały samorzutnie z inicjatywy artystów, a Janusia Skwarczyńska – jedną z aktorek. Brzmi to dość dziwnie: małe dziecko i aktorka. A jednak tak, Janusia była artystką nie z przypadku, lecz z prawdziwego zdarzenia, nie z ambicji, lecz z woli losu. Urodziła się artystką i każdy jej gest miał coś z tańca i z dramatu, a jej oczy – ogromne, zdziwione i ciekawe oczy – kryły w sobie tysiące uczuć i przeżyć, o których jeszcze sama nie wiedziała. Oczy o barwie nieokreślonej i ciemnej, mieniające się w blasku dnia i reflektorów tajemniczym światłem wewnętrznego piękna i ładu.

Janusia była malutką, nieszczęśliwą córeczką w *Ich czworo* G. Zapolskiej. Miała unieść na swych kruchych ramionach cały ciężar pogmatwanych losów źle dobranego małżeństwa swoich rodziców. Rolę znała dawno na pamięć pierwsza ze wszystkich – ale nie dowierzała sobie i w wolnych chwilach zawsze jeszcze przeglądała tekst. Aż kiedyś reżyser i dyrektor teatru powiedział: „Janusiu, przecież ty nawet stronicę w tekście pamiętasz”. – „To nic nie szkodzi, a jednak zawsze znajdę coś nowego” – odparła rezolutna

artystka. Tak, bo Janusia pracowała nad rolą jak dorosły aktor, duszę swoją zmieniała w duszę postaci i była na scenie prawdziwym, nieszczęśliwym dzieckiem. Może stawiała jej przed oczyma gehenna wojennej tułaczki, gdy jakże inna niż w sztuce matka – była dla niej ojczyzną i utraconym domem.

Pamiętam premierę. Na strychu zgromadziło się ponad sto zaufanych osób. Wykazały one swym przyjściem dużą odwagę, gdyż ta teatralna wycieczka mogła się dla wszystkich skończyć na Gestapo. Cisza była tak wielka, że z dalekiej ulicy słychać było szum tramwajów i z kępy drzew okalających dom świr ptaków.

Przed kurtyną ukazała się Stefania Skwarczyńska współpracująca z podziemnym teatrem. Mówiła o tradycjach polskiego teatru, o dramacie Zapolskiej i o tej premierze. Mówiła z trudem opanowując wzruszenie. Przecież to pierwszy polski spektakl w okupowanym Lwowie.

Wzruszeni byli wszyscy. Za kurtyną stała Janusia, przez małą szparkę patrzyła na mamusię i jej duże oczy były jeszcze większe. Stała nieruchomo – tylko drobne nóżki z lekka drżały. A później, za chwilę, kiedy mamusia wróciła, przytuliła główkę do jej wysmukłych rąk, jakby z nich chciała wziąć błogosławieństwo na swój pierwszy występ. Grała cudownie, grała sercem, duszą, całą sobą, płakała prawdziwymi łzami i prawdziwym milczeniem milczała. Publiczność nie mogła opanować wzruszenia – tu i tam szeleściły chusteczki. Zapomnieli wszyscy o ostrożności, niebezpieczeństwie, okupacji, byli w teatrze wielkim i wielki teatr przeżywali. Po skończonym akcie strych trząsł się od oklasków i tylko ks. Szlec kręcił głową, sam klaszcząc.

Mała Janusia nie mogła mówić z przejęcia, w drżących rączkach trzymała kwiaty – i tylko jej oczy były napełnione szczęściem.

Rozchodzili się wszyscy grupkami – ostatnia wyszła Janusia. Do późna pomagała nam wszystkim i matce składać i przenosić na miejsce rekwizyty. Dyrektor był wyraźnie wzruszony. Ten stary, otrząskany z wielu scenami reżyser, a w danej chwili „w cywilu” inkasent gazowni miejskiej, wykrzykuje z przejęciem: „Zobaczycie

państwo – ta mała będzie kiedyś wielką artystką!”

Czas zdawał się spełniać jego słowa. *Ich czworo* przenieśli artyści w wyzwolonym Lwowie ze strychu na scenę Państwowego Polskiego Teatru Dramatycznego. Znów grała Joasia. Tym razem w teatrze rozporządzającym reflektorami, rampą⁷³ i pełnym aparatem scenicznym.

Publiczność pokochała swoją „małą Janeczkę” – jak pisał Jan Brzoza w „Czerwonym Sztandarze” – a ją samą pochłaniał teatr z dnia na dzień głębiej. Wieczorem *Ich czworo*, a rano – rano nowe próby – światy otwierające się przed Joasią: próby analityczne *Wesela* Wyspiańskiego, gdzie otrzymała rolę Isi. Czar poezji zagarnął ją bez reszty. Wrażliwością naiwnego dziecka i instynktem artysty chłonęła wskazówki reżysera. Dla kolegów aktorów specyficznym przeżyciem stawała się obserwacja tego dziecka wtopionego w wizję poety. Zwrócił jej uwagę reżyser, że według wierzeń ludowych trzykrotne przyćmienie i rozświecenie lampki sprzyja pojawieniu się duchów. I warto było widzieć, z jakim cichym, skrzętnym nabożeństwem mała Isia oddawała się obrzędowi trzykrotnego przykręcania i rozświecania lampki, jak potem przez szparkę w kulisach chłonęła, cała drżąca w przeżyciu przekreślającym granice snu i jawy – chłonęła korowód widm przesuwających się przez scenę. Stańczyk, Rycerz...

Grała ślicznie, furkocąc wstążkami krakowskiego stroju i drepcąc po izbie bosymi nóżkami. Jej drobna postać z miotłą w ręku wypędzająca na pole ogromnego „śmiecia” – Chochola – nowym rezonansem symbolicznym odbiła się we wrażeniach widzów. Szeptano, że to jedna z najlepszych Iś, jakie widział teatr.

I już artystką pozostała do końca swego dziewczęcego życia. W Łodzi – w Teatrze Kameralnym Domu Żołnierza – znów była Lilusią w *Ich czworo*, znów grała całą duszą. Potem swoim młodziutkim talentem służyła wszystkim imprezom szkolnym i harcerskim, aż do ostatniego dnia swego życia. Jeszcze w

⁷³Rząd lamp służących do oświetlenia sceny.

przeddzień śmierci przy ognisku była Wandą z legendy. Dziwnie w jej życiu zacierały się granice sztuki i jej własnych losów. Królowa Wanda w osobie Joanny, zastępowej w „Małej piętnastce”, następnego dnia znalazła śmierć w falach, znów bohaterskim gestem przekreślając siebie – dla drugih.

W trumience wróciła do swojej ukochanej Łodzi, którą wymarzyła sobie jako miejsce swego rozkwitu artystycznego. Jej najgłębszym postanowieniem było wstąpienie do Wyższej Szkoły Dramatycznej. W dziewczęcych rojeniach już układała sobie plan swego wstępnego egzaminu. Na parę dni przed wyjazdem marzyła o recytacji „Pani Aszpergerowej” Maryli Wolskiej i płomiennego wiersza Wyspiańskiego „Wesoły, jestem, wesoły”. Jakież przeczucie, jakąż tęsknota kazała temu dziewczęciu, predestynowanemu⁷⁴, zdawałoby się, swym urokiem dla urody życia powtarzać namiętym szeptem:

„Ach któryż jestem żywy

.....

Czy ten co skrzydeł loty

przez żywot miał związane,

czy ten co ciska groty

o krzemień gwiazd ciosane?...”

Jerzy Hordyński

(zastępca kierownika literackiego

w Państwowym Polskim Teatrze Dramatycznym

we Lwowie – 1944/45)

i Tadeusz Surowa

(artysta Teatru Wojska Polskiego w Łodzi)⁷⁵

⁷⁴Z łac.: *przeznaczonemu*.

⁷⁵Wspomnienie tych dwóch autorów ogłoszone zostało w „Dziś i Jutro”.

WSPOMINAMY Z JOANNĄ

Czy pamiętasz, Joasiu? Naturalnie, że tak – masz przecież świetną pamięć i doskonały zmysł obserwacyjny. Patrzysz teraz na mnie i uśmiewasz się. Lubię Twój uśmiech. O, właśnie taki! Opromienia całą twarz, czai się w kącikach ust, gra całą gamą radości i wesołości w Twoich mądrych oczach. Pytasz mnie, czy to czerwone brzydactwo to właśnie ta kanapka, na której spałaś? Tak, tylko że stała wtedy w sąsiednim pokoju. Było to w tych czasach, kiedy spotykałyśmy się co dzień. Wspólny warsztat pracy i podobne zamiłowania łączą ludzi niezależnie od ich wieku.

Oj, Joasiu, jesteś stanowczo dziś niesforna i rozdokazywana! Czy nie przywiązujesz w naszych wspomnieniach zbyt wielkiej wagi do drobiazgów? Na przykład ta kanapa... W gruncie rzeczy to ohydny mebel. Nie musimy się w tej sprawie nawzajem przekonywać. Zresztą nie posądzalam Cię i nie posądzam o brak gustu. Słuchaj, Joasiu, czy to nie dziwne? W tamtym, w naszym okresie, miałaś lat 10 i tak nieomylnie wiedziałaś, co jest piękne a co brzydkie, co dobre a co złe. Tyle dojrzałości w takim brzdącu! No, no, nie chciałam Cię urazić. A zresztą wiem doskonale, że tylko udajesz zagniewaną i obrażoną. Bo naprawdę nie umiesz się ani obrażać, ani gniewać. Umiesz natomiast zrozumieć i wybaczyć. A teraz z kolei musisz mi wybaczyć ten zdawałoby się niczym nie wytłumaczony wybuch śmiechu. To znowu ta kanapa. Czy nie uważasz, Joanno, że jakaś obsesja na tym punkcie ogarnęła nas dziś obie? Tylko że z tym dziwnym meblem wiąże się tyle wspomnień... Nie zdajesz sobie sprawy, jak uroczo i wzruszająco wyglądałaś w jakiejś nieprawdopodobnej, niby to jeszcze nocnej, a już prawie porannej godzinie, kiedy po kilkunastu godzinach ciężkiej pracy układałaś się na niej do snu. Trzymałaś się dzielnie: „Nie, wcale nie jestem tak bardzo zmęczona” – mówiłaś. A zmęczone były nawet

Twoje warkocze, które spływały z poduszki na wpół śpiące i bez swego zwykłego blasku.

Kajtuś, rozbudzony naszym przyjściem z teatru, skłonny do zabaw jak każdy młody kociak, uważał Twoje warkocze za znakomitą zabawkę zesłaną mu w środku nocy przez jakieś dobre bogi. „Kajtuś” – strofowałam go z mego łóżka – „uspokój się, pozwól Joasi spać. Czy nie widzisz, głupie kocię, że oczy jej się kleją”. – „Ależ ja wcale nie jestem tak bardzo śpiąca i zupełnie mi to nie przeszkadza. A on jest taki miły”. – Kajtuś rzeczywiście był bardzo miły, ale naprawdę miła i kochana byłaś Ty! Ty, która nie chciałaś pozbawić chwil radosnych nawet takiego małego kociaka. Polubił Cię od pierwszej chwili. Wiedziałaś o tym i chciałaś mu dać trochę szczęścia kosztem ogromnego wysiłku z Twojej strony. Poświęciłaś mu kilka cennych minut Twego i tak krótkiego wypoczynku. Potem Kajtuś wskakiwał na Twoją kanapkę i układał się na poduszce obok Twojej głowy. Zasypialiście oboje tak szybko, że nigdy nie mogłam zgasić światła, by nie raziło Cię w oczy. Pytasz się, Joanno, co dzieje się z Kajtkiem. Jest teraz u moich rodziców. Ciężko chorował na zapalenie płuc. Szybko się starzeje i nawet biedak ślepnie. Ale nie żałuj go tak bardzo. Ma on zapewnioną piękną, kocią starość. Ciepłe mleczko, świeże morskie ryby i fotel z miękką poduszką. Fotel ten stoi w zimie przy piecu i Kajtuś sypia na nim tak długo, jak tylko sam chce. – „Ma prawo sypiać, ile chce – powiadasz – skoro nie ma żadnych obowiązków”. A właśnie widzisz, Kochanie, w tym trochę żartobliwie powiedzianym zdaniu jest wiele Twojej własnej zarówno intuicyjnej, jak i przemyślanej prawdy. Miałaś wtedy 10 lat, a zdawałaś sobie doskonale sprawę, jak ważnym jest jak najlepsze wykonanie zadań, których się podjęłaś. To nic innego, jak tylko obowiązek, Joasiu, budził Cię po dwóch czy trzech godzinach snu. Siadałaś na kanapce i cesałaś warkocze. Budziłam się też. Zmęczenie przykuwało moją głowę do poduszki. – „Joasiu, wczoraj była generalna próba, a dziś premiera. Będziesz zmęczona, może jednak zrezygnujesz z pójścia do szko-

ły...” lub: „Jesteś po przedstawieniu i całonocnym fotografowaniu, a o ile wiem, to dzisiaj nie masz ważniejszych lekcji w planie, więc może...”

Długa chwila milczenia. Widziałam, jak odbywa się krótka walka. Ciepły pokój, miękka poduszka, mruczący Kajtuś, wszystkie mięśnie jeszcze tak bardzo chcą spać. Poczucie obowiązku zwyczają. Wstajesz, bierzesz ręcznik i mówisz: „Umyję się, zjem śniadanie i wcale nie będę zmęczona. Prawda, Kajtuś?”

Widzisz, Joasiu, kiedy wspominamy z Tobą tamten okres sprzed trzech lat, to muszę Ci teraz wyznać, że wzruszałaś mnie wtedy i imponowałaś mi. Wzruszałaś mnie, bo miałaś w sobie wdzięk i prostotę dziecka, małej, uroczej dziesięcioletniej dziewczynki, a imponowałaś mi niezwykle w Twym wieku dojrzałością. Z całą powagą traktowałaś wtedy zarówno lekcje w szkole, jak i pracę w teatrze. Sztukę już znałaś. W *Ich czworo* Zapolskiej grałaś kilka lat przedtem we Lwowie. Mimo to próby nie były dla Ciebie ani nużące, ani męczące. Z całą powagą i zainteresowaniem słuchałaś uwag reżysera, starałaś się do nich dostosować. Pracowałaś tak, jak pracuje dojrzały aktor. Równocześnie dla teatru ani na chwilę nie zaniedbałaś nauki. Pamiętasz, jak odrabiałaś zadania szkolne w garderobie między jednym wejściem na scenę a drugim? Przychodziłam wtedy do Ciebie i dziś sama nie wiem, czy bardziej Ci pomagałam, czy przeszkadzałam w robocie. Tyle zawsze miałyśmy sobie do powiedzenia. A że należę raczej do osób gadatliwych, tego masz najlepszy dowód z dzisiejszej naszej rozmowy.

*Maria Kaniewska*⁷⁶

⁷⁶Wówczas artystka Teatru Kameralnego, później artystka i reżyserka w Filmie Polskim.

„JOANNA Z ŁODZI”⁷⁷

Mamy wszyscy w świeżej jeszcze pamięci tragedię, jaka przed trzema tygodniami rozegrała się na jeziorze Gardno. Przejazdźka po tym jeziorze miała zakończyć pobyt drużyny harcerzek łódzkich, które przebywały w obozie w Gardnie.

Czterdzieści harcerzek pod opieką nauczycielki zajęło miejsca w łodzi motorowej i drugiej doczepionej. Na skutek paniki, spowodowanej przedostaniem się wody do łodzi motorowej, znajdujące się w niej harcerki przeniosły się do łodzi przyczepnej. Nie wytrzymała ona zbyt wielkiego ciężaru i przewróciła się. Siedemnaście harcerzek wydobyli z wody bawiący na brzegu jeziora milicjanci, natomiast nauczycielka i 24 harcerki zatonięły. Ich zgon okrył żałobą ponad 20 rodzin łódzkich.

Nie tylko jednak rodziny poniosły bolesną stratę na skutek tak bardzo przedwczesnego zgonu córek, które rokowały na przyszłość najlepsze nadzieje. Strata wykracza bowiem w nie mniejszej mierze także poza zasięg życia rodzinnego. Tak wśród ofiar znajduje się 13-letnia łodzianka Joanna Skwarczyńska, która, mimo młodego wieku, zapowiadała się jako przyszła wielkość teatru polskiego.

Kiedy na wiosnę 1944 roku grupa aktorów i literatów zainicjowała urządzenie we Lwowie, który wówczas pozostawał pod okupacją niemiecką, przedstawień teatralnych, by żywym słowem oddziaływać na społeczeństwo polskie, wybór padł na komedię Gabrieli Zapolskiej *Ich czworo*. Reżyserię objął Bronisław Dąbrowski, obecny dyrektor teatru krakowskiego. W ramach zespołu aktorского, obok Ireny Tomaszewskiej, śp. Teresy Sucheckiej, Tadeusza Surowy, brała udział Joanna Skwarczyńska w roli Lilusi. Premiera

⁷⁷Tytuł: „Joanna z Łodzi” stanowi aluzję do granej wówczas w Teatrze Kameralnym Domu Żołnierza w Łodzi sztuki Andersona: „Joanna z Lotaryngii”.

odbyła się w czerwcu 1944 roku na strychu plebanii parafii Św. Zofii, udzielonym przez misjonarza ks. Szleca i przerobionym na salę teatralną. Słowo wstępne o działalności pisarskiej Gabrieli Zapolskiej wygłosiła matka Joanny, dr Stefania Skwarczyńska, obecnie profesor Uniwersytetu Łódzkiego... Przedstawień *Ich czworo* w dobie okupacji odbyło się kilka, rzecz jasna konspiracyjnie.

Po oswobodzeniu Lwowa pod koniec 1944 roku przez wojska radzieckie powstał tam Państwowy Teatr Dramatyczny. Dyrektorem tego teatru został Bronisław Dąbrowski. By możliwie najrychlej uruchomić teatr, wystawiono w dniu 19 sierpnia 1944 roku to, co miano gotowego, to znaczy *Ich czworo* w obsadzie poprzednio wspomnianej premiery. Tym samym 9-letnia wówczas Joanna Skwarczyńska grała nadal rolę Lilusi. Znalazła się nawet na liście stałego personelu aktorskiego, ze stałym wynagrodzeniem. W krótki czas potem odbyła się premiera *Wesela* Stanisława Wyspiańskiego w inscenizacji i reżyserii Bronisława Dąbrowskiego, który równocześnie grał rolę Stańczyka. Rolę zaś Isi grała Joanna Skwarczyńska. Recenzje w prasie lwowskiej, zwłaszcza Jana Brzozy w „Czerwonym Sztandarze”, wyrażały się w niezwykle pochlebny sposób o grze 9-letniej aktorki. Ponadto dyrektor Dąbrowski w piśmie z dnia 27 kwietnia 1945 roku zaznaczył, że Skwarczyńska „wywiązała się ze swego zadania bardzo dobrze i zyskała ogólne uznanie prasy i publiczności”.

Rodzina Joanny przeniosła się z biegiem czasu do Łodzi. A kiedy Łódzki Teatr Kameralny na przełomie zimy i wiosny 1946 roku wystawiał *Ich czworo* z Mirą Zimińską, rolę Lilusi objęła znów Joanna Skwarczyńska. I w Łodzi stała się ulubienicą publiczności i aktorów. Kiedy Skwarczyńska, wypowiadając w rozmowie z ojcem słowa: „Nie mam mamusi nic mówić?” zalewała się strugami prawdziwych łez, widownia reagowała również łzami.

W ubiegłym roku Skwarczyńska brała udział w wystawieniu przez szkołę przy ulicy Narutowicza 58, do której uczęszczała, w sali łódzkiego teatru „Lutnia” baśni Ewy Szelburg-Zarembiny i w

przedstawieniu w obozie harcerskim w Olberytynie pod Kłodzkiem. W przeddzień śmierci ponadto w przedstawieniu przy ognisku harcerskim w Gardnie Wielkim Skwarczyńska zmontowała program teatralnego przedstawienia pt. „Wędrówka po Polsce”, w ramach którego to programu wygłosiła jeden z wierszy Władysława Broniewskiego o Łodzi. Był to ostatni występ teatralny młodocianej artystki.

Miała też brać udział w realizacji filmu *Ulica Graniczna*. W związku z tym, spośród poddanych próbom kilku tysięcy młodzieży, drogą eliminacji przeszła przez finisz jedynie z Mają Broniewską.

Joanna Skwarczyńska była gorącą zwolenniczką ruchu harcerskiego i ostatnio zdobyła pierwszą nagrodę na licznie obesłanym konkursie ogólnopolskim wzorowej gawędy na temat miłości braterskiej i projektu ogniska harcerskiego. Omawiany projekt gawędy został skierowany do władz międzynarodowego związku harcerskiego. Pozostawiła też ilustrowany pamiętnik przeżyć harcerskich. Nieprzeciętną tę dziewczynę, poza talentem, inteligencją i umiłowaniem piękna, cechowała dobroć, promiennność i dziecięca wesołość; ponadto – mimo odnoszonych sukcesów – skromność. Nie przewróciło się jej w młodej głowie, że umiała zabierać głos w dyskusji nawet na tematy literackie. Wiem o tym m.in. z wypowiedzi profesora Stanisława Łempickiego, który podkreślał jej szczególną znajomość utworów Wyspiańskiego.

Jeszcze jeden rys charakteru zasługiwałby na uwagę. Kiedy jedna z koleżanek martwiła się, że otrzyma gorszy stopień z języka francuskiego niż Joasia, ona prosiła nauczycielkę, by jej obniżyła stopień do poziomu stopnia martwiącej się koleżanki.

Joanna spoczywa we wspólnej koleżeńskiej mogile na Starym Cmentarzu Katolickim w Łodzi⁷⁸.

Henryk Eile

⁷⁸Tekst audycji nadanej przez Polskie Radio w dniu 18 VIII 1918, opublikowany wraz z fotografią Joanny w „Przekroju” (1948, nr 176).

ROZDZIAŁ V.

W OCZACH POEZJI

*Pisać wiersze
jest łatwiej,
niż czytać między wierszami...
Układać strofy,
niż posługiwać się językiem
niedopowiedzeń i przemilczeń...*

*Duchu poetów,
Duchu modlitwy serdecznej,
Duchu głośnego milczenia,
Pocieszycielu żałobników,
Przewodniku po Ojcowskim dziedzictwie –
Święty Nieśmiertelny!*

Józef Szczawiński

ET LUX...⁷⁹

Ręka zrywająca kwiat,
 niepomna na boleść drzewa –
 Ocala piękno kwiatu
 przed doskonałością owocu
 Rozpacz płonących nieb
 i śmierć odległych światów
 niczym są dla nas wobec
 uśmiechu zmarłego dziecka
 Nurkowie łowiący perły w morzach nam nieznanych
 Odnajdźcie jedno życie niekryte oceanem.
 Sierp mewy nad jeziorem i szepty wiatru w szuwarach
 tym co odeszły zastąpią światła, sławę i brawa.
 Trwały jest pomnik z obłoków, gdy serca ludzkie żłobią
 A słońce najchętniej ściele się na grobach.
 Pośpiesznie schodzimy ze sceny, nie czekamy oklasków
 czasem do brzegu dobić najlepiej o brzasku.
 Gdy smutek zaciąży oczom, niełatwo schylić głowę,
 Najprościej pytać dlaczego? – najtrudniej znaleźć odpowiedź.

.....
 A może życie jak głos
 gdy w ton wysoki uderzy
 Zamilknie dla naszych uszu
 istniejąc w rejonach radosnych⁸⁰

.....
 A może Bóg chce pieśń, którą stworzył, ocalić dla siebie –
 Niedokończona, świata zamilknie nagle o świetle.

⁷⁹Łac.: „A (lub: i) światło(ść)...” *Możliwe, że na powstanie tego tytułu miał wpływ biblijny opis aktu stworzenia przez Boga światłości, zawarty w Księdze Rodzaju (1,3).*

⁸⁰*Nasze uszy nie są w stanie rozpoznawać zbyt wysokich dźwięków – po prostu ich nie słyszymy, choćby nawet były bardzo silne. Poeta używa tu tego porównania ze zjawiskiem znanym w fizyce, by mówić o niebie jako o „rejonach radosnych” niedostępnych dla naszych ziemskich uszu.*

Wiesław Rustecki

JOANNA

Joanna ma lat trzynaście, a w oczach
 rzekłbyś kwiat i wiosna. Bo naprawdę
 jakaś jest inna i urocza.
 Lwów. Zimno. Cienie esesmanów na oknach
 To nie tęcza, Joanno, tylko noc cicha –
 Więc stara, dawno znajoma Gabriela Zapolska
 i masło na chleb i strach. A zapomnienie to Lilusia.
 Kościółek taki lubiany. Na dłoni można go ścisnąć
 i słuchać jak zadrży serce dla starej patronki, Joanno,
 dobrej świętej Zofii,
 bo premiera i Czerwona Armia, Młoda ludowa czerwień.
 Szkoła i Łódź⁸¹. Radość i wolność. Więc hymnem
 Płonie w grze jak każe dobry pan Erwin Axer.
 Moc koleżanek i czyjeś oczy szare na trybunie
 i harcerski mundur w antrakcie, czyli inaczej przerwie.
 Harcerki, harcerko, czar leśnych wędrówek,
 Wstęgi przebytych dróg i znojne ognisko dla ludzi.
 Dobrze wtedy pomyśleć o kochanej matce, a potem
 Dalekie echa jeziorne i trzciny przybrzeżne budzić.
 I wreszcie przystań jak namiot. Ciche jezioro Gardno,
 powietrze w płuca wciągnąć, że taki piękny jest świat –
 W niedzielę wycieczka, mała złotooka druhno –
 „Wycieczka? – wspaniale, nareszcie ku odległym łądom”.
 Miłość do świata rozwarła ramiona na oścież
 Wanda i Wawel. Polska – pieśń duszy i marzenie.
 „Idę do ciebie, wodo, idę do ciebie, wieczności...”
 Mówi los – czy ja? Czy jasna poświata na niebie?

⁸¹Poprawiono słowo „Łódź”, zmieniając pierwszą literę na dużą (zob. Ch 300).

Cienie na wodzie. A w domu rodzina, matka
 Może tam tęsknią, a ja tu płynę wesoło.
 Niedługo powrót, więc trzeba płynąć. Rejs ostatni.
 Śpiewa ptak – może życie? – tak radośnie i pogodnie...
 Łódź i szare oczy. Ten ptak wciąż śpiewa na brzegu
 Ktoś krzyknął... woda zielona jak zapomnienie, jak
 wieczność.

Rodzina, Łódź, scena... brzeg przeciwległy,
 Sen, przeszłość...

Joanna miała lat trzynaście. Żałoba
 Dwadzieścia istnień i śledztwo. I nigdy już oczy
 nie powiedzą, że jest, że była uroczą⁸²

(Załączony list:)

Drogi Panie Eile!

Przeczytałem z rozrzewnieniem pańskie wspomnienie o śp. Joannie Skwarczyńskiej. Los tego dziecka chodził za mną ciągle. Jakaś wina i niedbałość. Przesyłam Panu mój wiersz Jej poświęcony. To takie drobne i moje wspomnienie. O ile posiada jakąkolwiek wartość (jestem debiutantem⁸³ „Płomieni” – pisma dla młodzieży szkół średnich – w tym roku robię maturę), proszę go posłać, o ile można, Jej rodzicom. Mój sentyment wypływa stąd, że mam siostrę w Jej wieku. – Przesyłam pozdrowienia i dziękuję z góry.

Rusteki Wiesław

⁸²Wiersz ten autor dołączył do listu p. H. Eilego, autora audycji radiowej i wspomnienia „Joanna z Łodzi”, opublikowanego w „Przekroju” nr 176.

⁸³Z franc. début. Tutaj: początkującym autorem wierszy lub artykułów zamieszczanych w czasopiśmie.

Jerzy Hordyński

JOANNIE SKWARCZYŃSKIEJ

I znowu deszcz zatacza srebrne koła
I znowu noc i jak niepokój mgła,
Podejdzie mrok do serca i zawoła,
bym siedł po dźwięk, po wiersz co w chmurach drga.

Z imieniem twym odejdę w czas bezsenny
I zamknę cię w uścisku śpiwnym słów,
Choć dzisiaj ty wysoko i nade mną
dziewczęca pieśń, niepokojący nów.

I w pusty krąg przywołam twoje oczy
maleńki los, który oddalił Bóg,
bo w kropli dżdżu na szybie mej stukoce
ostatni cel ostatniej z twoich dróg.

Drobnutką śmierć – śmierć na poezję chorą
niech zgasi Ten, co czuwa nawet w śnie,
byś jeszcze raz zakwitła w reflektorach,
bym jeszcze raz zapłonął w twojej grze.

Niech w twoim tchu zamilknie ta noc szklana
i na twój szept pochyli niemą twarz,
patrz! Bije gong, jak wonnych gwiazd fontanna,
ach czemu ty za siną szybą łkasz?

To tylko noc uderza w obłok ciemny,
Nie wrócisz tu dziecięcą wznosząc skroń
i w głuchą czerń krzyk rzucę nadaremnie,
nim umrze lęk jak ponad tobą toń.

To tylko deszcz za oknem cicho pada,
jak na twój grób bukiet białych łez,
jak matek płacz na krzyżach listopada,
byś rósł mój wiersz poza twój świat i kres.

Ewa Szelburg-Zarembina

MATKA MÓWI DO JOANNY, MAŁEJ DZIEWCZYNI SIEDZĄCEJ NA PROGU STAJENKI

W Betleemskich domach białymi obrusami stoły nakryte do wieczery
Na stołach stoi siedem świec w świeczniku i biała bułka leży
Na łózkach pościel czysta świeżo powleczona
Miednice ciepłą wodą po wręby nalane.

Ale drzwi tych domów na zasuwę, na klucze szczelnie pozamykane –

Nie stukaj na próżno Józefie.

Chodźmy od tych niegościnnych mieszkań ludzkich za miasto
do skalnej stajenki.

Tam prześpi tę noc nasz maleńki.

Owieczko z ciepłutkim, mięciutkim runem
łagodna, milcząca owieczko,
podejdź tu do nas, bliżej, jeszcze bliżej, bliźniutko
aż do twardych, zimnych desek żłobka
– ogrzej nam sobą dziecko.

A dziecko leży nie na puchu,

na zmierzwionym, szorstkim, suchym sianie,

Między posłaniem dwu pracowitych zwierząt wołu i osła
jest jego posłanie.

Wole siwy, olbrzymie silny o płucach jak kowalskie miechy,
 o nozdrzach ruchliwych, szerokich
 tchnij tchem ciepłym na dziecko,
 spowiń je w twego oddechu gorące obłoki.
 Osiołku ze wszystkich istot najskromniejszy
 przez głupców niesprawiedliwie wykpiiony
 pochyl nad dzieckiem mięciutkie długie, długie, długie ośle
 uszy

– dziecko uśmiechnie się czule
 i włoży ci na nie korony,
 które przynieśli mu w darze trzej mędrcy, trzy króle

.....

Osioł własnym uszom nie wierzy,
 Wół ryczy z zachwytu i radości
 Owieczka przywołała jagnię:
 – Dam tobie ssać i dziecku, które jak ty
 ciepłego mleczka pragnie.

Stajenka pełna jasności
 Joanna usiadła na progu.
 Matka daje dziewczynce Niemowlę w pieluszkach
 i mówi: Zanieś je Bogu.

adwiga Gamska–Lempicka

WIERSZ DLA JOANNY

Zamiast słów patetycznych – kwiatów na szumnym pogrzebie
Zamiast metafor płaskich, zamiast rymowych pogmatwań
Rzucam w jezioro bezmiarów różę podobną do ciebie:
ciemną, rozkwitającą i pełną rosy jak światła.
Nie wiem czy dotrą do ciebie w rosarium gwiazdnym rosnącej
Te kruche płatki purpury w serca związane ciemni –
Rzucam je w fale bezczasu, w głębie wszechmiłujące:
Różę Twojego istnienia, które nie kwitło daremnie.

Listopad 1949

Zofia Ja[...]ńska

NIE PŁACZCIE MATKI

Nie płaczcie swoich dzieci,
Matki! Nie mówcie, druhnny,
Że nas, jak ścięte kwiecie,
Powalił los okrutny!

Dzień wiosną trwa najjaśniej,
Młodość tak ufna, szczerza...
Czy to jest szczęściem właśnie
W starości móc umierać?

Złote Szprotki, Muszelki,
Mewy i Żabki polne
U Bożej Rodzicielki
są zawsze młode, wolne!

I – czy gdzie Ziemia stara
Czy tu – na rajskim progu
Harcerska służy wiara
Ojczyźnie swej i Bogu!

Stefania Skwarczyńska

JOANNIE

Tobie się zdaje, moja maleńka,
iżeś umarła –
A to się tylko stara sukienka
na tobie zdarła –

Tobie się zdaje, moja Janulu
że ciebie nie ma –
A ty mi co dzień głowę otulasz
rączkami dwiema

Tobie się zdaje, że cię otacza
wieczne „to samo” –
A ty mi co dzień, coraz inaczej
powiadasz: mamó –

Tobie się zdaje, żeś zaciszona
w anielskim tłumie –
A ja mam co dzień dom napęczniony
Harcerskim szumem

Tobie się zdaje, jedyne szczęście,
żeś ponad krzyże –
A ty mi szepczesz, pomocna: „Wnieśmy
te twoje – wyżej”

Tobie się zdaje, żeś do dna skryta
gwiaździstym światłem –
A ty mi wszystko czymem niesyta
Czynisz tak łatwym – –

Tobie się zdaje, moje kochanie,
 żeś wniebowzięta –
 A przecież drepcą na zawołanie
 twoje nóżeta – –

Tobie się zdaje, że odpoczywasz
 w sennym spokoju –
 A tyś przy każdym, który cię wzywa
 – dziewczynko moja – –

Tobie się zdaje, moja maleńka,
 i żeś umarła –
 A to się tylko stara sukienka
 na tobie zdarła – –

ANIELCE⁸⁴

„Żle, źle zawsze i wszędzie
 Ta nić czarna się przędzie” –
 Bo się stara zdrzemnęła Lachezis⁸⁵
 – A dwie inne staruchy

⁸⁴Sam tytuł tego wiersza, będący jakby dedykacją, nie usprawiedliwia dostatecznie umieszczenia utworu w rozdziale I „W oczach domu” (zob. Ch 254). Przesunięcie tej pięknej „modlitwy” matki-poetki do zmarłej córki na to właśnie miejsce wydaje się logiczne z natury rzeczy.

⁸⁵Mit. grec.: trzy mojry (w mit. rzym. – parki) przędą nić ludzkiego życia w ten sposób, że Lachezis ją rozpoczyna, Kłoto przedłuża, zaś Atropos przecina, uśmiercając człowieka.

W wierszu wyczuwa się wielką tęsknotę matki za zmarłą córką, a może i tęsknotę za śmiercią, która kochające się istoty łączy w „zaświatach”. Matce Joanny „powtórnie lat trzynaście” na ziemi bez niej wydaje się udręką.

i sękate, i głuche
 przędą nić tę fatalną i płaczą –
 i splątana gruzłami i zgrużloną supłami
 wydłużają węzłami, które łączą – nie – kończą
 – ach, nić czarna bez przerwy się przedzie...
 Zbudź się, Wiedźmo najlepsza, Lachezis!
 – Wiedźmo u Wrót Tajemnicy...

Ustalono te sprawy,
 Postawiono granice
 nieb i piekieł, i jawy,
 Tego: „tam”, i tego „tu”
 – jeszcze nadto: samotnej,
 królewskiej krainy snu –
 jakieś ostre, kolczaste granice,
 krwawe tamy dla skrzydeł polotnych...

Tyś je jednak umiała pokonać
 Niby słodka, indyjska Savitri
 Miłosna i naprzykrzona,
 Niby młody, antyczny Orfeusz,
 wierny miłej jak mistrz arcydziełu
 – poprzez piekła idący z cytrą...

Tyś je jednak umiała pokonać
 Gdyś trzynaście przyniosła z zaświatów,
 z rajskiej łąki, zza zamkniętych drzwi – kwiatów.
 – Ty – z duszą przez miłość rozkwitła –

Kwitną mi kwiaty od Joanny
 Uszczknięte ręką twą we śnie,
 Z niebieskiej dali przychynięte –
 Kwiaty wysmukłe jako panny,
 Dziewczęcą wonią lat trzynastu
 promienne, świeże, proste, święte –
 raz tam rosnące, a raz tu –
 – kwiaty uszczknięte twoją ręką

Ach, skoro jesteś czarodziejką,
 Skoro masz władzę niczym w baśni –
 Niech Cię poproszę, zanim zwiędną,
 Zanim powtórnie lat trzynaście
 różową zdejmie aureolę –
 niech Cię poproszę o to jedno:
 byś – gdy przebudzi się Lachezis,
 gdy nożycami w nią uderzy,
 gdy pójdę wolą i nie-wolą,
 dała mi w kraj dalekich światów
 takich trzynaście żywych kwiatów.
 Prawdziwych kwiatów z życia – snu:
 Tylko nie pomył: nie do trumny,
 Lecz tam, gdzie będę – w kraje boskie
 przynieś mi kwiaty z ziemi – snu,
 prawdziwe kwiaty julianowskie⁸⁶:
 w kolory płatków utulone
 i zawstydzone przeniesieniem,
 i przeniesieniem słodko-dumne.
 To ty potrafisz: światło-cieniem
 przekroczysz grób i sen, i trumnę
 i dasz je sercem swym zwilżone...⁸⁷

⁸⁶ *Julianów to dzielnica Łodzi, w której mieszkała Joanna z rodziną.*

Poetka może mieć na myśli trzynaście lat ziemskich zmarłej córki, które w pełni oraz wszystkimi barwami rozkwitły w niebie. Chce je tam odnaleźć, ale też te „kwiaty” z dumą nieść aż do bramy nieba. Mogą być one dla niej symbolem wstawiennictwa Joanny „w drodze”, a więc na wszystkich etapach, które musi człowiek przebyć, z czyszcem włącznie.

⁸⁷ Anielce Kowalskiej śniła się Janusia pełna uroku i świeżości. Powiedziała jej: „Pani Antylopo” – tak ją nazywaliśmy żartobliwie – „ja strasznie kochałam swoją mamusię. Chciałabym, aby tych trzynaście lat było dla niej jak trzynaście kwiatów”. Anielka pod wrażeniem tego snu przyniosła mi śliczną, rozkwitłą doniczkę fiołków alpejskich. Jakież zdziwienie, gdy się okazało, że kwiatów – o czym ona nie wiedziała – było właśnie trzynaście! Ten wiersz składam Anielce w podzięcie za kwiaty ze snu i nieba.

Z.S.⁸⁸

JAK LUDZKA TĘSKNOTA...

Już nie stąpają twe łapki cicho po miękkim dywanie,
Nie wieszysz już po szafkach – nie szukasz waleriany.

Umilkł twój miauk za oknami – i nie brzmi już nigdzie podiebem,
Nie otrze się o nogi twój bury, mądry łebek.

Kot zwierzak mały, nieważny, czy warto żałować kota?
Nie warto; kot zwierzak mały, nieważny jak ludzka tęsknota.⁸⁹

È È È

S.S. (matka Joanny)

⁸⁸Prof. dr Zdzisław Stieber, wielki przyjaciel Joanny, wspólny im był kult idei harcerstwa.

⁸⁹Pożegnanie Murmura, jej kota, który zginął krótko po jej śmierci. Ale to wiersz o niej, o tęsknocie za nią.

(Z łac. „murmur” – „mruczenie” – uwaga ks. A.S.)

ROZDZIAŁ VI.

ŻYCIE WEWNĘTRZNE JOANNY

*Dwa są tylko szablony do kopiowania,
fe, jak brzydko!
dwa nieomylnie Wzory Świętości: Jezus-Maryja.
Po cóż więc...*

*Zasiadają poważne komisje,
roztrząsają heroiczność cnót, szufladkują:
1. roztropność, 2. sprawiedliwość,
3. męstwo, 4. umiarkowanie...*

*Pęczniej teczki akt,
malarz chce zarobić na nowej aureoli nad starą głową...*

*A przecież można tak zwyczajnie,
nawet bez komisji,
aby tylko zawsze pod okiem Ojca
na karuzeli w wesołym miasteczku życia
omijając jednak diabelski młyn
i fikając koziołki
jako w niebie tak i na ziemi,
jako na ziemi, tak i w niebie.*

Halina Soporek

UWAGI O ŻYCIU WEWNĘTRZNYM JOANNY

O życiu wewnętrznym Joanny, o jej duchowych przeżyciach trudno jest mówić nawet tym ludziom, którzy – tak jak ona – obserwowali Ją z bliska. Pełna uroku, świetlana postać Joanny, jaka nam pozostała w pamięci, to jednak zdrowe, wesołe i naturalne dziecko, jakkolwiek odznaczające się niewytłumaczonym urokiem. Żyła między nami jak świetlany promyczek – nie przypuszczaliśmy, że tak szybko zgaśnie. I ci, którzy korzystali z Jej obecności, ci, których urzekała swoim wdziękiem, rzadko zastanawiali się za Jej życia, skąd ten niezwykły urok płynie.

Zawsze czynna, zawsze promienna, obowiązkowa uczennica, serdeczna przyjaciółka, żyła obok nas, gotowa do usług, skłonna do wyrzeczeń – i całkowicie zamknięta w sobie. Joanna nie odkrywała przed nikim swego serca. Zazdrośnie strzegła jego tajemnic, strzegła bogactwa swego wewnętrznego życia. Znał Ją tylko – i to fragmentarycznie – spowiednik Joanny. A wiedział wszystko o tym jasnym i prostym sercu – tylko Bóg.

Joanna nigdy nie ujawniała swoich przeżyć. Szczera, naturalna i serdeczna, jako dziecko żyła jednak intensywnie nad wiek dojrzałym życiem wewnętrznym. Można się było tylko domyślać; przypadek tylko pozwalał zajrzeć niekiedy w głąb Jej pięknej duszyczki.

Joanna z prawdziwą słodyczą darzyła miłością świat i ludzi. Była ta miłość odbłaskiem nadziemskiego miłowania, bo Królem Jej duszy, Panem Jej myśli był dobry Bóg.

Niewinna i słoneczna, była Joanna pomimo młodego wieku dojrzałym intelektualnie i psychicznie pełnym człowiekiem. Z nikim nie dzieliła się swoimi najgłębszymi myślami. Dziś wiemy, że

pogodę swoją, ofiarność, radość i czynienie dobrze drugim czerpała Joanna z niezłomnych walorów naszej wiary.

Kiedy poznałam Joannę, zdobyła ona sobie od razu moje serce, ale wiedziałam o Niej bardzo mało. Z prawdziwie chrześcijańską skromnością, z tą wstydlivością duszy wzniosłej i pokornej zarazem – kryła się Joanna ze wzruszeniami, jakich doznawała przy modlitwie, czy przy przystępowaniu do sakramentów świętych.

W naszym harcerskim życiu Joanna wyróżniała się zawsze gotowością do służenia innym. Jest to zwykłe u dziewczynek o dobrym sercu, ale u Joanny ta gotowość do służenia, do niesienia pomocy, do udzielania opieki, do ponoszenia ofiar graniczyła z poświęceniem.

Druhny pamiętają dobrze wzruszającą ofiarę Joanny, która niejednokrotnie – jak to było w obozie w Olbertynie – wyrzekała się przyjemności wycieczek, by zostać w obozie przy chorych. Pielęgnowała chore z zadziwiającą tkliwością i serdecznością. A było to przecież dziecko spragnione przyjemności i rozrywki. Nie wiemy, czy te czyny wyrzeczenia były dobrowolnym umartwieniem, czy spontanicznym samarytańskim odruchem – jedno jest niewątpliwie, że gorliwość służenia innym płynęła z głębi pobożnego i miłującego serduszka Joanny.

Niezapomniany był dla mnie moment, kiedy mimo woli stałam się świadkiem tajemnicy mojej małej przyjaciółki. Było to w wigilię Nowego Roku. Zwyczajem swoim chciałam powitać Nowy Rok przez pojednanie się z Bogiem w sakramentach Pokuty i Komunii świętej. Wstąpiłam więc wieczorem do kościółka w Dolinie Kościeliskiej. Zmierzając do konfesjonału, zobaczyłam nagle przy nim naszą Joannę. Tutaj skryła się nasza mała harcerka, żeby w ciszy i samotności zrobić obrachunek swoich czynów. Pełna skupienia, zatopiona w modlitwie, nie zauważyła mojej obecności. Wycofałam się ostrożnie, żeby nie przerywać Jej modlitwy, żeby nie

płoszyć Jej.

Wróciła roz pogodzona i szczęśliwa, ale nie przyznała się do przyczyn swojej radości. Nie brała tylko udziału w ogólnej wieczerzy, poszcząc przed noworoczną Komunią świętą. Tego dnia odkryłam źródło, z którego płynęła promienna radość Joanny. Siłę swoją, hart ducha, oparcie znalazła Jej jasna dusza w Boskiej opiece.

Joanna nie życzyła sobie, by ktokolwiek mógł wtargnąć w jej życie duchowe. Dzieliła się jednak z nami swoją radością. Pragnęła, byśmy wszystkie dostąpić mogły pociechy i szczęścia, jakie daje szczere i głębokie obcowanie z Bogiem. Prowadziła wśród koleżanek apostolską pracę – nie słowem, nie przez namowy, ale przez działanie przykładem. W ten sposób nakłoniła koleżanki, by przed wyjazdem na obóz udały się gromadnie do spowiedzi i Komunii św.

Współżyjąc blisko z Joanną – tym bardziej, że domyślałam się już Jej głębokiej religijności – mogłam obserwować Jej życie.

Widać było, że ta dojrzała umysłowo dziewczyna, pełny człowiek o bogatym sercu – przechodzi jakieś ciężkie walki wewnętrzne. Nie wiemy, co się działo w Jej mężnym i ofiarnym serduszkach. Wiemy natomiast, że z tych wątpliwości, burz, zmagania, wychodziła Joanna jeszcze promienniejsza, jeszcze bardziej opanowana, łagodna i ofiarna niż przedtem.

Wielką pomocą i radością był w życiu Joanny kult dla Matki Najświętszej. Wzruszające było oddanie tego dziecięcego serca, z jakim Joanna zbliżała się do ołtarzy Matki Bożej. Przypominam sobie moment, kiedy to zaproponowałam Jej wspólny wyjazd. Był to okres trwania Targów Poznańskich, wiedziałam, że wyjazd do Poznania będzie dla Joanny wielką radością, pewna byłam, że przyjmie moją propozycję z ochotą. Ponieważ jednak planowałyśmy następnie wspólny wyjazd do Częstochowy, zaproponowałam Joannie do wyboru: pielgrzymkę do Częstochowy lub wyjazd do

Poznania. Przyznam się, że zdziwił mnie wybór: „Naturalnie Częstochowa”. To, co dla mnie wydawało się z początku dziwne, było dla Joanny oczywiste. – „Naturalnie, najpierw trzeba odwiedzić naszą Królową”. – Przez cały czas pobytu w Częstochowie wzruszona byłam Jej pobożnością, przejęciem się Joanny. Kiedy w kościele Świętej Barbary staruszcza kościelna opowiadała nam legendę o pochodzeniu cięć na pięknej twarzy Matki Boskiej Częstochowskiej, Joanna aż się zmieniła z przejęcia, wielkie łzy świeciły w Jej oczach. Drogę Krzyżową na Wałach Częstochowskich odbyła jak prawdziwa święta. Widać było, jak boleśnie odczuwała każdy moment męki Syna Bożego, który życie swoje złożył za nas wszystkich. Przy ostatniej stacji – złożenie do grobu – przesiadła Joanna w kontemplacji długie chwile. Doprawdy serce widza zbudowane byłoby tym, jak mocno przeżywała Boże męczeństwo.

Nie wiedziałyśmy, że niezaługo zabierze Ją Bóg z ziemi. Że chyba po to wyposażył to piękne dziecko w tyle przymiotów ducha i ciała, chyba po to błysnął w tym krótkim życiu żywym przykładem swej łaski, żeby pobudzić nasze oschłe serca do działania, żeby zmusić ośpałych i obojętnych do zastanowienia się nad wiecznymi prawdami.

W pamięci naszej pozostanie Joanna naturalna i prosta, a przecież wywyższona dzięki pełnej skromności duszyczce. W pamięci rówieśniczek i przyjaciółek zostanie Joanna odważnie przyjmująca śmierć, na próg nowego życia wprowadzająca ginącą gromadkę modlitwą „Pod Twoją obronę...”. Wierzmy, że ukochana Jej Niebiańska Matka przysparzała Joannę, a za Jej wstawiennictwem i te dziecięce duszyczki, które Ją kochały.

Stefania Skwarczyńska

JOANNY ŻYCIE WEWNĘTRZNE

(parę uwag na poczekaniu)

1) Joanny życie wewnętrzne... K r y ł a je przed ludźmi, nie mówiła o ź r ó d ł e , zapewne bojąc się słów uznania.

Zorientowaliśmy się po śmierci, że niemal co dzień chodziła do Komunii św., bo wychodziła z domu o świcie bez śniadania i wytrwale znosiła wszystkie skarcenia za to, byle ustrzec swej tajemnicy. Zapewne z tego względu chodziła nie do kościoła julianowskiego, ale do OO. Jezuitów, gdzie ją zobaczyła też Teresa Dmochowska koło 6 rano. Potem szła do szkoły, gdzie przed lekcjami uczyła słabsze koleżanki.

2) Miała nastawienie m i s y j n e . Przed wyjazdem do Gardna starała się zorganizować wspólną Komunię świętą. Zorganizowała. Pociągnęła koleżanki do Boga, działając bardzo subtelnie, „od niechcenia”.

3) Bolała ją k r z y w d a B o g a . Tuż przed wyjazdem do Gardna wybuchnęła łzami, że na zakończenie roku nie pozwolono szkole iść do kościoła pod pozorem deszczu. „Jak gdybyśmy nie mokły tyle razy dla pochodów”.

4) Miała w sobie d u c h a u m a r t w i e n i a , lecz kryła się z tym. Szalenie lubiła lody. Wiosną 1948 roku – aż do śmierci – wyrzekła się ich. Wiadomo było w domu, iż lodów „nie jada” – nie wiadomo było dlaczego.

5) Joanny p o k o r a . Nie znam stworzenia mniej o sobie mniemającego, strzegącego się pokusy zadowolenia z siebie i zarozumiałości. Potrafiła wybuchnąć gniewem na pochwałę.

Pamiętam, że kiedy raz w takiej sytuacji podsunęłam jej myśl, że ten gniew wynika stąd, iż pochwała równa się podkreśleniu jednorazowej „doskonałości”, a ona pewnie w głębi duszy uważa, że wszystko robi doskonale – schyliła główkę z bólem i powiedziała: „może tak jest, jak mamusia żartuje”.

6) Każdy był więcej wart od niej. Zawsze znalazła w nim cechy, które w nim uważała za wyższe od swoich. Gorąco i szczerze umiała uznawać i podziwiać. A nade wszystko kochać.

7) Miłość i poczucie odpowiedzialności za drugiego, za równych sobie wiekiem i młodszych. Za starszych i dorosłych. Umiała ludzi prowadzić spojrzeniem, grą twarzy. Znam kogoś dorosłego, kto twierdzi, że ta dziewczynka doprowadziła świadomą akcją do jego zupełnej przemiany wewnętrznej – ostatecznie dokonanej już po jej śmierci. – Śp. H. Eile, który ją znał jako dziewczynkę, wziął ze sobą do grobu tajemnicę jej wpływu na siebie. Nie rozumiem jak to możliwe, ale powiedział przed śmiercią o niej: „Są dzieci, które przebiegają drogę człowiekowi, aby go pociągnąć w jasność”. – Działała i modliła się za błądzącymi. Bóg dał jej łaskę wyproszenia nawrócenia na łożu śmierci ateisty i – według opinii – naprawdę niedobrego człowieka.

8) Unikała krytyki innych. Wypowiadała się o innych ujemnie tylko przymuszona obowiązkiem. Natomiast postawa uznania była jej postawą zwykłą. Wbrew całej komendzie harcerstwa zdecydowano unisono wyrzucić którąś z dziewcząt z Organizacji – 12-letnia Joanna ośmieliła się przeciwstawić tym argumentem: „Jeśli my ją odrzucimy – kto weźmie odpowiedzialność za jej dalsze losy, dokąd pójdzie?” – I wygrała sprawę.

9) Nie było granic jej ofiarności i bohaterskiego poświęcenia. Wyrzeczenie się ambicji dobrego stopnia, aby nie

upokorzyć koleżanki słabszej (szkoła), zniżenie się do niveau zespołu na prywatnych lekcjach angielskiego, aby się nie wyróżnić, wyrzeczenie się długo oczekiwanej radości: wycieczki na Śnieżnik, i to dwukrotnie: za każdym razem były chore w obozie i „ktoś musiał z nimi zostać – czemuż nie ona?” Wyrzeczenie się niedzielnej, od dawna organizowanej, wycieczki z Łodzi, aby pomóc pani D. w urządzeniu imienin męża; wyrzeczenie się odpoczynku po ciężkim obozie, aby wyręczyć przy trojgu małych dzieci zapracowaną matkę bez pomocy domowej. Wyrzeczenie się lepszej sukienki na rzecz tańszej, aby nie obciążać mamusi pracą. Wyrzeczenie się słodczy dla innych na obozie, etc. etc.

10) Joanna nie miała nic swego. Sukienki, bluzki, książki, pieniądze należały do tego, kto ich potrzebuje. Wszystko dawała, „pożyczała” z jakąś ujmującą tkliwością, dziękowała w domu za pomoc w niesieniu pomocy... Zresztą słysząc zasadę, że „moje jest tak długo moje, dopóki nie znajdzie się ktoś, kto tego bardziej potrzebuje” – potrafiła z prostotą i przeraźliwą konsekwencją wypożyczać rzeczy siostry i matki, brać dla biedaków pieniądze... Ano, święci nie są wygodni...

11) Joanna uważała, że każde dobro należy się raczej drugiemu niż jej. Umiała się cieszyć z cudzego powodzenia, tam nawet, gdzie było ono jej kosztem. Gdy jej powiedziałam, że Ford do *Ulicy Granicznej* wybrał Maję, a nie ją, odpowiedziała z uroczym uśmiechem: „Jak to dobrze, Maja taka ładna”.

12) Joanna była mężna. Już w Łodzi, wzięła na siebie niepopelnioną winę za całą klasę – za ucieczkę ze szkoły na „prima aprilis.” Gotowa była ponieść karę za koleżankę słabszą, dla której byłoby to katastrofą. Nazwisko jej nie zostało ujawnione nigdy. Joanna natomiast została chwilowo pozbawiona jakiegś godności szkolnej. – Joanna umarła ratując inne, mimo że mogła myśleć tylko o sobie. Świadkiem jej postawy w ostatniej chwili – oprócz zeznania

świadków – jest jej mundurek: podczas gdy wszystkie dziewczęta, uratowane i zmarłe, miały ubrania poszarpane we wzajemnej instynktownej walce o miejsce przy łańcuchu czy motorówce – Joanny mundur jest jak nowy. Nie brała udziału w walce o swoje życie. Ratowała inne – na siebie brakło jej czasu.

13) Joanna była przedziwnie czysta i wstydliwa. Jej uroda i urok przyciągały do niej zainteresowania i „westchnienia”. Joanna wstydziła się nawet wiedzieć o tym. Czarująca w swojej naiwnej dziewiczości.

14) Joanna była tytanem pracy – żyła ideą, pracowała dla Boga, drugih i sprawy.

15) Jej pełnia wewnętrzna tak rzucała się w oczy, że po dwumiesięcznym jej niewidzeniu, a było to na miesiąc przed jej śmiercią, przychwyciłam się na myśli, że przed nią nie ma już przestrzeni duchowej do pokonania – że osiągnęła jakiś szczyt. Doprowadziła do tego, że żyła już poza sobą.

16) Joanna była cierpliwa w cierpieniu, chorobie. Ciężko parokrotnie chorowała, raz zdawało się, że śmiertelnie. Nigdy się nie poskarżyła, nie jęknęła, bała się kogokolwiek absorbować sobą, jakby swoją cichością chciała przeprosić, że choruje. Martwiła się ceną lekarstw, lekarza, kosztem pogrzebu. I to jej życzenie Bóg spełnił. Jej pogrzeb na koszt miasta...

17) Joanna miała niebywałe poczucie hierarchii wartości. Umiała pokazać drugiemu pierwszeństwo najprostszych, nudnych obowiązków przed efektownym gonieniem za celami dalszymi.

18) Joanna umiała milczeć. Ujawniała siebie przede wszystkim czynami, a „moderowała” drugih ekspresją oczu i twarzy. Milczała wobec niepokoju, bólu, wewnętrznych umartwień, w których się tylko paliła jak ogień.

19) Joanna kryła swoje powodzenie. Po jej śmierci

dowiedzieli się najbliżsi, że była ogólnopolską laureatką za opracowane ognisko harcerskie, które reprezentowało Polskę na terenie międzynarodowym. Zdołała ukryć w harcerstwie swój kontakt ze sceną tak, że w obozie w Olbertynie dostała w zastępstwie chorej dziewczynki główną rolę ze względu na... piękne swoje warkocze. No, a potem olśnienie... Zdołała przemilczeć w domu swoją rolę w harcerstwie łódzkim i swoje sukcesy wśród asów harcerstwa na zjeździe zakopiańskim, gdzie dziecko 12-letnie wśród dorosłych przeforsowało kilka swoich tez.

20) Była zawsze dzieckiem. Prawdziwe dzieciństwo, prostota, nic z *Wunderkinda*, dojrzałość duchowa w ramach pełnego dzieciństwa.

21) Wiedziała, że wkrótce umrze. Powiedziała mi to w rok po jej śmierci jej koleżanka. Podobno w Gardnie na parę dni przed śmiercią powiedziała jej: „Wiem, że niedługo umrę. Idzie o to, aby z radością oddać Bogu wszystko, co mi dał”. Jak dziecko porało się w sobie z tą okrutną tajemnicą? Jak godziło ją z niegasnącym na twarzyczce uśmiechem, z promiennością, która garnęła w zaczarowany krąg jej miłości dorosłych, rówieśników, dzieci – nawet koty-przybłędy?

22) Joanna była twarda i wytrwała. Każde zadanie sobie postawione doprowadzała do końca nie licząc trudów, wysiłków, nocy bezsennych, nie zrażając się przeszkodami.

23) Joanna była opiekunką. Nie znam drugiej istoty, która by w tym stopniu umiała brać całkowitą odpowiedzialność i ogarnąć opieką wszelką troskę. Opieka nad dziećmi, towarzyszkami. Nad siostrą, nade mną. Nikt nigdy w życiu nie okazał mi takiej troski i nikt się mną tak nie opiekował, jak ona. Przynosiła jedzenie, gdy o nim zapomniałam, robiła kawę bez wezwania, okrywała wieczorem cieplej, gdy było zimno. Przy chorej zmieniała okłady co kwadrans;

przesiedziało 12-letnie dziecko przy mnie chorej, nie dając się zastąpić nikomu. I to opiekuństwo zostało jej udziałem w niebie, opiekuje się nadal stamtąd w wyraźny sposób.

24) Rozkochana w pięknie – sama była poezją i pięknem. Pięknem duchowym, niepokojącym wszelką małość. Niczego nie słyszało się tak często, jak określenia tego tak prostego dziecka: niepokojąca; zapewne: niepokojąca tajemnicą Boga.

25) W sumie Joanna nie ma [odpowiadającego sobie] modelu w hagiografii. Jest sama sobą. Rozkwitła świętością w sposób sobie tylko właściwy z ziarna, które posiał w niej Bóg.

Matka

PS. Można by dodać szereg obrazów z jej życia: Kazachstan, jej ciężka tam praca i wyrzeczenia, powrót, bieda okupacyjna – itd. Oraz dzieje jej działania z nieba – poważna ilość tak zwanych przez nas „kawałów Joanny”, wyrażających się przede wszystkim w dziejach różnych dusz (nawrócenie i zmiana życia), dalej w dziejach cudownego odwrócenia niebezpiecznych i tragicznych węzłów życiowych. O łaskach za jej przyczyną świadczą wota na cmentarzu (w tej chwili 19, szereg „znikło”), kult szerzący się (m.in. wśród najbiedniejszych, np. na Dołach), wreszcie listy, którymi się różni ludzie zwracają do matki z prośbą o modlitwy za jej sprawą lub dziękują za łaski przez nią uproszone u Boga, co świadczy o żywym trwaniu w kręgu jej oddziaływania.

Jan Rybalt

Fragment *Rozmyślań*
o *Tajemnicach Różańca* (Zwiastowanie),
pisanych w 1948 r.,
kilka miesięcy przed śmiercią Joanny,
z myślą o Niej.
Kopia z brulionu (niepoprawiona).

Ona, Panna z Nazaretu z ziemi galilejskiej, została umieszczona w centralnym punkcie historii świata, jako najdoskonalsza personifikacja⁹⁰ ideału, szczytowe arcydzieło Bożego kunsztu. Lecz już od zarania dziejów Ręka Boskiego Artysty, jak gdyby wiedząca niecierpliwością stworzenia wreszcie tego cudu, jakim miała być Ona, rzucała raz po raz na płótno czasów szkice, próbne wprowadzie, ledwie zarysowane, niemniej niosące zapowiedź Jej obrazu. Figury Panny z Nazaretu w Starym Testamencie... Rebeki skupione i zabiegliwe, Estery delikatne jak jagnięta i mężne jak lwy, Judyty bojaźliwe przed Bogiem, ale w obliczu zła nie znające trwogi ni kompromisów.

Ale dopiero pod prawem Nowego Przymierza miały się sprawdzić słowa: „Przywiodą Królowi panny za nią, przywiodą Królowi bliskie Jej”⁹¹. Ręka Mistrza w niebiesiech, jakby żał jej było rozstać się z pomysłem twórczym, który to arcydzieło wydał, raz po raz znów szkicuje Jej kopię, odbitkę błędą wprowadzie, ale znaczoną piętnem podobieństwa do Niej. Dopiero pod Prawem Nowego Przymierza wyruszy spod łuku jego tęczy pochód mądrych

⁹⁰Z łac.: uosobienie, upostaciowanie, odwzorowanie, zobrazowanie, forma, jaką ten ideał przybrał.

⁹¹Ps 45, 14-16:

*Cała pełna chwały wchodzi córą królewską;
Złotogłów jest jej odzieniem.
W szacie wzorzystej wiodą ją do króla;
za nią dziewice, jej druhny...*

panien, które są zarazem dziećmi – z tych, którym jako jedynym zostanie przyznane prawo obywatelstwa w Królestwie Niebieskim – i dorosłym mądrością, przewyższającą mądrość Salomona. I tak już idąc przechodzą one pomiędzy nami, aby widokiem swym rozjaśnić zmętniałe od pyłu i potu łez oczy synów tej ziemi.

Ach, dziękujmy Bogu, dziękujmy Mu za tę łaskę najwyższą, iż wzór Panny z Nazaretu gwarantuje nam nieśmiertelną ciągłość rasy mądrych panien, „dorosłych dzieci”, z których ust uczynił On sobie chwałę doskonałą, a z których serc utworzył łono wieczystego „wcielania swych natchnień”. Dziękujmy Bogu za to, iż pośród nas niegodnych żyją one i umierają, ażeby powróciwszy do ojcowskiego domu, wyrwać promienie z ogniska niebieskiej chwały⁹² i śłać je na ziemię jako zapowiedź, iż przyjdą po nich nowe.

Tak, dzięki miłosierdziu Najwyższego, znamy takie „dorosłe panny”. Postacie szczupłe, w swej dziewczęcej skromności trochę niezręczne, przywodzące na myśl Madonny prymitywistów⁹³. Twarzyczki rozbajająco dziecięce, do których wyraz dostojnej powagi i napiętego skupienia przywiera jak paradoks urzekający a osobliwy, na widok którego patrzącym napływają do oczu łzy gorące rozrzewnieniem i czcią, to znów wzrok świętokradczy opada, jak gromem rażony. Brwi ich delikatne jak czujki motyla, ściągają się często z natężoną uwagą. Nad czym? – Nie wiadomo. A czoło bardzo białe, swym lśnieniem musiało zrodzić symbol aureoli. Rumienia się łatwo, nie rumieńcem zakłopotania lub bezpodstawnego wstydu, ale odbiciem i tchnieniem żaru, o którego pochodzenie trzeba by zapytać Ducha Świętego, gdyby było wolno. Mają powieki trzepotliwe, jak gdyby mrużące się przed nadmiernym blaskiem słońca niewidocznego dla innych oczu. Powieki opadające czasami znienacka nad źrenicami o przedziwnej głębi ciemnej lub błękitnej,

⁹²Może aluzja do mitycznej postaci Prometeusza, ukaranego za wykradzenie i danie ludziom ognia z Olimpu-góry bogów.

⁹³Malarzy, którzy w sposób „prymitywny”, jakby częściowo wzięty ze świata dzieci i ich obrazków (choć niektórzy z nich ukończyli nawet studia), przedstawiali świat. Jednym z najbardziej znanych prymitywistów polskich był Nikifor.

jak gdyby chciały zakryć, zamknąć w nich blask gotowy zdradzić „tajemnicę królewską”. W ich drobne rączki, o czujnych palcach, wstępuje niekiedy moc podnoszenia – z taką samą łatwością, z jaką inni podnoszą z ziemi słomkę – brzemion, pod którymi tym innym uginają się barki.

Ledwo przybyły na ten świat z domu Ojca, z którego rąk wyszły, zawsze też będą mówiły językiem stamtąd, będą się rządziły prawami nie znanymi ziemskiej fizyce, a ich wyczucie perspektywy nie liczy się z kurtyną ziemskich nieboskłonów. Na świat, dokąd je Ojciec Niebieski przysłał na edukację (chyba nie ich własną, a naszą) patrzą świeżymi oczyma przybysza, który bystro, przenikliwie, trafnie spostrzega i rejestruje wszystko, co zblazowanym⁹⁴ mieszkańcom tej ziemi jest tak bliskie, własne i wiadome, że już przestało być dostrzegalne.

Nie oburzają się nigdy, niczym się nie gorszą, choć wszystko widzą. Jednym spojrzeniem potrafią odmierzyć wszystkie rysy grzechu, bo ich oczu nigdy nie zasnuł mgłą jego oddech. Mogą śmiało patrzeć mu w twarz z ufnością dziecka, odgradzonego od smoka barierą Ojcowskiego wybraństwa. Są jak Daniel w jaskini lwów: żyją pośród świata, lecz światu nie wolno ich pożreć.

Szybko i łatwo zawierają przyjaźń z całą prawdą ludzką. Ostrzegane przez tych, którzy są z tego świata i nim skażonych, że prawda może częstokroć prowadzić do zguby, spoglądają zdziwione. A potem radzą się głosu Ojca, który ze sobą na ten świat przyniosły. I już wiedzą. Prawda nigdy nie może doprowadzić do zguby, ale – zmańcenie prawdy, wykoślawienie jej, umniejszenie i frymarczenie jej nakazem i prostytutcja jej praw.

Ci zaś, dla których grzech stał się prawdą, a prawda – kamieniem obrazy, patrzą na te dzieci i nie wiedzą, jakim je nazwać imieniem. Bo, według ich pojęć, są one po prostu niewytłumaczalne i szalone, nierozważne i uparte, przekorne i samowolne. Patrzą więc na nie ze zdziwieniem, niekiedy z podziwem, przeważnie jednak z litością. Bo wyobraźcie sobie tylko, o czym te brzdące bredzą! Oto

⁹⁴Z franc.: znudzony, zobojętniały.

powiadają, że ludzkość trzeba... zbawiać! Że ludzkość nie może zabierać się do gospodarki na zagonie przez Ojca jej przeznaczonym, by przyniósł stokrotny plon. Że to trzeba inaczej, zupełnie inaczej, bo inaczej jest w Ojcowskiej zagrodzie. I poczynają naprzykrzać się Ojcu, jak prawdziwe dzieci, jakimi są: „Daj nam narzędzia, którymi zbawiasz!” Zapytane zaś, jakie narzędzia wybrać pragną, odpowiadają z cudowną totalistyczną zachłannością dziecka: „Ja wybieram... wszystko!”

Od zarania Nowego Przymierza będą się dawały zabijać – uparte dzieci, broniące skarbów, które świat zwie głupimi drobiazgami i świętokradczym gestem bezmyślnie na śmietniki wyrzuca. Potem będą zamieniały pastuszy serdaczek na... zbroję⁹⁵. Głosem nawykłym do wołania owiec będą wydawały bojowe rozkazy, dyktowane przez wysłanników z Ojcowskiego domu, a ręką nawykłą do zbierania paszy i głaskania jagniąt – kreśliły strategiczne plany, dzierżyły miecz, zdobywały miasta. To znów będą widywały Panią z Niebios⁹⁶, niewidzialną dla innych oczu, i dogrzebywały się dziecięcymi paluszkami cudotwórczych źródeł, których woda leczy i nawraca. Kiedy indziej⁹⁷ będą poruszały niebo i ziemię, naprzykrzały się Bogu i ludziom, docierały do prałatów i biskupów, ba, do samego papieża, aby im dano... co?... gwiazdkę z nieba? – Gdzie tam! Zamiast modnej sukienki – habit, pod którym mdleje się latem a dygoce zimą, zamiast zabawek – dyscyplinę, zamiast różowego pokoiku w domu najlepszego z ziemskich ojców – celę [zakonną] – przedsionek do pokoi Ojca w Niebiesiech. A jeśli kto spróbuje im wytłumaczyć cierpliwie i jasno, że noży i płomieni nie daje się dzieciom do zabawy, odpowiadają z uśmiechem, od którego opadają ręce, że one przecie nie noży... nie płomieni..., że one chcą... róż. Tylu, tylu róż, aby można było nimi zasypać całe kalectwo i całą ropę, i wszystko błoto, i wszystkie ugory tej ziemi,

⁹⁵W tym i w następnych zdaniach – aluzja do postaci dziewczyny-wodza, świętej Joanny D’Arc.

⁹⁶Święta Bernadeta z Lourdes.

⁹⁷Aż do końca tego akapitu chodzi o świętą Teresę od Dzieciątka Jezus.

aby pachniała, mieniała się i kwitła znowu jak raj utracony przed obliczem Pana.

Będą? – Czegóż nie będą się jeszcze napierały i jakich dziwów nie dokążą jeszcze te dziewczynki, które raz po raz Miłosierdzie Najwyższego przerysuje z niedościgniętego wzoru Panny z Nazaretu – która miała 14 lat! Tego nikt, krom Niego Jednego, nie wie i nikt przewidzieć nie zdoła.

Więc coś nam pozostaje? – Tylko ze drżeniem dziękczynienia sławić Go na klęczkach za to, iż jesteśmy wobec tych dzieci... bezsilni! Nic nigdy poradzić nie zdołamy na ich pomysły szaleńcze i błogosławione, na ich dziecięcy upór i nadludzki heroizm. Że wolno nam tylko korzystać z tego, iż zawsze okazuje się w końcu, że to one miały słuszość, a nie my. I usiłować nieudolnie i niezgrabnie stawiać stopy w ślady ich śmiałych nóżek...

Pozostaje nam tylko wielbić Pana bezustannie za to, iż nie zginie nigdy rasa panien mądrych. Iż żyją wśród nas i dziś. Pod pensjonarską bluzeczką... harcerskim mundurkiem... wiejską zapaską... – które nie wiadomo na jaką szatę zamienić zapragną. Są. Mają 14 lat... może trochę więcej, może trochę mniej... Ocieramy się może o nie, nic o nich nie wiedząc. Aż dopiero kiedyś dzieci nasze lub wnuki dowiedzą się o tym, że... były! Gdy apoteoza⁹⁸ ich czystego szaleństwa rozbłyśnie w chwale... *urbi et orbi*⁹⁹!

⁹⁸Z jęz. grec.: „ubóstwienie”, a więc stawianie człowieka na najwyższym piedestale, przeznaczonym przez starożytnych dla posągu bóstwa. Tu w znaczeniu: ukazanie wszystkim ludziom „szaleństwa” heroicznej miłości człowieka świętego.

⁹⁹Łac.: „Miastu [Rzymowi] i światu” – aluzja do uroczystego błogosławieństwa papieskiego, a więc i do wyniesienia na ołtarze przez beatyfikację i kanonizację. Można w tej aluzji dostrzec ogólnie wyrażone przekonanie autorki, że w przyszłości także Joanna Skwarczyńska mogłaby być beatyfikowana jako ostatnia (pamiętajmy, że pisała w 1948 roku) z szeregu wymienionych przez nią takich postaci, jak święta Joanna D’Arc, święta Bernadeta Soubirous czy święta Teresa od Dzieciątka Jezus. Potwierdzałoby takie przypuszczenie stwierdzenie Teresy Dmochowskiej (Jana Rybaltta), że całe rozmyślanie pisała z myślą o Joannie. Dostrzegając więc w niej wielkie duchowe

OSTATNI ROZDZIAŁ NIECH DOPISZE ŻYCIE...

Bardzo pragnąłem dopisać do wspomnień, wierszy i opracowań, prawie w całości zebranych wkrótce po śmierci Joanny, własny rozdział, nadając mu tytuł: „Pięćdziesiąt lat później”. W zamierzeniach miał on być jakby rozmową z Joanną, „wspólnym” poszukiwaniem odpowiedzi m.in. na następujące pytania:

– w czym podstawy jej nie kanonizowanej, choć i nie kwestionowanej chyba dotychczas przez nikogo, „zwyczajnej” świętości, różnią się od tych, na których budowali swą świętość inni?

– Co miałyby do powiedzenia dorosłym, dzieciom i młodzieży teraz, po latach, w naszych czasach, pozornie łatwiejszych niż tamte?

– Jak to jest z tą pracą nad sobą? Czy można uświęcić się bez formułowania sztywnych zasad (postanowień) i rozliczania się z ich realizowania? Bez planu i kierownictwa duchowego, lecz za to oddając się w ręce Boskiego Ogrodnika – dla wyhodowania w sobie takich owoców, jak miłość, radość, pokój, cierpliwość... (zgodnie z Ga 5,22-23)?

Wystarczy tych pytań. Odpowiedzi na nie szukać „wspólnie” nie będziemy. Główną w tym przeszkodą jest kwestia odczytywania znaków czasu. Znaków powtórnego przyjścia Chrystusa, królowania Jego Najświętszego Serca poprzez zapowiedziany w Fatimie tryumf Niepokalanego Serca Jego Matki, znaków Nowej Pięćdziesiątnicy. Dopiero właściwe ich odczytanie pozwoliłoby znaleźć uzasadnienie dla następującego twierdzenia: **Joanna Skwarczyńska nie zakoń-**

podobieństwo do Najświętszej Maryi Dziewicy, właściwe świętym.

czyła swojej misji, lecz w zasadzie dopiero ją rozpocznie w świecie Nowej Pięćdziesiątnicy! Droga przez nią przebyta stanie się drogowskazem dla wielu dziewcząt i chłopców.

Joanno, oto chwila pożegnania z książką... To nie dlatego zająłem się nowym wydaniem pięknych tekstów o Tobie i do Ciebie adresowanych, że mamy wspólne rodzinne korzenie: nasz pra... (do n-tej potęgi) dziadek Ignacy żył w okolicach Lwowa. I nie dlatego, że to właśnie 50-ta rocznica Twojej śmierci. Wiesz dobrze, że połaskotałaś mnie w serce – nie tylko zresztą mnie, bo widziałem, jak ktoś inny wyciągał ukradkiem chusteczkę i ocierał łzy...

Joanno, dziękuję Ci za wspañałą przygodę duchową, jaką było dla mnie czytanie, praca redakcyjna wielu tygodni, obcowanie z Tobą duchowe, kontakt – na stronicach książki – ze świadkami, z Twoimi bliskimi. Niech to pozostanie naszym skarbem.

Dziękuję za wspañały dar Twojej siostry Marii: za Twój mundurek – taki, w jakim zostałaś wyciągnięta z dna jeziora, nie prany i nie upiększany; za chustę harcerską, modlitewnik i zeszyt. Chcę je przechować do Nowych Czasów.

Czy maczałaś w tym palce, co zobaczyłem – co dostałem w prezencie – w dniu świętego Mikołaja? O tak, właśnie *wtedy* Ty – „Promienna”, „Konar Pogodny”, „Duszek Czaru i Wesela” – będziesz wśród tych dzieciaków Bożych, zaludniających świat, będziesz z nieba „Przyjaciółką” i „Powiernicą”. Mam tego pewność. Ci jednak, którzy jej nie mają, czytając te zdania może powiedzą: „Pożyjemy – zobaczymy”. Zupełnie słusznie.

Prowadź więc, Joanno, i przeprowadź. Czuwaj!!!

ks. Adam Skwarczyński

Rakowiec, 6 grudnia 1998 roku.